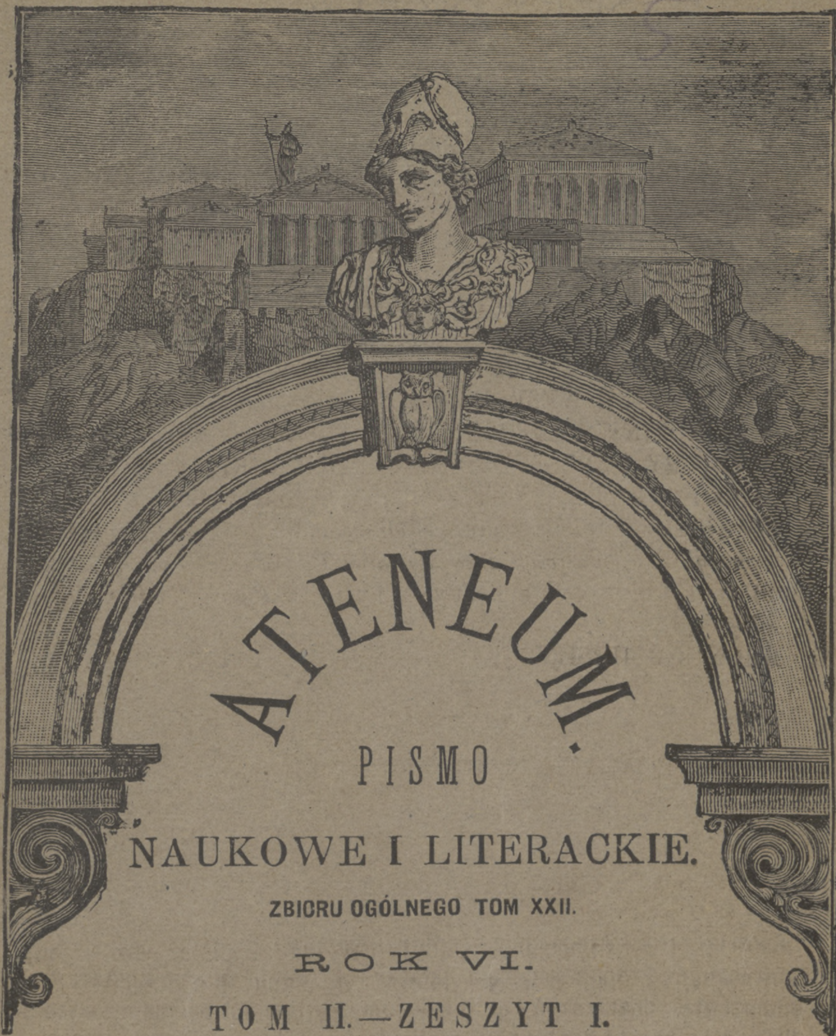


ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXII.

ROK VI.

TOM II.—ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1881.

SPIS RZECZY.

OD REDAKCYI

Kwartał I-y Ateneum z r. 1881 jest już zupełnie wyczerpany. Pp. półrocznym Prenumeratorom, którzy w ciągu Marca zgłaszali się z prenumeratą, dostarczyć go niemożemy, natomiast będziemy wysełać kw. III; zaś za kw. IV dopłacą po rubli trzy.

Druk ukończono 31 Marca 1881 r.

Minister Spraw Wewnętrznych w dniu 13 marca r. b. przesłał Jenerał-Gubernatorowi Warszawskiemu telegram następujący:

„Dziś d. 1 (13) marca, o godzinie pierwszéj minut czterdzieści pięć, w chwili powrotu Najjaśniejszego Pana z przeglądu warty, spełniony został zamach na święte życie Jego Cesarskiéj Mości, zapomocą rzucenia dwóch wybuchających przyrządów. Pierwszy z nich uszkodził powóz Jego Cesarskiéj Mości. Wybuch drugiego spowodował ciężkie rany Najjaśniejszemu Panu. Po powrocie do pałacu zimowego, Jego Cesarska Mość raczył przyjąć Święte Sakramenta, poczem spoczął w Bogu, o godzinie trzeciéj minut trzydzieści pięć popołudniu. Jednego ze zbrodniarzy schwytano.“

Z BOŻÉJ ŁASKI

MY ALEKSANDER TRZECI

CESARZ I SAMOWŁADCA WSZECHROSYJSKI

Król Polski, Wielki Książe Finlandzki,

etc. etc. etc.

Oznajmiamy wszystkim wiernym Naszym poddanym:

„Wszechmocnemu w niezbadanych wyrokach swoich spodobało się nawiedzić Rosyę ciężkim losem i powołać do siebie jej dobroczyńcę, Cesarza Aleksandra II. Padł On z bezbożnych rąk morderców, którzy tyle razy targali się na to tak drogie życie, ponieważ w niem widzieli tarczę i opokę wielkości Rosyi i szczęście rosyjskiego narodu. Korzymy się przed tą niezgłębioną wolą Opatrzności Boskiéj i zasyłamy do Wszechmocnego Nasze modły za spokój czystéj duszy Naszego zgasłego Rodzica.

Wstępujemy na odziedziczony po Przodkach Naszych Tron Rosyjskiego Cesarstwa i nierozdzielnych z niem Królestwa Polskiego i W. Księztwa Finlandzkiego. Przyjmujemy na siebie włożone nam przez Boga ciężkie brzemię, w zaufaniu w Jego wszechmocną pomoc. Oby On błogosławił pracę naszą dla dobra ukochanéj Ojczy-

zny, oby siły Nasze kierował na szczęście wszystkich naszych wiernych poddanych.

Odnawiając przed Bogiem Wszechmogącym przez Ojca Naszego złożone święte śluby poświęcenia wedle możności wszystkich usiłowań, całego życia Naszego pieczy o dobro, potęgę i honor Rosyi, wzywamy wszystkich Naszych wiernych poddanych, aby przed ołtarzami Najwyższego swoje modły złączyli z Naszemi i zaprzysięgli wierność Nam i Następcy Naszemu, Jego Cesarskiéj Wysokości Wielkiemu Księciu Mikołajowi Aleksandrowiczowi.

Dan w St. Petersburgu d. 1 Marca roku od Narodzenia Chrystusa 1881 a panowania Naszego pierwszego."

Na Oryginale Własną Jego Cesarskiéj Mości ręką podpisano:

(*Gon. Urzędowy*). **ALEKSANDER.**

Wieść o tragicznym zgonie Cesarza Aleksandra II odbiła się echem oburzenia nietylko w całéj Europie, ale i za Atlantykiem. Opinia publiczna, któréj organem było dziennikarstwo wszystkich krajów, wyrzekła potępienie na sprawców zamachu, podnosząc zarazem zasługi zmarłego monarchy, który rozpoczął w dziejach Rosyi nową erę przez zniesienie poddaństwa włościan, urządzenie sądownictwa na zasadach przedtem w tym państwie nieznanych, oraz przez rzucenie fundamentów pod samorząd prowincyonalny. Zwracając się do fanatyków, których dziełem była katastrofa 13 marca, powiedziano, że droga, po jakiéj stąpają, nie ma nic wspólnego z postępem, którego apostołami się mienią, i że na niéj dosięgnąć powszechnego uszczęśliwienia ludzkości niepodobna.

Dla nas, co nie zamierzamy pisać historyi, na którą zresztą jeszcze zawcześnie,—dla nas, co upominać własnego społeczeństwa w tym względzie na szczęście nie widzimy potrzeby, a upominać innych, nie jesteśmy powołani, dla nas wystarcza do ocenienia krwawego faktu stare ale nieprzestarzałe kryterium. Na Synai Bóg rzekł do człowieka: „Nie zabijaj!"

Społeczeństwo, które temu przykazaniu hołduje, z pogardą odtrąca rzucane nań od wschodu i zachodu potwarze, a spokojne w swém sumieniu, nie potrzebuje, wzorem innych wygłaszać czczych w swéj wielosłowności jeremiad lub deklamacyjnych przekleństw.

SAMORZĄD MIEJSKI.

Początki zwykle bywają trudne, nietylko w sztukach wyzwolonych ale i w téj, najtrudniejszéj bodaj sztuce, która się zowie życiem praktyczném. Wśród mnóstwa zadań, jakie życie do rozwiązania podaje, a z których trudnościami musimy porać się codziennie, w krótkim już bodaj czasie ma stanąć przed nami zadanie nowe, mają nam oddać zarząd interesów miast naszych; oczekiwany od lat tylu samorząd miejski ma nareszcie stać się rzeczywistością. Zewsząd słychać głosy cieszące się tą nadzieją, ogół mieszkańców Warszawy, widzi już pod tym hasłem lepsze bruki na ulicach, lepszą wodę do picia, więcéj czystości w dziedzińcach i na ulicach, kanalizacyą i, co zatem idzie z porządku, zdrowsze do oddychania powietrze. Obok tych korzyści materyalnych, nadzieja zadośćuczynienia różnym potrzebom duchowym znajduje w samorządzie niejaką dla siebie podstawę. A podczas, gdy tu i ówdzie jaki pesymista odzywa się po cichu: „ależ więcéj podatków płacić będziemy“ głos jego niknie wśród ożywionych rozpraw o tém, że przecie nowe życie obudzi się po miastach, że przed ludźmi otworzy się droga do zużytkowania talentów, zdolności, dobrych chęci, energii, a wszystko to na pożytek publiczny; że otworzy się tak pożądana szkoła praktycznego kształcenia ludzi do kierowania sprawami ogółu dotyczącemi, niby naczynie do skrystalizowania w formę czynną, tak czule pielęgnowanéj w sercach, chociaż teoretycznie tylko pojmowanéj miłości dobra powszechnego.

Sceptycyzm wprawdzie mógłby zarzucić, że lubo gminy wiejskie od lat piętnastu cieszą się samorządem, przyznanym im prawie bez granic w przepisach prawa, to jednak słyszymy, że nie gromada, jakby być powinno, rządzi gminą, ale wójt z pisarzem trzęsą i gmi-

ną i gromadą, w celach z pożytkiem ogólnym nie mających nic wspólnego, że tu naczelnik powiatu, gdzieindziéj komisarz włościański, w takie ujęli karby ów samorząd, iż nawet „zdrowy rozum chłopski,“ poparty przez wpływy inteligencyi wiejskiéj, nie jest w stanie przeważyć prostego tych urzędników zalecenia.

Ale to na wsi... w miastach będzie inaczéj — powiadamy sobie; gromada musi być bezwładną, bo jest nieoświeconą i do inicyatywy nie zdolną, ludzi wykształconych liczba zbyt mała, zresztą stosunki wiejskie dotąd niezupełnie się otrzęsły od ciągłego podrażnienia pomiędzy wioską a dworem, paraliżującego nieraz najszczersze usiłowania. W miastach ludzi wykształconych daleko więcéj, interesa ich solidaryzują się silniéj z interesem całéj ludności, która powiązana od dawna w cechy, bractwa i rozmaite stowarzyszenia, znacznie łatwiéj zrozumie wspólność interesów; zresztą miasta są bogatsze, lżéj im będzie urządzać swe gospodarstwo, za pośrednictwem nowo zaprowadzonych porządków zadośćuczynić potrzebom, które wszyscy czują, a którym zaradzić dotąd nikt nie mógł, czy nie potrafił.

Cieszyć się tą nadzieją i my chcemy na równi z innymi, ale ażeby nadzieja ta nie rozpływała się w obłoku marzenia o wszelkich możebnych doskonałościach i dogodnościach samorządu, sprobujmy przypatrzyć się trochę bliżéj temu, czem być może tak pożądany samorząd miejski, biorąc za przykład Warszawę, jako miasto największe, w którym zresztą łatwiéj doszukać się cyfr, jeżeli niedokładnych, to przynajmniéj niezbyt dalekich od rzeczywistości.

Przyznaniem samorządu miastom nazywamy: spodziewane rozszerzenie na Królestwo Polskie działania ustawy miejskiéj z roku 1870, wprowadzonéj już we wszystkich miastach Cesarstwa. *Nomen* nie zawsze jednak bywa *omen.* Kiedy przed kilku laty wprowadzono do naszego kraju ustawy sądowe cesarstwa, zniknęła z nich w drodze obieralność sędziów pokoju, a taka ważna gwarancya, jak udział przysięgłych w sądzeniu spraw kryminalnych, została subtelnie pominięta. Wspomnienie to zbyt świeże, aby nie nasuwało nam pytania, czy i ustawa miejska nie będzie w czemkolwiek zmodyfikowaną przy wprowadzeniu jéj u nas? Proroków spotykały niepowodzenia i zawody nietylko w saméj Jerozolimie, nie będziemy też dawali odpowiedzi na powyższe pytanie. Wszelako, spotykając w prasie rosyjskiéj tak często powtarzane dowodzenia, że nie należy Królestwu Polskiemu dawać praw osobnych i wyłącznych, możemy w dalszych uwagach oprzeć się na przypuszczeniu, że ustawa miejska dostanie się nam w całości.

Nie mamy zamiaru bynajmniéj wdawać się w rozbiór krytyczny saméj ustawy, ani w historyczny wywód praw samorządu (1), pragniemy tylko kilka artykułów ustawy rozpatrzyć w zastosowaniu do warunków miejscowych.

Wedle prawa z roku 1870, samorząd polega na tem, iż mieszkańcy miasta wybierają z pomiędzy siebie „Radę miejską,“ że rada ta rozporządza dochodami, wydatkami, zajmuje się wszystkiemi interesami miasta i sama wybiera „Zarząd miejski,“ który wykonywa wszystkie jéj postanowienia.

Z pośród całéj ludności miasta najprzód więc należy wyróżnić wyborców, tych co będą mieli prawo wybierać członków rady. Wyborcą może być: poddany państwa, który ukończył lat 25 wieku, posiada w granicach miasta nieruchomość, albo prowadzi handel czy zakład przemysłowy na mocy właściwego świadectwa, lub téż uiszcza na rzecz miasta opłatę za prowadzenie handlu, drobnego przemysłu lub zajęcia subjekta handlowego 1-go rzędu.

Wedle cyfr jakie się nam udało tu i ówdzie zebrać, w skład ciała wyborczego m. Warszawy wejść by powinno tym sposobem około 4.000 właścicieli domów, nie mniéj 1.000 kupców opłacających świadectwa 1-széj i 2-éj gildij i około 10.000 drobnych handlarzy i rzemieślników. Razem prawie 15.000 osób; w stosunku więc do ludności miasta (357.000) wyborcy stanowić będą prawie 4½%, czyli jeden wyborca wypadnie na 22 osoby.

Lista wyborców układa się w ten sposób, iż wszyscy oni mają być spisani w porządku odpowiadającym wysokości opłacanych przez każdego podatków, zaczynając od tego kto płaci najwięcéj, a kończąc na tym kto płaci najmniéj. Następnie cała suma płaconych podatków dzieli się na trzy równe części i te trzecie części sumy podatków, dzielą wyborców na trzy grupy; do pierwszéj więc wejdzie najmniéj osób, ale płacących najwyższe podatki, a do trzeciéj największa ilość ludzi płacących najniższe kwoty. Każda zaś grupa oddzielnie wybiera trzecią część radnych do Rady miejskiéj. Przypuszczać należy, że w Warszawie znaczna liczba właścicieli nieruchomości i kupcy 1-széj i 2-giéj gildij sformują dwie pierwsze grupy, do trzeciéj zaś wejdą rzemieślnicy drobni handlarze i właściciele mniejszych nieruchomości. Co zatem idzie, dwie trzecie rady miejskiéj będą reprezentować poważniejszą własność, czyli przewaga w radzie będzie zawsze po stronie ludzi zamożnych, z usposobieniem

---

(1) Czytelnik pragnący zapoznać się dokładnie z ustawą r. 1870 i jéj znaczeniem prawném, znajdzie obszerną o tém rozprawę prof. A. Okolskiego „Reforma miast w Rosyi,“ Ateneum r. 1876 T. I, str. 475.

prawdopodobnie zachowawczym, nie skorych zapewne do przystawania na nowe podatki. Oby jak najlepiéj rozumiejących, które potrzeby są pilniejsze do załatwienia i nie szukających zasługi jedynie w niewydawaniu pieniędzy, lecz raczéj w oględnem ich szafowaniu na to co może przynieść korzyść całéj ludności (1).

Rada miejska składa się: z 30 członków — w miastach gdzie się znajduje 300 wyborców; przy większéj ludności, na każde 150 wyborców przybywa 6 członków, najwyższa liczba członków rady dla miast cesarstwa oznaczona jest 72, oprócz Petersburga (250) i Moskwy (180).

Poważniejsze organa prasy rosyjskiéj, zajmujące się bardzo pilnie sprawami samorządu i dające częste sprawozdania o czynnościach rad miejskich miast większych, uskarżają się na to, że według ustawy, sam census podatkowy stanowi o zapisaniu na listę wyborców, że census umysłowy samoistnie dopuszczony nie został, a jako uzupełnienie podatkowego nie jest wymagany, skutkiem czego, inteligencya miejska zbyt słabo jest przedstawiana w ciele wyborczem. Publicyści utrzymują, że nie tylko właściciele nieruchomości, lub opłacający podatek od handlu i przemysłu, są interesowani w dobrém prowadzeniu spraw miejskich; każdy mieszkaniec zarówno odczuwa wszelkie niedogodności nieporządku na ulicach i w domach, wszelkie niedostatki w urządzeniach publicznych, lub szkody wypływające z niedbałości o zakłady naukowe, szpitale, kasy oszczędności, lombardy i t. p.; wśród mieszkańców miast zawsze jest wielka ilość ludzi wykształconych, pracujących w rozmaitych zawodach. Pominąwszy urzędników, jako klasę wędrowną, jest przecie tylu medyków, adwokatów, literatów, artystów, którzy podatku na rzecz miasta nie płacą i przeto do grona wyborców nie należą, gdy tymczasem wpływ ich mógłby się bardzo skutecznym i wielce pożytecznym okazać przy wyborach.

Władza prawodawcza zwróciła już sama uwagę na niewłaściwość tego stosunku, jakoż jednocześnie z zatwierdzeniem ustawy miejskiéj w r. 1870, Rada Państwa upoważniła Ministra Spraw Wewnętrznych do wygotowania dla niektórych miast, projektu podatku od lokatorów, stosownie do wysokości opłacanego komornego. Projekt takiego podatku dotychczas nie został przedstawiony, a jednak w miastach większych posłużyłby on do znacznego zwiększenia dochodów miejskich, bez zbytniéj uciążliwości dla kontrybuentów,

---

(1) Wcielenie do obrębu miejskiego przedmieść, jak Nowa Praga, Wola i t. d. ale pozostanie zapewne bez wpływu na skład grup wyborczych, który nawzajem w składzie osobistym rady miejskiéj znaleść może odbicie.

mógłby się przyczynić do zwiększenia i zasilenia żywiołami najzdrowszemi ciała wyborczego, wszystkich ludzi myślących zainteresować bliżéj do pilnego rozpatrywania się w tém, na co i jak używają się sumy z podatków miejskich zbierane.

Podatek od ceny lokalu w wysokości 1%, z uwolnieniem odeń ludzi płacących za mieszkanie nie więcéj 100 rs. rocznie, w Warszawie mógłby przynieść kilkaset tysięcy rubli dochodu miejskiego, a ciało wyborcze pomnożyć co najmniéj o jakie 5.000 osób. Dla każdego zaś co płaci rs. 300 za lokal, dopłata podatku rs. 3 nie byłaby zapewnie uciążliwą, jeżeliby za to miał prawo głosu na wyborach i nadzieję lepszego utrzymania wszystkich tych rzeczy, na które codziennie patrzy i wśród których, złych czy dobrych, żyć jest zmuszony. Żeby jednak nowy ciężar podatkowy nie wydał się uciążliwym i nie wywołał słusznych narzekań, potrzeba, aby wspomnione prawo ze sfery pobożnych życzeń przeszło w dziedzinę rzeczywistości, żeby owa nadzieja mogła się wesprzeć na korzyściach samorządu naocznie oglądanych, wyraźniéj mówiąc, potrzeba, aby ustawa miejska, jaką jest obecnie, została wprowadzoną u nas w życie, skoro to nastąpi, wtedy będzie pora myśleć o wzmocnieniu ciała wyborczego i nakładaniu na mieszkańców nowego ciężaru podatkowego.

Posiedzenia rady miejskiéj nie odbywają się peryodycznie, lecz zwołuje je burmistrz skoro uzna tego potrzebę, zawiadamiając poprzednio gubernatora o terminie zebrania i o przedmiotach, które mają być podane do rozpoznania. Rada może też być zwołaną na żądanie gubernatora, albo jeżeli zażąda tego 1/3 część członków. Decyduje ona prostą większością głosów, za wyjątkiem kilku wypadków w ustawie oznaczonych. Prezydowanie na posiedzeniach rady należy do burmistrza. Ten przepis wywołał pewne zarzuty. Zwracano na to uwagę, że gdy czynności urzędowe burmistrza ulegać mają kontroli rady miejskiéj, prezydencya kontrolowanego w zgromadzeniu kontrolującém mogłaby niejednokrotnie unicestwić samo prawo kontroli, a w każdym razie swobodę jéj ruchów tamować. Wynurzyła się też w dziennikach myśl i życzenie, aby rady miejskie same sobie wybierały przewodniczącego na posiedzeniach.

Ukonstytuowana rada miejska staje się prawną przedstawicielką ludności całego miasta i jako taka, w zakresie spraw sobie pozostawionych, wydaje postanowienia obowiązujące wszystkich mieszkańców miasta. Zakres ten wcale nie mały, obejmuje wszystko prawie co wpływać może na udogodnienie życia w mieście, na załatwienie interesów wspólnych wszystkim mieszkańcom i zadośćuczynienie potrzebom publicznym ludności. Należą tu zatem utrzymanie czystości i porządku na ulicach, placach, w ogrodach i gmachach

publicznych, a także na dziedzińcach domów prywatnych, szczególnie co do urządzania zlewów i kloak. Urządzanie przystani, przepraw, mostów, kolei konnych lub komunikacyi w omnibusach, porządkowanie przemysłu zajmującego się przewożeniem osób lub towarów. Dalej utrzymywanie w porządku placów targowych, szlachtuzów, dozieranie miejsc sprzedaży żywności i napojów i kontrola nad dobrocią sprzedawnych materyałów. Przedsiębranie środków przeciwko psuciu wody i środków ostrożności przeciw pożarom, chorobom zaraźliwym szczególnie w czasach epidemii lub epizootii, a także wydawanie przepisów mających na celu zachowanie przyzwoitości w miejscach publicznych.

Do rady miejskiéj téż należy urządzenie całéj administracyi lokalnéj. Wybiera ona burmistrza i ławników, mianuje swego sekretarza, ma prawo wyznaczać komisye do zajmowania się pewną specyalną gałęzią interesów; wyznacza członków deputacyi handlowych, komisyi taksacyjnych, a także opiekunów i intendentów zakładów dobroczynnych, deputatów do rozkładu powinności ziemskich, delegowanych do zarządu policyi. Stanowi przepisy względem zarządu majątkiem miejskim, i względem działania swych organów wykonawczych. Ustanawia, powiększa lub zmniejsza podatki na rzecz miasta, w pewnych prawem oznaczonych granicach, stanowi o pożyczkach, o zamianie powinności na rzecz państwa odbywanych w naturze na równoznaczne pieniężne. Ustanawia budżet miejski, sprawdza i zatwierdza sprawozdania o jego wykonaniu. Nakoniec ma prawo robić przedstawienia do władzy wyższéj względem wszystkiego co uzna za potrzebne i korzystne dla miasta.

W rozporządzeniu rady zostają przychody miejskie, a mianowicie: dochód z nieruchomości, opłaty na używanie środków komunikacyi na koszt miasta urządzonych, opłata od używania miar i wag miejskich, oraz opłaty za stemplowanie miar i wag, od sporządzania aktów, od licytacyi publicznych, od przewożonych towarów, a także zasiłki od rządu, jeżeli takowe są gdzie wydawane.

Pomiędzy podatkami na rzecz miasta, które rada ma prawo naznaczać i pobierać od ludności miejskiéj: *podatek szacunkowy* od nieruchomości nie może przewyższać 10% od dochodu czystego, albo 1% od wartości;—*podatek od prowadzenia handlu* i wszelkiego rodzaju patentów, ma być oznaczanym w stosunku do uiszczanych na rzecz skarbu należności, od świadectw 1-éj i 2-ej gildyi nie wyżéj 25%, od patentów wydawanych na mocy ustawy o akcyzie nie wyżéj 20%, i nie więcéj 10% od wszelkich innych świadectw.

W razie, jeżeliby dochodów nie wystarczało na potrzeby, szczególniéj zaś na urządzenia trwałe, wymagające wydatków większych, rada ma prawo zaciągać pożyczki lub dawać poręczenia; pożyczki takie, jeżeli przewyższają dochód miasta z ostatnich lat dwóch, muszą być przedstawione do zatwierdzenia Ministra spraw wewnętrznych, przyczém mają być wskazane źródła dochodu, obmyślone na ich pokrycie.

Wydatki miejskie ustawa dzieli na dwie kategorye: *obowiązkowe* i *dowolne.*

Wydatki obowiązkowe, którym należy zadość uczynić przedewszystkiem, są następujące: utrzymanie zarządu miejskiego, pewien udział w kosztach utrzymania policyi tudzież straży ogniowéj, utrzymanie więzień, wydatki z powodu kwaterunku i inne ciężary wojskowe, zasiłki z kasy miejskiéj instytucyom użyteczności publicznéj, utrzymanie gmachów, budynków, i pomników miejskich, a także ulic, placów, ogrodów, kanałów i wodociągów; oświetlenie miasta, i opłata procentów od pożyczek miejskich.

Skoro opędzone zostaną te wydatki obowiązujące, reszta dochodów wedle uznania i woli rady, może być obróconą na przedsięwzięcia mające na celu pożytek lub wygodę miasta, o ile one nie będą się sprzeciwiały prawom obowiązującym.

Prawo rozporządzania przychodami i rozchodami miasta, wyraża się w tém, że rada rozpatruje i zatwierdza ułożony przez magistrat budżet miasta. Budżet takowy w ciągu dwóch tygodni od zatwierdzenia winien być ogłoszonym; w tym celu przedstawia się on gubernatorowi, który, jeżeli nie znajdzie w nim nic przeciwnego przepisom, zaleca wydrukowanie go w gazecie gubernialnéj.

Wszystkie rozporządzenia i postanowienia rady wykonywa, wybrany przez nią, organ wykonawczy—*magistrat*, składający się z burmistrza i ławników, których liczbę oznacza rada, a których nie może być mniéj niż dwóch. W wyborze tym rada niczem nie jest ścieśnioną, może powoływać na te urzędy wszystkich mających prawo uczestniczenia w wyborach, nawet na mocy pełnomocnictwa, byleby nie ulegali wyłączeniom prawym. Nie mogą téż być członkami magistratu jednocześnie ojciec i syn, ani rodzeni bracia; starozakonni nie mogą być wybierani na burmistrzów, i w liczbie członków magistratu mogą oni stanowić tylko jednę trzecią część.

Wybrani przez radę ławnicy, do spełniania swych obowiązków, nie potrzebują już niczyjego zatwierdzenia, burmistrza zaś w miastach gubernialnych zatwierdza Minister Spraw wewnętrznych, a w innych miastach gubernator.

Magistrat zarządza bezpośrednio interesami miasta w granicach wskazanych przez ustawę i przez rozporządzenia rady, załatwia on czynności bieżące, wynajduje środki polepszenia administracyi, wykonywa postanowienia rady, dostarcza potrzebnych jéj wiadomości, układa projekt budżetu, pobiera dochody i takowe wydatkuje, przedstawiając o tém radzie coroczne sprawozdania. Rada zaś oznacza porządek w jakim magistrat ma wykonywać włożone na się obowiązki i wskazuje przedmioty, które mają być decydowane kolegialnie przez magistrat, lub pojedyńczo przez burmistrza lub ławników.

Burmistrz nakonicc, załatwia wszelkie stosunki władz miejskich z gubernatorem i znajduje się w ciągłéj styczności z władzami rządowemi.

Dla decydowania rozmaitych kwestyi, mogących powstać przy wykonywaniu zarządu miejskiego, ustawa zaprowadza osobną instytucyą: *Zarząd* gubernialny do spraw miejskich, składający się, pod prezydencyą gubernatora, z wice-gubernatora, zarządzającego izbą skarbową, prokuratora sądu okręgowego, prezesa zjazdu sędziów pokoju, prezesa zarządu guber. ziemskiego (którego miejsce u nas mógłby, tymczasowo zastąpić, prezes dyrekcyi szczegółowéj Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, a w Warszawie i prezes tow. kred. miejskiego), oraz burmistrza miasta gubernialnego.

Władza tego Zarządu jest z natury swéj nadzorczą, rozstrzyga ona kwestye wątpliwe, ale wdawać się bezpośrednio w administracyą miejską nie ma prawa. Postanowienia zresztą Zarządu nie są ostateczne i mogą być zaskarżone do M. Spr. Wew. lub do Senatu.

Tak więc, ustawa z r. 1870 przyznaje radzie miejskiéj władzę dysponującą, reglementującą i kontrolującą, na magistrat zaś a głównie na burmistrza, zlewa atrybucye wykonawcze. Zwykle się dzieje na świecie, że zgromadzenia liczniejsze, powoływane do stanowienia w pewnych specyalnych sprawach, szczególnie jeżeli nie ożywia ich jakiś silniejszy bodziec, czy-to interes znacznéj części członków, czy téż żywiéj odczuwany przez publiczność interes ogólny, jeżeli nie są podbudzane przez opinią publiczną, stają się ociężałemi, leniwemi, pojedyńczy członkowie zaniedbują powoli i stopniowo swe obowiązki, i całe ciało traci znaczenie i wpływ jakie mu prawo nadaje.

Tymczasem władza wykonawcza, a ostatecznie osoba stojąca na jéj czele, bez decyzyi któréj żadne postanowienie nie wcieli się w życie, nie stanie się faktem dokonanym, w codziennéj praktyce interesów, w ustawicznéj styczności tak z władzami u góry, jak z rządzonemi u dołu, nabiera coraz to więcéj wprawy, odwagi, ducha inicyatywy i samą czynnością swoją dochodzi do wpływu przeważne-

go, który może równoważyć, a nawet i zupełnie przyćmić znaczenie zgromadzenia dyskutującego i stanowiącego przepisy.

Czytamy też nieraz w gazetach rosyjskich narzekania że tu i owdzie burmistrz zanic ma sobie radę miejską, że zwołuje ją jak najrzadziéj, nie zwraca uwagi na jéj decyzye, lekceważy sobie nawet skargi, na niego przez radę zanoszone do władz wyższych i jakoś umie sobie radzić w ten sposób, że sam prowadzi rządy miasta. Powiadają że tak się działo lub dzieje w Kijowie, w Riazaniu, w Orle.

Inni znowu publicyści dopatrują w saméj ustawie niedostatecznego rozgraniczenia między funkcyą dysponującą a wykonawczą, w skutek czego rady, zamiast kontroli, same zajmują się administrowaniem, i przez to narażają kasy miejskie na znaczne straty. Szczególnie wskazują tutaj punkt dozwalający radom poruczać oddzielne interesa specyalnym komisyom z członków rady złożonym. W Petersburgu i w Moskwie, bogaty stan kupiecki ma naturalnie znakomitą w radach miejskich przewagę, że zaś wszelkie przedsiębierstwa na roboty w miastach znajdują się w ręku tychże kupców, nieraz się zdarza, że w skład komisyi dozorującéj przedsiębierstwo, wchodzą ludzie, którzy je prowadzą, sami, albo przez osoby najbliższe są w niem zainteresowani.

Śmiało wypowiadamy nadzieję, że z podobnego rodzaju faktami spotykać się w miastach naszych nie mamy obawy. Ustawa nic wprawdzie o tém nie mówi wyraźnie, ale samo poczucie obowiązku powinno powstrzymywać radę od wyznaczenia do nadzoru nad robotami miejskiemi tych członków, którzyby w nich jako przedsiębiercy byli zainteresowani, a poczucie honoru i przyzwoitości w zainteresowanych członkach rady, dość byłoby silném, aby się od przyjmowania podobnego rodzaju zleceń sami usunęli.

Wzmiankując o tych kilku niedogodnościach jakie okazały się już w praktyce zarządów miejskich, chcemy zwrócić uwagę na to że: jeżeli zawsze i wszędzie sprężystość i zbawienne rezultaty samorządu zależeć muszą od sił umysłowych i moralnych społeczeństwa, to oględne i roztropne urządzenie samych form działania, daje już wielką gwarancyą, dobrego prowadzenia interesów.

Rada miejska sama dla siebie ustanawia regulamin wewnętrzny. Niechże więc punkta jego będą dokładnie obmyślane i mądrze zredagowane, ażeby postanowienia rady, nabierały nietylko prawności formalnéj, ale miały téż znaczenie moralne, były prawdziwym wyrazem opinii i życzeń ludności całéj. Żeby decyzye zapadały dopiéro po wszechstronném zbadaniu i dojrzałém rozważeniu kwestyi, a wtedy rada w wydawanych przez siebie uchwałach nie narazi się

na sprzeczności, które muszą podkopywać samą powagę zgromadzenia radców miejskich.

Od tak dawna już miasta nasze nie mogły zajmować się interesami własnemi, że tradycya samorządu nie bardzo żywo tkwi w pamięci obywateli miejskich. Jednakże i więdniejąca roślina, skoro się znajdzie w warunkach otoczenia przyjaznych sobie, odżywa na nowo i zakwita; tuszymy przeto że, tradycya samorządu orzeźwi się wśród ludności miast naszych, wzbogacona tém wszystkiém co dzisiaj jako nabytek cywilizacyi weszło już w dziedzinę prawa publicznego i prywatnego; że czynności wybieralnych władz miejskich zadość uczynią wymaganiom dzisiejszego życia społeczeństw cywilizowanych, że porządek zewnętrzny i czystość ulic nie będą wyłącznym przedmiotem ich zabiegów, ale że zwrócą one baczną uwagę na możebne udogodnienie warunków życia ludzi pracujących, na potrzebę oświaty, na interesa i sprawy rzemiosł i przemysłu—i że jeżeli początek trudnym będzie, to koniec pomyślny dzieło uwieńczy.

KOMETA.

POWIEŚĆ

I.

Gwarno i pełno dymu w pokoju, ale—ciemno! Cóż to jest? Czy knują się tu rzeczy, lękające się światła bożego? Czy rodzą się myśli i projekta, które ubezwładnić może... pochodnia piekielna? A może zwierzają się w tym mroku serca szlachetne lecz młode z swoich marzeń co mają ludzkość zbawić?...

Gwarno i pełno dymu. Śród grubych ciemności świecą rozżarzone cygara. Czasem tylko rozsypie nie kłąb iskier i oświeci bladą, zaledwie słabym porostem okrytą twarz młodzieńca...

Cóż to jest? Cóż oni tu robią?

— Czy widzisz ją? pyta głos młody.

— Któż się tak pyta? odpowiada drugi.

— Prawda—strzeliłeś bąka! woła trzeci.

— Jakiego bąka?

— Pytaj: czy widzisz *go?*

— A prawda—tak właściwie być powinno!

— Pierwéj pytaj zawsze: Gdzie on—a potém: gdzie ona! Bezpieczeństwo przedewszystkiém!

Zaśmiano się chórem.

— Cyt!—ozwał się jeden—coś widzę!

Nastała cisza. Słychać było bijące serca.

Kilka iskier posypało się teraz z papierosa. Iskry te rzuciły blade światło i na chwilę oświeciły grupę młodzieńców. Siedzieli oni fantastycznie na stołkach, na łóżku, gdzie kto mógł, a nawet trzech ulokowało się na kulawym stole i z góry patrzyli na okno, zasłonięte grubym kilimkiem. Wśrodku kilimka majaczyło słabe światełko cisnące się z ulicy. Śród tego światełka czerniła się duża głowa,

okryta bujnemi włosami. Była nieruchoma jakby się z uwagą w jakiś niewidzialny dla innych przedmiot wpatrywała.

— Cóż widzisz? zapytał głos od stołu.

— Cudownie! Tak dobrze nigdy jeszcze nie widziałem. Wygląda między gminem, który ją otacza, jak prawdziwa królowa w płaszczu z gronostajów.

Okrzyk entuzyazmu rozległ się po ciemnym pokoju. Kilkanaście żarzących papierosów wypisało na ciemném tle pokoju kilkanaście figur geometrycznych.

— Niech żyje królowa nocy! ozwał się wdzięczny baryton— niech żyje młoda, zaledwie w świat wchodząca kobiéta... a precz ze starcem wyziębłym, co patrzy na nią blaskiem próchna—precz z bryłą zamarzłą, co jako uzurpator zasiadła na tronie nocy!...

— Pozwólcie—zawołał drugi—że wygłoszę nekrolog starca, którego słusznie chcecie detronizować. Było-to potulne, choć skrzepłe ciało—niezamącił nikomu spokoju—bo jak wszystko co stare, cichy był i spokojny. Sam prawie umarły patrzał na wiele nudzących się ciałek—a dzisiaj cóż on temu winien, że do niego, zbliżyła się dziewica z powiewnym ogonem—że okrąża go z uśmiechem jak rutynowana kokietka—że nawet chce go na nowo do życia rozpalić!... A jaki byłby to pyszny widok dla nas! Płonący starzec w objęciach najmłodszego, niebiańskiego ciała!...

— Cicho! ozwał się głos obserwatora—kataklizm prawdopodobny!

— Cha, cha, cha! Zabawny kataklizm!

— Zbliża się do niego... zarzuca mu na szyję swoje jasne warkocze... biedny starzec!

— Requiem aeternam! Niech spoczywa w Bogu!

— Niech żyje najmłodsze ciało niebieskich aeterów, niech mu się dobrze powodzi, niech żyje dla nas, najmłodszéj generacyi ludzkości! Niech światło jego warkoczy przyświeca nam w nocach majowych, a księżyc może się wtedy zapaść w otchłań nicości!...

— Górą młodość—niech starość przepada!

— Niech przepada starość—górą młodość!

— Teodorze błogosławiony! Tobie oddajemy naszą młodą królewnę! Obyś był z nią szczęśliwy!

— Dziękuję wam! Odtąd będzie ona... moją gwiazdą!

— Niech żyją młodzi kochankowie!...

— A gdy stary pod ziemię się schowa—niech żyje młode małżeństwo!

Okrzyk młodych głosów napełnił cały pokoik, aż mury zadrżały.

Nagle rozwarły się drzwi, a na progu z płonącą świecą ukazała się postać tak fantastyczna, że wszyscy naraz zamilkli. Grobowe nastało milczenie.

II.

Postać, która teraz do pokoju weszła, mogła być mężczyzną albo kobiétą. Twarz była stara lecz tak gładka, że najmniejszego zarostu nie można było na niéj obaczyć. Na głowie bielił się jakiś biały turban turecki. Od ramion do ziemi spływał obszerny chałat z materyi tureckiéj, zpod któréj widać było gołe nogi, ubrane w pantofle. Niespodziany gość trzymał w prawéj ręce olbrzymi gruby lichtarz z cienką świeczką, a w lewéj, jakby dla równowagi, klucz kolosalnych rozmiarów.

Gdy wszedł do pokoju, podniósł świecę do góry i spojrzał jak człowiek, który chce się najprzód zoryentować.

Kilka chwil minęło, zanim to nastąpić mogło. Pokoik jasno teraz oświecony, przedstawił się jako zwykłe legowisko studenta. Cztery puste ściany—łóżka—stara sofka, stolik, szafa, kilka stołków i koniec. Ale zaludnienie tego pokoiku było nadzwyczajne. Kilkanaście brodatych i bezbrodnych młodych mężczyzn ugrupowało się w sposób prawdziwie cygański. Na stole stało półtuzina szklanek z niedopitą herbatą. Gęsty dym napełniał powietrze. Okno zasłaniał gruby kilimek, a w samym środku widać było okrągłe szkło podobne do szkła perspektywy.

Fantastyczny gość spojrzał kilka razy do koła. Na twarzach zaskoczonych niespodzianie malował się pewien niepokój. Gość spojrzał na okno zasłonięte i uśmiechnął się na widok szkła w czarnéj obwódce. Na wyrazistem czole jego pojawiła się chmurka rozrzewnienia.

— Stary człowiek—ozwał się z powagą—przyjaciel tego skrzepłego, jak mówicie, ciała, przychodzi do was z oliwną gałązką!...

— Lunatyk! szepnął jeden do drugiego.

— Nie jestem ręką karzącéj sprawiedliwości—mówił daléj gość—ani legalnym stróżem porządku, tylko człowiekiem doświadczenia a przyjacielem nawet tych, którzy błądzą z braku tegoż doświadczenia!

Młodzi ludzie z zadziwieniem spojrzeli po sobie.

— Niech to was nie zadziwia—prawił daléj nocny fantasta—że późną porą do was się zbliżam, ale gdzie jest obawa czynów nieprawidłowych, tam o każdéj porze zapukać można. A właśnie taką obawę uczułem w téj chwili!...

— Waryat! ozwano się półgłosem.

— Nieszkodliwy! dodał silny brunet z gęstym zarostem, prawdopodobnie adept Eskulapa.

Nowy gość usłyszał ostatnie słowo. Smutek osłonił jego twarz pomarszczoną.

— Nieszkodliwy jestem—zawołał z rozrzewnieniem—niestety! Dla was każdy starszy człowiek jest nieszkodliwym osobliwie wtedy, gdy szatan nieprawości was swemi sidłami obmota! Nieszkodliwy jest rozum i doświadczenie, gdy namiętności królują—ale zaklinam was na Boga żywego..:

Nieznajomy podniósł tutaj olbrzymi lichtarz w jednéj a klucz w drugiéj ręce do góry i zrobił pewną pauzę uroczystą. Wyglądał prawdziwie malowniczo. Długi szlafrok rozwarł się i odsłonił nagie kolana poza któremi zaczynała się biała tunika. Szerokie rękawy obwisły na dół i utworzyły draperyą godną najpierwszego patryarchy ludu wybranego. W niemniéj ciekawe draperye ułożyła się także i twarz sędziwa uwieńczona białą szlafmycą.

— Któż jesteś zacny apostole światła i prawdy—zapytał jasny blondynek, którego twarz zdradzała usposobienie jowialne.

— Nie jestem żadnym apostołem—odpowiedziało widmo—ale mam zaszczyt mieszkać tuż za drzwiami téj waszéj spelunki, w któréj się jakoby rozbójnicy na jaką wyprawę zgromadziliście! Jestem emerytowany kontroler drugiéj sekcyi dyrekcyi finansowéj, jakto na moich drzwiach każdy z was przeczytać może! Nie wypływa ztąd jednak, abym wszystkie czynności ludzkie miał kontrolować, bo w takim razie zatrułbym sobie ostatek życia a grób przedwczesny byłby niezbędnym skutkiem takiéj manipulacyi!...

— Ależ to waryat! szepnął znowu jeden drugiemu.

— Jesteś zbyt skromnym, zacny mężu—zawołał z powagą młody blondynek—ale język mój, który kłamać nie umie, objawi światu twoje zacne *incognito*! W proch zniżamy czoła przed tobą, synu słońca i księżyca, wielki padyszachu na tronie większego nieco proroka i pozwól nam dotknąć się świętych sandałów twoich, które prosto z Mekki wracają!

Mówca z powagą pochylił się do nóg emeryta.

Smutny uśmiech przebiegł po twarzy tegoż.

— Życie u was to farsa—ozwał się smutno—płaszczem farsy okrywacie nędzotę serc waszych, cnota może iść w poniewierkę, byle tylko przytém przyzwoicie rozśmiać się można, byle dowcip mógł strzelić jak raca z podłożonéj żagwi podpalaczy!

— O cóż nas oskarżasz, zacny padyszachu?

— Oskarżam was o zamiar zbrodni, która nietylko targa węzły społeczeństwa, ale zabija moralnie tych, co innych zabić usiłują!... Oskarżam was o żądzę łotrowsta, którém każdy zacny człowiek się brzydzi, oskarżam was o podpalanie i mord!

Emerytowany kontroler z drugiéj sekcyi wymówił te słowa z taką prawdą, tak surowy wyraz przybrała twarz jego a klucz olbrzymi tak groźnie zawisnął w powietrzu nad głową wesołego blondyna, że starszy jego towarzysz z czarną brodą uznał za stosowne podnieść swoję żylastą rękę i umieścić ją w pośrodku między groźnym kluczem a jasną głową humorysty.

— Uspokój się, zacny mężu—zawołał z powagą—a jeszcze lepiéj zrobisz, jeżeli spokojnie wrócisz do ciepłych poduszek twoich zamiast mieszać się w zarząd świata!

— Czy myślicie—krzyknął zagadkowy emeryt—że świat cały już w pazurach szatanów? Czy myślicie, że nastały już rządy antychrysta, że wolno już wam hulać jak hula huragan po stepie afrykańskim?

— Uspokój się, poczciwy człowieku, bo inaczéj zmusimy cię z miłości chrześciańskiéj do spokoju!

— Toż takim językiem przemawiają łotry, złodzieje i podpalacze do zacnych ludzi, co przychodzą ich wstrzymać nad brzegiem przepaści, w którą spychają człowieka wszelkie jego czyny nieprawidłowe? A niechże was grom jasny z wysokiego nieba trzaśnie!... Ale wprzódy nim to nastąpi, nim pan Bóg taki wyrok wyda... wprzódy muszę wam dać naukę, jak ten grom miażdżący wygląda...

Twarz emeryta przybrała teraz wyraz wściekły. Oczy zwiększyły się i rozwarły szeroko jak u człowieka, który jakiś szalony czyn popełniać zamyśla, do tego lewa poła szlafroka odwinęła się z takim zamachem, a klucz olbrzymi tak dziwne ruchy wypisywał w powietrzu, że spieszna akcya okazała się potrzebną.

— Ależ to waryat! zawołano w tylnych szeregach.

— Furyat! Złapać go.

Nim jeszcze ostatnie słowo przebrzmiało, brodaty brunet trzymał już emeryta za ręce. Świeca wypadła na podłogę i zagasła. Ciemność zasłoniła całą tę scenę, aby ją uczynić tem straszniejszą.

— Ratujcie! krzyczała biedna ofiara—kto w Boga wierzy, niech ratuje! Złodzieje, rabusie, mordercy!

— Dajcie ręcznika, trzeba mu ręce związać! wołał głos silny i dźwięczny.

— Zimnéj wody na głowę—opamięta się!

— Światła!...

Takie wołania krzyżowały się z krzykiem nieszczęśliwego emeryta, który żywych i umarłych wzywał na ratunek, szamocąc się z napastnikami.

Na krzyk emeryta najwcześniéj ozwał się głos za drzwiami, będącemi w bocznéj ścianie.

— O dla Boga! mój pan! Ratujcie!

I rozpoczęło się piekielne kołatanie do drzwi.

— Sebastyanie, ratuj mnie! wołała omdlewającym głosem ofiara!

— Jakże pana ratować, kiedy pan mnie na klucz zamknął— odpowiadał z jękiem zacny Sebastyan.

Tymczasem zajaśniało światło na korytarzu. Szybkie kroki dały się słyszéć. Emeryt omdlałym głosem dawał znać, że jeszcze żyje...

Teraz przez drzwi otwarte wpadł do pokoju snop światła. Odsłoniła się dziwna scena, godna ołówka Hogartha!...

Na progu pojawiła się fantastyczna postać w białéj tunice na cienkich nogach. Zaimprowizowany Rzymianin trzymał w ręku lampę naftową, a poza sobą ukrywał groźnie strzelbę staréj konstrukcyi. Ze sposobu, w jaki ją trzymał, można wnieść, że nie chciał użyć jéj jako broni palnéj, ale miał zamiar naśladować dzikiego Indyanina. Tylko długie, starannie rozczesane bakembardy okazywały że w gruncie był cywilizowanym Europejczykiem. Za nim w kostiumie Andromachy, z wyrazem groźnym zacnéj Greczynki na twarzy, a olbrzymią szczotką przy boku postępowała niemłoda już kobiéta krokiem tragicznym. W głębi majaczyły jeszcze jakieś szaty kobiéce w półcieniu, zkąd odzywały się młode głosiki niewidzialnych duchów.

Scena na przodzie była jeszcze drastyczniejsza. Kilkunastu młodych mężczyzn ugrupowało się wkoło starego jegomości w tureckim szlafroku i z białą szlafmycą na głowie. Poznano w nim natychmiast emerytowanego kontrolera drugiéj sekcyi, a najbliższego sąsiada. Emeryt miał ręce związane ręcznikiem. Siedział pod naciskiem sześciu młodych rąk na krześle w postawie niezupełnie normalnéj. Szlafmyca poszła na bakier i odsłoniła piękną łysinę, któréj się jednak wstydził zacny emeryt w normalnym stanie swoich zmysłów. Opodal związanéj ofiary stał młodzieniec o jasnych włosach i połą od surduta obcierał sobie głowę, na którą przez pomyłkę wylał był przed chwilą kolega jego spory dzban wody w tém przekonananiu, że chłodzi rozpalone nerwy biednego emeryta.

— Co to jest? zawołał odważny Europejczyk z ukrytą bronią Indyanina—co to jest, moi panowie!

Zamierający już emeryt otworzył oczy.

— Złodzieje! rabusie! mordercy! słabym zawołał głosem.

Emeryt wyglądał rzeczywiście jak nieboszczyk. Po silnych rumieńcach wystąpiła trupia bladość na jego twarz sędziwą. Był prawie bezwładny—jak każda związana ofiara. Zamknął nawet oczy jak człowiek na wszystko zrezygnowany.

— Co to jest! pytał poraz drugi człowiek—indyanin.

Najbliżéj stojący młodzieniec z czarną brodą położył palec na ustach, a drugą ręką wskazał na czoło, dając mu do poznania, że między nimi znajduje się waryat niebezpieczny.

Nastało milczenie. Kilka figur kobiecych z półcienia wysunęło się naprzód.

— Waryat? zawołała jedna—ktoby się był spodziewał! Jeszcze dzisiaj powiedział mi tak grzecznie: dzień dobry!

— Waryaci są często bardzo grzeczni—ozwała się druga postać—znałam waryata, który codziennie dawał mi bukiety i mówił że mnie kocha, chociaż mąż mój długo niechciał wierzyć temu, że to był waryat!

— Waryaci umieją się maskować! dodała trzecia.

Emeryt siedział spokojnie i zaledwie oddychał. Nadzwyczajne wzruszenie, jakiego doznał przed chwilą, wyczerpało jego siły. Był prawie bezprzytomny.

Tymczasem rozległ się jakiś łomot na korytarzu. Do pokoju wpadł teraz stary człowiek z rozczochraną siwą głową. Rozbił drzwi zamknięte.

Emeryt przeczuł swego towarzysza i sługę.

— Sebastyanie! ozwał się nie otwierając oczu—ratuj mnie, przyjacielu jedyny!

Stary Sebastyan chciał się rzucić na rozbójników w obronie pana swego, ale powstrzymały go kobiéty.

— Czy nie widzisz, że twój pan zwaryował? zawołały z wyrazem miłości chrześciańskiéj na twarzach.

— Mój pan zwaryował! krzyknął Sabastyan i załamał ręce—mój pan zwaryował!

— Zwaryował i to zwaryował nielada! odpowiedział chór kobiét—patrz, musiano go związać.

Sebastyan miał ochotę zapłakać. Przerwał mu jednak młodzieniec z brodą.

— Czy twój pan miał dawno taki napad? zapytał.

— Moj pan?... nieprzypominam sobie.

— Czy nigdy nic objawiał... jakiego nieuzasadnionego gniewu, jakiego dziwactwa?

— Wcale nie!

— Jeżeli nie dziś, wczoraj—to przed rokiem, przed dziesięciu, dwudziesu laty?... Nigdy nic się w domu niewydarzyło, coby trudno było sobie wytłómaczyć?

Sebastyan położył palec na czole i zaczął namyślać się, koleją przechodziły lata przed jego oczyma.

— Aha—prawda? zawołał—raz coś się wydarzyło. Ale będzie już temu lat dwadzieścia kilka. Wtedy pan kontroler był jeszcze niskim urzędnikiem. Naprzeciwko naszego okna mieszkała ładna pani. Codziennie nosiłem jéj od pana świeże bukiety. Wieczorami grywał pan przy oknie na czekanie. Razu jednego przyszedł późną nocą, zasłonił okno i niekazał świecy zapalić. Siadł przy oknie i przez małą szparę patrzał na drugą stronę ulicy, gdzie mieszkała owa ładna pani, trwało to coś zgodzinę. Pan mój powstał nagle, cały blady i drżący, zaświecił świecę i na małéj kartce coś napisał.

— Weź czapkę—zawołał do mnie—i odnieś tę kartkę.

— Ależ to późno—odpowiedziałem.

— Ruszaj, błaźnie! krzyknął groźnie.

Opowiadanie Sebastyana wzbudziło między kobiétami wielką ciekawość.

— Jakto—powiedział: błaźnie? zapytała jedna.

— Tak jest—powiedział: błaźnie—dobrze sobie przypominam—odparł poczciwy Sebastyan.

— A pierwéj nie używał nigdy tego wyrazu?

Sebastyan spojrzał z pogardą na pytającą.

— Nigdy w ten sposób nie mówił do mnie, odparł—tylko wtedy pierwszy raz i ostatni.

— Cóż potém nastąpiło? pytał młody brunet.

— Poszedłem z kartą do ładnéj pani i przyniosłem odpowiedź, pan mój zaledwie coś przeczytał, zbladł mocno i krzyknął na mnie: Czego patrzysz na mnie cymbale?

— Za pozwoleniem—ozwał się głos kobiécy—czy pierwéj nienazywał was cymbałem?

Pewne oburzenie zarysowało się na twarzy Sebastyana.

— Przecież raz mówiłem—odparł z indygnacyą—że pan mój nigdy podobnych wyrazów do mnie nie używał!

— Cóż daléj? pytał brodaty eskulap.

— Pan mój wypchnął mnie za drzwi...

— Wypchnął za drzwi?... Czy miał taki zwyczaj?

— Uchowaj Boże! Pan mój nigdy ręką mnie się nie tknął!... Otóż jak wtedy wypchnął mnie za drzwi—zamknął się na klucz

i zaczął rozpaczliwie grać na czekanie. Grał przez całą noc i cały dzień następny!

— Czy grał wesoło?

— Gdzie tam? Grał tak smutno aż po kiszkach darło?

— Cóż potém?

— Na drugi dzień około północy zawołał na mnie. Był bardzo blady. Słuchaj—rzekł do mnie—jeden z nas ma dzisiaj umrzéć. Zabij mię!

— Czy pan oszalał? krzyknąłem.

— Jeżeli mnie nie chcesz zabić, odparł spokojnie—to ja ciebie zabiję? Zbliż się ośle!

— Ośle?... Czy często tak was nazywał?

— Powiedziałem już, że nigdy mi nie ubliżał... Otóż gdy krzyknął na mnie: ośle jakiś!... ja cofnąłem się do drzwi... ale w tém zerwał się i rzucił na mnie czekanem swoim. Czekan roztrzaskał się na mojéj głowie...

— I cóż się stało?

— Mnie dzięki Bogu nic się nie stało—głowa była cała ale pan mój upadł jak nieżywy na ziemię. Położyłem go do łóżka, nakryłem dobrze, zrobiłem herbaty z rumem... i nazajutrz był już pan zdrów. Prosił mnie tylko, abym nikomu nie mówił.... jak się ta ładna pani nazywa!

— Ależ przed doktorem trzeba powiedziéć—zawołała jedna z kobiét—a ten pan z brodą to doktór!

Czarnobrody uczeń eskulapa uśmiechnął się na te słowa nieodrodnéj córy Ewy.

— Nie trzeba tego—ozwał się, tém bardziéj, że od tego faktu minęło lat dwadzieścia kilka!... Na ten raz wystarczy to co wiemy. Weźmiesz zacny Sebastyanie swego pana do łóżka, nakryjesz go dobrze i zrobisz mu tak samo jak wtedy herbaty z rumem. Napad już przeminął—nastąpiło osłabienie. Jutro może być zdrów.

Biedny emeryt był rzeczywiście mocno osłabiony, twarz miał bladą i zwiędłą, szlafmyca wisiała tylko na uchu, a turecki szlafrok tworzył jakieś dziwne, prawdziwie grobowe draperye...

Zdjęto mu ręcznik z rąk, a zacny Sebastyan wziął go pod ramię z przynależną jego randze powagą, zawlókł do przygotowanego łóżka.

Spektatorowie ustąpili także, z pola. Najprzód znikły kobiéty, spostrzegłszy że naczelnik ich, który lampą temu zdarzeniu przyświecał, jest w stroju wcale nietowarzyskim.

Pozostała tylko młodzież. Po kilku słowach, tyczących się tak niespodziewanego zdarzenia, ozwał się najstarszy, który w tym wypadku odgrywał rolę eskulapa.

— Dzięki ci zacny gospodarzu za dzisiejszą biesiadę—chociaż wety téj biesiady wypadły nadspodziewanie. Biedny emeryt zamącił nam nasze obserwacye astronomiczne, ale to cośmy widzieli, było pyszne i niezwykłe! Kometa wyraźnie zmierza do księżyca, ale miejmy nadzieję, że ostygły staruszek uniknie gorejących objęć najmłodszéj córy niebieskiéj!... Nie obawiać się nam do jutra żadneko kataklizmu i da Bóg powitamy nowy dzionek wraz z emerytem zdrowi i cali? A teraz dobranoc królowéj nocy w białéj szacie z powiewnym ogonem i dobranoc tobie kochany Teodorze, zacny gospodarzu dzisiejszego balu.

— Jeszcze słówko—ozwał się jowialny blondynek, niech mi wolno będzie zacnemu naszemu gospodarzowi w najpiękniejszéj chwili jego marzeń astronomicznych wylać na głowę taki sam dzbanek zimnéj wody, jaki dzisiaj na mnie w ciemnościach nocy wylano!..

Gospodarz z uśmiechem podał rękę wesołemu koledze. Za chwilę nie było już nikogo w izdebce.

III.

Jeżeli jesteś młody, zacny czytelniku, to łatwo zrozumiesz to co się w tym ciemnym pokoiku działo przed chwilą—a jeżeli wiek sędziwy pomarszczył ci oblicze, to cofnij się wspomnieniem do owych chwil, w których serce twoje żywo biło, a wyobraźnia młodzieńcza unosiła cię po krainach marzeń i pragnień rozkosznych, lubo nie zawsze zrozumianych!...

I ty może byłeś kiedy podobnym do zacnego gospodarza tego zagadkowego pokoiku, i ty może w czterech pustych ścianach marzyłeś o sławie, o wawrzynach, o tryumfie, o dokonanych pracach olbrzymich, które świat stary nowemi miały popchnąć tory! Marzyłeś o miłości, o ideałach zawieszonych tak wysoko na niebie, że zwykłe oko dosięgnąć ich nie mogło!..

I cóż się po tém wszystkiem zostało?

Mniejsza o to, co się zostało... ale wiek młodości ma prawa do marzeń, do pragnień i do tego pięknego zapału, z którym mu tak do twarzy! Młodzież bez wulkanu w duszy to trup ruszający się za pomocą prądów galwanicznych, to nieboszczyk szukający trumny swojéj!...

Być znacznym w swojém społeczeństwie przez pracę dla niego podjętą, oto pragnienie każdego młodego serca!

Siły młode rozwijają chyże skrzydła i toną w błękitach, gdzie ich żadna złowroga siła nie dopędzi.

Poezya, sztuka, nauka—oto szlaki podniebne—oto drogi, na których można zabłysnąć świetnym meteorem i przyświecając innym, spalić się w ogniu szlachetnym!...

Zgromadzenie dzisiejsze w tym zagadkowym pokoiku składało się właśnie z tych młodych marzycieli, którzy niezwykłemi zamierzyli iść drogami.

Oto przed nami gospodarz, który przed chwilą tak serdecznie pożegnał wesołą drużynę. Ma on twarz sympatyczną, myślącą. Bujny włos okrywa mu głowę i łączy się z ciemnym zarostem brody. Może liczyć lat dwadzieścia sześć. Na skromnym stołku leży mapa niebieska z wszystkiemi gwiazdami i planetami. Daléj widać cyrkle, kąty i linie różnego kształtu. Na tabliczce z czarnego łupku bieleją się cyfry z różnemi znakami algebry i geometryi. Na ścianie wiszą karty ziemi i nieba. Na szafie i komodzie leżą grube księgi i ryciny, a między niemi żółte pargaminy z świecącemi pieczęciami przypominające dyplomy.

Tak jest w istocie. Gospodarz jest doktorem filozofii i z zamiłowaniem uprawia—astronomią, właśnie na niemałą biesiadę zaprosił był przyjaciół swoich z różnych wydziałów i zaprezentował im nowo narodzone najmłodsze ciało niebieskie... kometę.

Wesoła drużyna z humorem i z powagą rozmawiała długo o rozmaitych teoryach i hipotezach niebieskich, a od czasu do czasu patrzała na „pismo boże" przez wspaniałe szkła umieszczone w jedyném skromnego pokoiku oknie.

I któżby mógł policzyć te wszystkie myśli i uczucia—marzenia i pragnienia, które przez młode przemknęły się serca! Tajemniczy, niezbadany obszar roztaczał się przed młodemi oczyma... tyle nierozwiązanych zagadek patrzało z góry na żywo bijące serca... i niejedna pierś podniosła się może tém samém pragnieniem, jakiem ongi płonęła dusza wielkiego reformatora nieba, wiekopomnego Kopernika! Nie jedna pierś westchnęła do tych samych laurów jakiemi cały świat zdobi dzisiaj śpiżowe posągi sławnego astronoma!

Zapewne i serce młodego gospodarza bije w téj chwili do tych liści dębowych. Zrobił na prędce porządek po swoich gościach i niespodzianéj wizycie sąsiada, podsłuchiwał czas niejaki pod drzwiami, czy się już uspokoił, a nieusłyszawszy żadnego hałasu odsłonił okno, szkła astronomiczne schował do futerału a sam otworzył

lufcik, aby jeszcze przed spoczynkiem zaczerpnąć świeżego powietrza.

Noc była pogodna, księżyc toczył się wspaniale po ciemnym błękicie, gwiazdy mrugały rozkosznie a pomiędzy niemi zwrócona do księżyca posuwała się jasna gwiazda z długim ogonem jak oblubienica w szacie ślubnéj! Byłato właśnie obserwowana przed chwilą kometa.

Teodor—tak się nazywał młody doktór, oparł się o futrynę okna i spojrzał przed siebie. Po drugiéj stronie ulicy czerniła się przed nim szara, dwupiętrowa kamienica. Większa część okien była już ciemna, tylko na pierwszém piętrze było jeszcze dosyć ludno. Pokoje jaśniały światłem rzęsistem, a liczne grupy gości bawiły się rozmową. W jednéj, dużéj sali zgromadziła się sama dziatwa, pomiędzy którą najstarsi nie mieli więcéj jak dziesięć lat. Było tam gwarno i wesoło. Od czasu do czasu pojawiała się pomiędzy niemi jakaś postać kobiéca w czarnym stroju. Była młoda i wysmukła. Trzymała w rękach jakieś naczynia, a dziatwa każdym razem otaczała ją z widomą radością do koła. Coś rozdawała im z tych naczyń, a wszyscy cisnęli się do niéj, jedni przez drugich. Był to obrazek bardzo ładny i prawdziwie artystyczny.

Młody astronom spojrzał pobieżnie na ten obrazek a potém zwrócił oczy do nieba, do swojéj kochanki, owéj gwiazdy podróżnéj, która nie wiedzieć zkąd wyszła i dokąd dąży!...

I cały zatopiony w tę obserwacyą nie zwracał więcéj uwagi na ziemskie sprawy, które odbywały się na pierwszém piętrze szaréj kamienicy. I tak siedział długo, bardzo długo, aż światła w oknach kamienicy gasnąć zaczęły.

IV.

Nie tak spokojnie ubiegały godziny w sąsiednim pokoju. Emeryt leżał wprawdzie nieruchomy na łóżku, ale w jego piersi wrzała widocznie jakaś burza. Poczciwy Sebastyan, trzydziestoletni towarzysz emerytowanego kontrolera, był przekonany, że napad niebezpieczny przeminął i uspokojony tém przekonaniem zasnął snem sprawiedliwego. Szklanka z resztkami brunatnego płynu, flakonik z arakiem i krążki pokrajanéj cytryny świadczyły o sumiennném spełnieniu rozkazów młodego eskulapa. Lampka tylko mała została na stoliku, któréj poczciwy sługa powierzył dalsze czuwanie nad pacyentem.

Pacyent nie wyglądał tak bardzo źle. Czerwona kołdra nakrywała go pod samą brodę tworząc draperye spokojne. Biała szlaf-

myca z wszelką przyzwoitością zakrywała wstydliwą łysinę a nawet zwróciła się na bakier z pewną zalotnością. Oddech emeryta był normalny, tylko szybko biegające powieki zdradzały jakieś tajemnicze, wewnętrzne wzruszenie. Od czasu do czasu patrzał w okna przeciwległéj, szaréj kamienicy. Wtedy twarz jego przybierała wyraz gniewu, a blade usta ruszały się, jakby w duchu prowadził jakiś utajony monolog.

W miarę postępującéj nocy monolog ten stawał się coraz wyraźniejszy.

— Łotry! mruczał do siebie a draperye kołdry zmieniały się szybko, jak się zmienia powierzchnia wody, gdy burza zaczyna się podnosić—łotry, złodzieje!... zrobili zemnie waryata!.. Związali mnie na pośmiechowisko ludzkie!.. Czekajcie!

I czerwona powierzchnia kołdry podniosła się do góry, jakby od niewidzialnéj pięści ludzkiéj.

— Stary człowiek—mruczał daléj, człowiek doświadczony chciał ich zatrzymać nad brzegiem przepaści... Czyż to nie przepaść—wykraść szczęście drugiemu? Oto straszna, grobową pleśnią ziejąca przepaść... Pamiętam dobrze jak mi było, gdy ten przeklęty aplikant trzeciéj sekcyi wlazł mi w drogę i serduszko mojéj Anusi do siebie przygarnął!... Uf!

Gorąco zrobiło się biednemu emerytowi—podrzucił czerwoną kołdrę i wydobył chudą, pożółkłą rękę.

— Ale dałem mu za swoje! mówił daléj machając groźnie ręką, pewnie ruski miesiąc popamiętał!...

Po chwili dodał smutno:

— Cóż z tego, kiedy Anusia już do mnie nie wróciła!

Długie nastało milczenie. Pierś emeryta podnosiła się i zapadała jak podnoszą i zapadają uschłe burżany, gdy je wiatr rozkołysze...

— Ale to nic—mówił po niejakim czasie do siebie, tam przynajmniéj nie miałem wstydu, nikt mnie nie widział—ale tu... uf! co za gorąco!

Koniec czerwonéj kołdry świsnął w powietrzu!

— Związali mnie! Powiedzieli, żem waryat!..... Tak się dzisiaj młodzież obchodzi z człowiekiem doświadczonym, który z miłością niesie im swoje doświadczenia, swój rozum, swoją rozwagę!... Nazywają go trupem, waryatem, śmieją się, szydzą z niego! Co za cynizm w poglądach na świat, na ludzi... na kobiety! kobiéta u nich to tylko pokusa a chwilowa nic więcéj! Aby z téj pokusy korzystać, niczem najświętsze prawa rodziny!.. Popsuta, zgangrenowana młodzież!

Emeryt odetchnął całą piersią.

— Ale czekajcie! zakonkludował—dam ja się wam we znaki! Chybabym jutra niedoczekał! Pójdę i powiem! Będzie mnie to bolało, że poczciwemu człowiekowi oczy otworzę, ale... *amicus Plato*... Czekajcie! Waryatem mnie zrobili i związali! Niech tylko dzień się zrobi!... Ja wam stołka przystawię!

Długi czas prowadził emeryt taki monolog, aż wreszcie zaświtał dzień upragniony, w którym miał folgę uczynić wezbranemu swemu sercu.

— Sebastyanie! zawołał głosem dźwięcznym, jakim tylko wtedy się zwykł odzywać, gdy z prezesem sześć robrów z kolei wista wygrał.

Sebastyan poskoczył do swego pana.

— Czegóż tak rano pan się zrywa! zawołał poufale trzydziestoletni towarzysz, piekarz nawet jeszcze bramy swojéj nie otworzył! Po wczorajszym.

I urwał.

— Co po wczorajszym? krzyknął emeryt wdziewając pantofle na chude nogi, co po wczorajszym? Gadaj cymbale!

Słowo „cymbał“ zatrzymało język Sebastyana. Wprawdzie powtarzało się ono częściéj, niżeli wczoraj przed światem utrzymywał, i stary sługa powinien się był przyzwyczaić do tego brzmienia, mimo to uderzyło go ono widocznie.

— Czego nie odpowiadasz? pytał daléj emeryt wpuszczając ręce w rękawy szlafroka, czy ci język skołkowaciał?

— Skołkowaciał nie skołkowaciał—mruczał oględny sługa, ale cóż cymbał mądrego powie?

Emeryt miał słabe serce. Uczuł wyrzut.

— Przecież nie powiedziałem jeszcze, żeś cymbał...

— Jakto nie powiedziałeś pan? Przecież wyraźnie.

— Ale kiedy z ciebie zawsze taki osioł...

— Jeszcze osioł do tego! Pięknie zaczyna się dzień boży.

— Znowu niezrozumiałeś mnie! Przecież jeżeli się mówi do kogo w sposób warunkowy, to z tego nie wypływa że on już jest osłem lub cymbałem! Rozumiesz głuptasiu?

— Tożto cała litania! Cymbał, osioł, głuptaś... módlcie się za nami!..

— Widzisz? zawołał z widoczną radością emeryt—za to coś teraz powiedział, mógłbym i ja pogniewać się! Powiedziałeś: módlcie się za *nami*! To jest za mną i za tobą! Czemże ja być mogę, jeżeli tacy jak cymbał, osioł i głuptaś za mną się modlą?... No widzisz teraz między nami kwita hultaju! Daj mi ciepłéj wody i brzytwy!

Sebastyan uśmiechnął się, bo słowo „hultaj“ należało do pieszczot, jakiemi w dobrym humorze zwykł obdarzać swego towarzysza stary emeryt. Dodało to odwagi staremu słudze. Spojrzał z widoczną radością na swego pana.

— Po wczorajszym napadzie nie dam panu brzytwy! zawołał z uśmiechem—gotów pan sobie gardło poderznąć! A gardło tylko jedno dał Bóg człowiekowi!

Emeryt poczerwieniał ze złości.

— Po wczorajszym napadzie? Czyś oszalał? Jaki napad?

— Tak... po wczorajszym napadzie!

— Śniło ci się, głupcze!

Sebastyan wziął na kieł.

— Jakto śniło! Czy nie związali pana jak barana za to, żeś pan chciał waryować?

— Człowieku! Śniło ci się, nic więcéj! mnie związali! Zwaryował! Cha cha cha! Mnie związali!

— Przecież pół kamienicy widziało!

— Pleciesz jak na mękach!

Emeryt zacisnął zęby i siadł przed zwierciadłem.

— Daj mydła i brzytwy! zawołał przez zęby.

Sebastyan nie chciał ustąpić.

— Sebastyan zawsze plecie, odfuknął—czy i wtedy plótł gdy pan biegał za panną Julią aż na Bielany? Czy pamiętasz pan, gdy tam na Bielanach...

— Byłem wtedy młody... miałem lat dwadzieścia i...

— Było już dobrze po trzydziestu!

— Widzisz mój Sabaśiu... krew gorąca...

— A ta awantura z panem Damianem o panią Teresę? Gdybym wtedy nie był w sam czas...

— Dawne, dawne rzeczy mój przyjacielu!... Daj mydła i brzytwy!

— A ta nieszczęsna maskarada, po któréj świstał pan po całych nocach na czekanie, aż po kiszkach darło?...

— Minęło, wszystko minęło, mój Sabciu!

— A teraz znowu...

— Teraz nie było żadnego głupstwa, ale była rzecz mądra, bardzo dobrze z mojéj strony pomyślana...

— Za co pana związali jak waryata!

— Związali nie związali! Ot żartowali sobie!

— Piękne żarty! Leżałeś pan bez duszy dobrą godzinę! Gdybym nie był panu wlał w gardło trzy szklanki herbaty z rumem, był-

byś pan kipnął jak niedawno szewc z naprzeciwko!.... Nie dam brzytwy!

— Czyś oszalał?

— Właśnie że pan mógłbyś oszaleć i gardło sobie poderznąć! Czyż pan nie groził poderżnięciem gardła wtedy, gdy pani radczyni przysłała panu kwitek z odprawą?... A jeszcze dotąd głowa mnie boli, gdy sobie przypomnę, jak hebanowy czekan o tę głowę się rozłamał!...

Emerytowi zawiele było już tych przypomnień. Zresztą nie były mu one w téj chwili na rękę. Nienapierał więc daléj na gadatliwego sługę, który niepotrzebnie sumienie jego roztrząsał, ale na dowód, że jest zdrów zupełnie i o żadnym nowym napadzie nie myśli— kazał sobie podać śniadanie.

Ucieszyło to widocznie poczciwego sługę. Pospieszył do kuchenki gdzie właśnie kipiał już imbryk pękaty.

Za chwilę stała przed emerytem kawa z wyborną śmietanką. Zacny emeryt uśmiechnął się z słodyczą do jednéj z jedynych pozostałych rozkoszy swoich na ziemi, ale uśmiechnął się śmiechem zagadkowym do siebie, gdy spojrzał na przeciwległą szarą kamienicę.

— Łotry! mruczał z widoczną rozkoszą, ja wam pokażę waryata. Niech tylko tam porządek zrobią!...

Szczęściem, że Sebastyan tego mruczenia nie słyszał.

V.

W szaréj kamienicy na pierwszém piętrze robiono właśnie porządek. Służba kręciła się po obszernych komnatach. Wycierano posadzki, myto okna, zmiatano prochy z mebli. Z nieporządku, jaki przed chwilą tam panował, jakotéż i z różnych pozostałości można było wnosić, że w tych komnatach odbył się jakiś większy wieczorek.

Tak było w istocie. Gospodarz domu, znany powszechnie dyrektor szkoły przy parafii św. Floryana, siedział właśnie w dyrektorskim swoim szlafroku na skórzanym fotelu, jakby wypoczywający na laurach bohatér. Miał wczoraj u siebie bardzo zacne towarzystwo. Nietylko dwóch nauczycieli gimnazyalnych zaszczyciło go swoją obecnością, ale nawet prezes sądu okręgowego łącznie z księdzem kanonikiem raczyli przybyć i przy lampce wina przegrać z nim dziewięć robrów wista. Z kobiét były obecne oprócz pani prezesowéj, pani Odrowążyna, obywatelka ze wsi i wdowa po mecenasie, która także wieś miała po mężu.

Gwiazdy te parafii św. Floryana przyświecały jaśnie marzeniom zacnego dyrektora z całą swoją okazałością. Jeszcze zacny dygnitarz w krainie oświaty ludowéj czuł ciepły uścisk wilgotnéj ręki poważnego naczelnika sprawiedliwości okręgowéj, jeszcze słyszał jakieś nieswojskie ale nadzwyczaj słodko wymówione do jego żony słówko obywatelki wiejskiéj, jeszcze migały mu przed oczyma licznie spijane kielichy prawdziwego węgrzyna, sprowadzonego przed rokiem zpoza karpat za sporą sumkę pieniędzy!...

Wszystko to koleją przechodziło poprzed oczy zasłużonego dygnitarza, a uśmiech pogodny, który po twarzy jego biegał, był zasłużoną nagrodą.

Na wieży św. Floryana wybiła godzina. Dyrektor spojrzał na zegarek, czy się zgadza. Ani minuty mniéj ani więcéj. Akuratność ta podobała się człowiekowi porządku. Poprawił szlafrok, spuścił kutasy od paska, aby w należytéj były symetryi i poważnym krokiem wyruszył do dalszych komnat swego mieszkania.

Dyrektor miał pewne zasady, od których nigdy nie odstępował, nawet wtedy, gdy się okazały niewygodnemi. Do takich zasad należało także, że człowiek wyższego stanowiska musi mieć buty skrzypiące. Oprócz uroku, jaki skrzyp podobny poważnéj personie nadaje, miał jeszcze dyrektor w tém inną myśl ukrytą. Był on dobrego serca, lubił spokój i dobry humor a wiedział, że tylko pewna pobłażliwość dla świata może go w tym humorze utrzymać. Skrzypiące buty strzegły mu więc tego dobrego humoru. Nigdy i nigdzie niezastał nieporządku, sługi nie złapał nigdy ani na złodziejstwie drobném, bo skrzyp butów ostrzegał wszystkich z daleka, że pan nadchodzi. Tym sposobem przedstawiało się wszystko przed nim w świetle jak najlepszém, służbę widział przy robocie, chłopców przy książce, a... żonę zawsze w takiéj pozie, w jakiéj mu się najwięcéj podobała.

Zresztą już sam skrzyp butów odstraszał domowników od złych myśli, i był niejako ustawicznem przypominaniem o egzystencyi człowieka, która ma w ręku *jus gladii*—to jest, że może uderzyć, wykrzyczéć a w końcu odprawić.

Taki skrzyp dobroczynny rozległ się teraz po całém mieszkaniu. Natychmiast w sąsiednich pokojach nastąpił ruch odpowiedni. Słychać było kroki szybkie i powolne—skradające się i uciekające.

Dyrektor wszedł do pierwszego pokoju. Służba tańcowała właśnie na szczotkach. Posadzka świeciła się jak szkło weneckie. Dyrektor uśmiechnął się na znak zadowolnienia. Wszedł do drugiéj komnaty. Przed chwilą było tam gwarno. Świstano i śpiewano. Za

otworzeniem zaś drzwi okazał się dyrektorowi wzorowy porządek. Dziesięciu malców siedziało przykładnie z książką w rękach. Wszyscy czytali i uczyli się. Dyrektor uśmiechnął się i jak tryumfator poszedł daléj. W trzecim pokoju odbywała się lekcya na fortepianie. Dwóch chłopców grało na cztery ręce, a jakiś muzykalny pedagog nadzorował. Dyrektor kiwnął głową na znak zadowolenia.

Wszedł jeszcze do czwartego i piątego pokoju, ale tam już nikogo nie zastał. Były tam meble najwytworniejsze, była jakaś atmosfera szczęścia i rozkoszy, ale szczęśliwi gdzieś wyszli. Złota klatka była próżna.

I tutaj, chociaż nikogo nie było, uśmiechnął się dyrektor. Podobał mu się porządek, jaki zastał. Krzesła i fotele stały na swojém miejscu—nigdzie nie było ani pyłku ani najmniejszego nieporządku. Dwie małe papużki, „inséparables“ wyglądały zdrowo i jasnemi oczkami powitały pana. Miały świeże jadło i świeżą wodę.

Dyrektor był dzisiaj prawdziwie szczęśliwym człowiekiem. Stąpał z dumą jak król, a dla występnych skrzypiał jak wąż grzechotnik.

Nagle ozwał się dzwonek.

— Michale, otwórz! Pani przyszła z kościoła!—zawołał głosem dźwięcznym.

I właśnie przystroił był usta swoje w uśmiech, jaki miał najlepszy, gdy drzwi z przeraźliwym skrzypem się otworzyły a do pokoju zamiast jejmości, wszedł chudy, zgarbiony i jak cytryna żółty... emerytowany kontroler drugiej sekcyi.

Dyrektor spotrzegł zawód i — nie uśmiechnął się.

VI.

Zacny dyrektor za wiele miał ogłady światowéj, aby gościowi dał poznać, że wolałby kogo innego. Wyciągnął pulchną rękę z kieszeni szlafroka i podał przybyłemu.

— A szanowny pan Protazy—ozwał się—szanowny radca i sąsiad mój kochany.

Kontrolera nazywano w towarzystwie radcą.

— Witam, witam na dzień dobry—odparł emeryt z wejrzeniem, które gospodarzowi coś niedobrego wróżyło.

— Dla czego to kochany sąsiad nie był łaskaw wczoraj...

— Wiedziałem, że masz waszmość dosyć gości... takich, których znasz i widziałeś... i takich, których nie znasz i nie widzisz!

Dyrektor rozśmiał się głośno i dźwięcznie, jak się śmieje człowiek zadowolony z dobrego dowcipu.

— I z czego się tak śmiejesz dyrektorze? — zapytał kontroler z chmurą na czole.

— Z grzeczności, z grzeczności—zacny sąsiedzie! Zdaje mi się, że chciałeś coś dowcipnego powiedzieć!

Kontroler przygryzł usta. Usiedli.

— Miałem wczoraj kilka znajomych osób u siebie, brakło tylko kochanego radcy. Był prezes, był *illustrissimus* (kanonik), była pani Odrowążyna i pani Leokadya, która wczoraj dopiéro ze wsi przyjechała. Przywiązała się bardzo do naszego domu.

Zacny naczelnik średniéj oświaty uznał za stosowne wymienić tych kilka odznaczających się nazwisk, a resztę milczeniem pominąć. Do tych należało kilku jego kolegów nauczycieli gimnazyalnych, kontroler z kasy podatkowéj z żoną i kilku aspirantów szkół średnich. Nic dziwnego. Pewne utajone aspiracye unosiły dyrektora wyżéj nad dzisiejszy jego poziom. Oprócz posiadanéj już kamieniczki jednopiętrowéj, marzył on jeszcze o... willi pod miastem.

Mając te aspiracye ciągle na myśli, uśmiechał się słodko szczęśliwy człowiek. Tego uśmiechu nie mógł mu dzisiaj darować zachmurzony kontroler.

— Powiedz mi mości dyrektorze—ozwał się—do czego tak się zawsze uśmiechasz? Rozmawiając z tobą, muszę się zawsze oglądać, czy kogo nie ma zamną!

I kontroler obejrzał się rzeczywiście. Dyrektor zaśmiał się z całą rozkoszą.

— Gdybyś szanowny radco — odparł — nie raz ale tysiąc razy się obejrzał, to nigdy tego nie obaczysz, co ja zawsze widzę! Widzę moje dzieci, widzę moją najdroższą żonę... to jest myślę i marzę o nich! A ty radzco co widzisz? Puste ściany i echa wspomnień na zawsze ubiegłych!

Kontroler machnął ręką.

— Wolę ja swoje puste ściany — zawołał — bo przynajmniéj wiem, że nikt... nie gra zemną komedyi!

I cytrynowa twarz emeryta pożółkła jeszcze więcéj. Dyrektor zaśmiał się donośnie.

— Zawsze jedno i to samo! — ozwał się — a zresztą ślepemu trudno sądzić o kolorach!

I znowu śmiech zdrowego i wesołego człowieka rozległ się po całym pokoju. Kontroler zacisnął usta, aż się przedłużyły od ucha do ucha. Uderzyło to dyrektora. Spojrzał z obawą na gościa, czy nie przychodzi z jakiem nieszczęściem, które mu dzisiejszy ranek popsuć może.

— Cóż to kochanemu radcy dzisiaj — pytał powoli — że tak wyglądasz jakbyś miał ocet w gębie.

Emeryt splunął.

— Alboż to tylko Chrystusa octem i żółcią pojono?—odparł—alboż to każdy z nas nie ciągnie w siebie tych specyałów jak wodę, chociaż sam o tem nie wie?

Dyrektor pokręcił głową.

— Tak, o trzydzieści lat mniéj, byłbym cię radco posądził o jakąś awanturę miłosną z niedobrym epilogiem! Czy tak?

— Alboż to mało awantur miłosnych, które takiego epilogu dla tego nie mają, że są jeszcze ukryte, że nie wiedzą jeszcze o niczém ci, których właściwie ten epilog potém boleśnie trafia!

Dyrektor zacisnął pasek szlafroka.

— Tego już nic a nic nie rozumiem!

Emeryt odchrząknął i splunął.

— Powiedz mi, kochany dyrektorze — mówił powoli — co właściwie skłoniło ciebie do... powtórnego ożenienia się?

Pasek czerwony na szlafroku dyrektora pękł nagle, jakby nożem rozcięty. Śmiech donośny rozległ się po całym pokoju.

— Niech-że cię uściskam, kochany sąsiedzie—śmiejąc się wołał dyrektor—niech-że cię ucałuję za to, coś teraz powiedział! Żeń-że się, żeń, tylko jak najprędzéj, ba... już czas bardzo nagli!

— Żenić się? kto ma się żenić — zawołał z pewnym sykiem emeryt — kto ma to głupstwo popełnić?

— Oczywiście ten, który się pyta—zacny mój sąsiad radca Protazy!

Emeryt podskoczył z krzesła.

— Drwisz sobie dyrektorze czy co? Czy chcesz abym powiększył legion tych...

— Tych szczęśliwych, o których wy w celibacie żyjący nie macie ani wyobrażenia! Wyście zmarnowali to w pierwszych dniach życia, co my skapitalizowali na całe życie!

— Aby nieznani spadkobiercy mieli za co hulać!

Gładka i dobrze wypełniona twarz dyrektora przybrała wyraz poważny.

— Zaczynam się domyślać — ozwał się z chmurką na czole — że otrzymałeś jakąś wiadomość bardzo niedobrą.

Emeryt rozśmiał się do swoich myśli.

— Zgadłeś dyrektorze—odrzekł — twojemu bystremu wzrokowi nic nie ujdzie jak widzę. Chciałbym tylko aby ten bystry wzrok nigdy cię nie opuszczał!

Emeryt wymawiał ostatnie słowa z wielkim naciskiem i patrzał na dyrektora jakie to na nim sprawi wrażenie. Oczekiwanie omyliło go. Dyrektor nietylko nie poczuł przy tych słowach żadnéj trwo-

gi, ale przeciwnie rozjaśnił twarz i z wielkiém zadowolnieniem zaczął palec koło palca kręcić.

— Że wzrok mój nigdy mnie nie omylił — odpowiedział z rozkosznym uśmiechem—o tém sam wiem najlepiéj. Niejednemu przepowiedziałem, co go czeka i nigdy nie chybiłem. Miałem ucznia, który był wielkim wisusem. Mówiłem mu zawsze, że skończy na szubienicy. I byłoby się tak stało, gdyby cesarz nie był go ułaskawił. Udusił ciotkę swoję a teraz siedzi w więzieniu na całe życie! A co kochany radco?

Emeryt ruszał ustami, jakby coś przeżuwał.

— Tak, to prawda—ozwał się—często widzimy daléj ale zbliska nic ujrzyć nie możemy!

— I zbliska—i zbliska dobrze widzę. Gdy siostra mojéj żony chciała wyjść za mąż za tego furfanta, co to potém żonę bankiera wykradł, to ja zaraz założyłem moje *veto*, bo paniczowi niedobrze z oczu patrzyło!

I zadowolniony dyrektor pogładził się po twarzy w nagrodę tego, co powiedział. Był szczęśliwy. Emeryt gryzł wargi.

— No—mówił daléj dyrektor — jeżeli masz jaką niedobrą nowinę w zanadrzu, a ja coś w tém pomódz mogę, to możesz radco ją wytrząść. Jeżeli zaś nie, to trzymaj sobie, albo daj komu innemu.

— Jeżeli tak to... zatrzymam ją i pogrzebię na zawsze w milczeniu!

Emeryt wymówił te słowa głosem tak grobowym, że dyrektor aż się poruszył na krześle.

— Jeżeli koniecznie trzeba — ozwał się z pewnym smutkiem— jeżeli to kochanemu sąsiadowi ulgę jaką sprawi, to już będę słuchał!

Tymczasem emeryt zbliżył się do okna, które właśnie dzisiejszéj nocy było przedmiotem szczególnéj obserwacyi. Było ono największe ze wszystkich i miało szyby ze szkła czeskiego. Można było przez nie wybornie wszystko widziéć, co się wewnątrz pokoju dzieje. A gdy przez to okno wyjrzał na ulicę, obaczył naprzeciwko to samo okno fatalne, które mu przypomniało nocną awanturę z młodemi ludźmi. Okno to było jeszcze przesłonięte gazetami i prześcieradłem, a gdy sobie pomyślał, że to służyć miało do lekkomyślnych wybryków, mających zazwyczaj tak tragiczny koniec... krew jego zmieszana z octem i żółcią rozgrzała się i z twarzą zarumienioną zwrócił się na powrót do krzesła, w którém był siedział.

— Muszę ci to dyrektorze powiedziéć—rzekł z determinacyą— bo nie tylko sprawi to ulgę memu sercu, ale uczynię tym sposobem zadość obowiązkom, jakie mnie do najbliższych moich sąsiadów wiążą!

Dyrektor westchnął i spojrzał na zegarek. Była to właśnie godzina, w któréj skrzyp jego butów zwykł się był odzywać po wszystkich komnatach.

— Słucham cię, radco! — rzekł głosem zniżonym.

— Wczoraj—zaczął emeryt—gdy się właśnie wieczorek w waszém mieszkaniu odbywał... i to w chwili gdy twoja żona, kochany dyrektorze, w sukni wygorsowanéj, z włosami utrefionemi...

Dyrektor chwycił emeryta za klapę.

— Z włosami utrefionemi... prawda, że wyglądała pięknie! mów daléj radco.

— Jak bogini jaka chodziła z pokoju do pokoju... w téj właśnie chwili... otrzymałem list od przyjaciela!

Dyrektor dmuchnął przed siebie jak człowiek, który półgodziny z wielkiéj rozkoszy nie oddychał.

— List od przyjaciela? I cóż było w tym liście?.. Ale słuchaj radco — jeżeli mi tego wiedziéć nie trzeba, to schowaj dla siebie! Jest mi w téj chwili bardzo dobrze!

— W liście tym doniesiono mi — mówił nieubłagany emeryt— że pewnemu memu krewnemu, który tu z żoną swoją mieszka, grozi wielkie niebezpieczeństwo!

— Bój się Boga radco! — biadał szczęśliwy człowiek — czy ja mam koniecznie o tem nieszczęściu wiedziéć?

— Popełnił on nierozsądek, ożeniwszy się powtórnie z młodą, przystojną kobiétą. Sam jest już niemłody, ma dwoje dzieci!

Dyrektor wstał z krzesła i obmacał swoję głowę, którą już gdzieniegdzie przypruszyła siwizna. Stąpił kilka kroków naprzód, potém wrócił do radcy.

— Cóż daléj? — zapytał miękkim głosem.

— Otóż naprzeciwko takiéj pary zamieszkał jakiś młody Lowelas i przez okno stroi koperczaki do młodéj żonki starego męża! Co więcéj—jest tyle bezwstydny, że zwołuje do siebie podobnych sobie i pokazuje im przez okno wiotką kibić — jak się wyraża— nocnéj królowéj! Sam słyszałem taką rozmowę!

— Słyszałeś, radco?

— Męża nazywa to zacne grono „starym“ i „łysym“ i gniewa się, jeżeli „stary“ i „łysy“ zasłoni im najmłodszą z rówieśniczek kobiétę! Sam słyszałem!

— Ale żona o tem nic nie wie!

— Emeryt ruszył ramionami!

— Na tém wczorajszéj nocy stanąłem, resztę odkładam na późniéj. Wiem jednak to z doświadczenia, że gdzie się zaczyna

pokusa—gdzie ta pokusa ma warunki sprzyjające, tam jest już w niedalekiéj przyszłości — upadek!

Dyrektor przeszedł się kilka razy krokiem niespokojnym. Urwany pasek wlókł się za szlafrokiem.

— Nie, nie, niepotrzebnie się naprzód trapisz — ozwał się po chwili—ręczę ci, że na tysiąc pokus zalewie jeden jest upadek. Kobiéty mają zacne, poczciwe serca. Można je do siebie przywiązać, można z nich uczynić najszczersze towarzyszki życia.

— Daj pokój dyrektorze, już ja znam lepiéj kobiéty od ciebie! Jadało się chleb z różnych pieców!

— Nie znasz kobiét, kochany radco — żadnéj kobiéty nie znasz! To co znałeś, to nie były kobiéty w ścisłém znaczeniu tego słowa—to były wietrznice! Całe wasze nieszczęście, że z takich kobiét sądzicie potém ogół. A to wierutna nieprawda!

Radca uśmiechnął się uśmiechem doświadczonego w takich sprawach człowieka.

— Śmiej się, śmiej—zapalał się dyrektor—a ja ci powiadam, że w tych mniemanych doświadczeniach swoich jesteście najnieszczęśliwsi ludzie na świecie! Życie całe zeszło wam na łatwych zdobyczach—i według owych zdobyczy sądzicie potém świat cały. Co się łatwo zdobywa, to téż i łatwo ucieka, a wy goicie potém rany swoje szyderstwem i niewiarą — podejrzywaniem innych o to, coście sami zrobili!...

Emeryt uśmiechnął się i ruszał nogą w odmierzonym takcie.

— Jak widzę — ozwał się po chwili—zrobiłeś mnie dyrektorze wielkim łowczym koronnym i myśliwym przed obliczem Pana... ale zważ tylko, że gdzie jest myśliwy, tam i zwierzyna musi być niedaleko!

I roześmiał się z własnego konceptu. Rozdrażniło to jeszcze więcéj dyrektora.

— Dajmy pokój — zawołał — bo na tym punkcie nigdy się nie zgodzimy. Z życia wynieśliśmy zupełnie odmienne doświadczenia. Ja nauczyłem się kochać i wysoko cenić serce kobiece, bo zdobywałem je długą pracą i poświęceniem, ty ze wzgardą mówisz o niem, bo znałeś tylko takie, które łatwo zdobyte warte były téj wzgardy!

I odetchnął zacny dyrektor jak człowiek, który już wszystko wypowiedział. Nastąpiło długie milczenie. Emeryt obgryzał tymczasem paznogcie, a dyrektor mimo nieporządku, jaki zakradł się w draperye jego szlafroka z przyczyny urwanego paska, przechadzał się poważnym krokiem szlachetnego człowieka, który w obronie sławy bliźnich mężnie kopię skruszył.

Wreszcie zatrzymał się przed radcą.

— Zresztą—rzekł do niego głosem wzruszonym—weź ze mnie przykład. Byłem wdowcem i miałem dwoje dzieci. Nie jestem Apolinem, włos spełzł i przerzedniał, a jednak nie wahałem się pojąć za żonę po raz wtóry młodą osobę, która nawet innym młodszym odemnie bardzo się podobała!

— Atoż to całe nieszczęście, że młoda żona takiego męża zawsze się potem innym, młodszym podoba!

— Bądź-że cicho, radco! Moja Elżbietka pierwéj się podobała młodszym, a potém mnie starszemu. Za żadnego z młodszych iść nie chciała. A powiadam ci, jaka z niéj żona wzorowa!... jaka gospodyni!... a w dodatku jak mnie kocha! Gdy przed miesiącem zachorowałem na katar...

Pan Protazy machnął ręką.

— Ależ, szanowny dyrektorze!—przerwał szczęśliwemu. — Nie mówię o twojéj żonie... mówię o żonie swego krewnego. Tam były może inne warunki. Były trzy piękne córki u matki, a matka niewiele miała funduszu na życie poczwórne. Mój krewny miał wprawdzie dwoje dzieci, ale dzieci były bardzo małe, a jeszcze milszą była kamieniczka dwupiętrowa i trzy place na budowę fabryki, a oprócz tego gorąco oczekiwana scheda po jakiejś ciotce. Wszystko to wzięte razem wywarło bardzo słodki nacisk na serce jednéj z trzech pięknych cór niebogatéj matki i serce zapaliło się raptownie jak szwedzka zapałka. Olśniło to biednego wdowca, pobrali się, i było tam nawet zrazu wiele miłości między nimi. Tak przynajmniéj wierzył i mówił były wdowiec. Ale po niejakim czasie stało się to, co się wszędzie i zawsze dzieje. Serce zmuszone do wyboru, wybrało pod naciskiem ubóstwa i pod groźbą najsmutniejszéj przyszłości. Był-to krok rozpaczy, którą jednak sam instynkt zachowawczy przysłania jaśniejszą barwą... rozsądku, poświęcenia się dla rodziny!... Brak żywszego uczucia nazywa się wtedy szacunkiem, poważaniem, a nawet... pewném przywiązaniem! Grunt jednak tego tynku zostaje ten sam, to jest: rozpacz, przymus, konieczność, ostateczny ratunek pod groźbą nędzy!

Dyrektor posunął się na krześle, chwytając machinalnie za urwany pasek.

— Tak—prawił dalej pan Protazy — każdy bogatszy wdowiec, choćby nie dwoje ale pięcioro miał dzieci, znajdzie zawsze młodą żonę! Ale niechże wtedy w szczęściu swojém nie zapomina o tém, że te słodkie pieszczoty i gorące pocałunki, które mu się dostają, są tylko uciążliwą pracą skrępowanéj ofiary. A rycerz do rozcięcia tych krępujących więzów zawsze się znajdzie!...

Twarż dyrektora była przez chwilę tak spokojną, jak spokojne jest morze przed burzą. Pan Protazy patrzał z uwagą w tę twarz i czekał, co się w końcu z tego spokoju wywiąże. Jego oczy powoli rozświecały się...

Tymczasem gładko utoczona twarz dyrektora zaczęła się powoli rozszerzać przyjemném uczuciem, a niebawem zawitał na niéj uśmiech zadowolnienia.

— Twój krewny — ozwał się do sąsiada — twój krewny mości radco jest w takim razie człowiekiem bardzo nieszczęśliwym. Mam wiele dla niego współczucia, tem więcéj, że będąc prawie w tém samém co on położeniu, trafiłem jakoś lepiéj. Jeżeli prawdą jest, jako twierdzisz, że młoda kobiéta w takim razie tylko się dobrze sprzedaje; to z téj reguły muszą być pewne wyjątki lepsze, do których moja Elżbietka należy.

Pan Protazy pożółkł, oczy zaiskrzyły mu się zielonym ogniem, a niczém niezachwiany dyrektor uśmiechał się uśmiechem najszczęśliwszego człowieka.

Po chwili powstał dyrektor wyciągnął rękę do gościa.

— Pozwolisz radco — rzekł do życzliwego sąsiada — że się przejdę trochę po pokojach. Słyszę, że służba nic nie robi, a chłopcy zapewne próżnują także. Chcę, aby tylko usłyszeli skrzyp moich butów—inaczéj będą myśléć, żem wyszedł.

— I owszem—odparł z ironią pan Protazy — nieprzeszkadzam ci dyrektorze, gospodaruj z pomocą swoich butów skrzypiących. Bądź pewny, że nigdy nic złego nieujrzysz i... żyć będziesz długie lata!

Rzekłszy to, wziął kapelusz i wyszedł. Na schodach dopiéro uśmiechnął się słodko do swoich myśli. Myślał w téj chwili o tém, co to poczciwego dyrektora ostatecznie spotkać musi!

VII.

Nie wiedział pan Protazy, że rzucone w chrześciańskiéj miłości ziarno tak prędko kiełkować zacznie.

Po jego wyjściu owinął się dyrektor szlafrokiem, aby z należytą powagą okazać się służbie i studentom jego opiece powierzonym, i rozpoczął zwykłą swoję wędrówkę.

Buty skrzypiały okazale i rzucały należyty postrach na ukrytych malefikantów. Według mniemania zacnego dyrektora nie pozwalały one złym myślom dojrzéć do czynu, a jeżeli mimo to, wykonywanie jakiego złego czynu już się rozpoczęło, przerywały go w połowie i złoczyńcy dawały sposobność opamiętania się i poprawy.

I nigdy niezawiodła go taka maksyma. Nieraz spostrzegł wszedłszy do kredensu, że szafka, w której stał arak i likier była niepotrzebnie otwarta, że flaszki nie stały na swojém miejscu. Widocznie był zamiar przestępstwa — ale przeszkodziły buty skrzypiące. W takim razie wprawném okiem zmierzył płyny we flaszkach zawarte i niby niespostrzegłszy otwartéj szafy, wychodził na czas jakiś z domu. Z powrotem potajemnie skontrolował szafę i przekonał się, że żadnego ubytku nie było. Przekonał się, że lokaj usłyszawszy skrzyp butów, nie tylko chwilowo od złego czynu odstąpił, ale nawet widocznie poprawił się. Postrach rzucony nań śród złego przedsięwzięcia—umoralnił go!

Tak wierzył poczciwy dyrektor, który sam rumu i wódki nie pijał, a żaden z gości nie powiedział mu, że rum nie miał woni, a wódka nie była zbyt tęga.

I teraz trafił na coś podobnego. Szufladka, w któréj zwykł był trzymać cygara dla znakomitszych gości, była wysunięta. Pokojowy, który wycierał okna, okazywał niejakie zakłopotanie, ale zacny pedagog zadowolnił się tém zakłopotaniem i mimo wysuniętéj szuflady przeszedł do drugiego pokoju. Tam także nie wszystko było w porządku. Wprawdzie siedzieli malcy przy książkach, ale dwie książki były obrócone w pośpiechu do góry nogami, a dwa nosy i jedno ucho miały czerwoność niezwykłą. Dyrektor zmrużył jedno oko i... poszedł daléj.

W kobiecych pokojach zatrzymał się najdłużéj. Skupiał się teraz tutaj największy dla niego interes. Tu była świątynia jego szczęścia, tą atmosferą oddychała jego Elżbietka.

Obejrzał się na wszystkie strony i usiadł na fotelu.

— Co też ten poczciwy kontroler prawił mi! — rzekł do siebie.

W myślach swoich i w prywatném kółku nazywał zawsze swego sąsiada kontrolerem a publicznie dawał mu tytuł radcy, jak z grzeczności wypadało.

— Co też to za androny prawił!... Całe życie bałamucił kobiéty i siebie i wyrobił w sobie to przekonanie, że cały świat jest taki jak on i te kobiéty, które on znał! Jakaż to fałszywa maksyma—jak można takim łokciem mierzyć wszystkich!... Gdy był aspirantem i pomocnikiem kasyera, to łowił rybki gdzie się zdarzyło, a gdy dostał dymisyą z rangą kontrolera, to zdaje mu się, że ma prawo moralność publiczną kontrolować!... Tak się to dzieje na tym bożym świecie! Kobiéta gdy wdzięki straci, staje się bigotką i napędza drugich do kościoła—marnotrawca straciwszy wszystko pisze o ekonomii społecznéj—pijanica, który już pić nie ma za co lub nie może, zawiązuje towarzystwo wstrzemięźliwości!... A ten emerytowany

adonis czyż tak nie robi? Ubolewa nad nieszczęściem krewnego, którego młoda żona... Tam do kata, opowiada mi jeszcze o nich historyą, która jest zupełnie podobną do mojéj historyi i Elżbietki!... Niech go flanela trzaśnie!... Gdybym był skłonny do podejrzenia... gdybym miał jakie takie poszlaki, mógłbym taką awanturę w domu wyprawić, jakiéj miasto nasze od chwili „wcielenia na wieczne czasy“ do kompleksu monarchii nie widziało i niesłyszało. O! czuję się zdolnym do tego! Powiadają, żem chodząca łagodność, ale ja wiem dobrze, jaki zwierz jest we mnie ukryty. Dałem tego dowody w radzie miejskiéj. To nie krawiec mospanie ryczał w lwiéj skórze ale lew—lew z sahary a przynajmniéj z Przylądka dobréj nadziei!

Zacny dyrektor dmuchnął tutaj przed siebie, jak dmucha huragan, gdy całą karawanę z Arabami i wielbłądami chce w piasku żywcem zagrzebać.

Oparł głowę o poręcz fotelu i myślał długo. Zapewne wyobrażał sobie, jakie-by to wrażenie sprawił jego ryk domowy, gdyby do tego był zmuszony.

Uśmiechnął się.

— Głupstwa gadał kontroler—rzekł do siebie—takie głupstwa, że nie warto było go słuchać! Jeżeli ktoś plewą rzuca to nie zabije wprawdzie nikogo, ale plewa wpadnie czasem w ucho lub za kołnierz i tam swędzi! Głupstwa gadał to prawda, ale z tego głupstwa coś mi za kołnierzem zostało!

I chcąc się od tego uwolnić, rozwinął szlafrok i potrząsł nim kilka razy w powietrzu.

— Głupstwo a jednak swędzi!... Powiada, że za wdowca z dziećmi idzie tylko z przymusu młoda kobiéta. Kto Elżbietkę przymuszał? Nawet tak bardzo nie nadskakiwałem! Same mnie garnęły do siebie. Zapraszały to na obiadki, to na herbatkę! Stryjaszek dawał mi zawsze takie cygara, jakie ja palę zwykle, a Elżbietka tak zawsze moje dzieciaki wyściskała i wycałowała, aż się w końcu bały jéj jak dyabeł święconéj wody!... I tę kobiétę miał kto przymuszać!...

Dyrektor wciągnął tutaj w siebie napowrót wydmuchnięte przed chwilą powietrze. Zdawało się, że miał zamiar kichnąć, ale splunął tylko z energią.

— Głupstwa plotłeś, kontrolerze!—mówił daléj — może być, że się znajdzie taka Fryne.... no! ale ztąd nie wypływa, aby każdy wdowiec z dwojgiem dzieci tak kunsztownie był urządzony!... Kto zmuszał moję Elżbietkę!

Śmiał się niejakiś czas i ruszał ramionami. Po chwili zmarszczył czoło.

— Powiada kontroler — myślał daléj — że kamieniczka dwupiętrowa może wywierać pewną, łagodną presyą... ależ to głupstwo wierutne! Przecież kobiéta nie bierze ślubu z kamienicą ale z człowiekiem i jemu to a nie kamienicy przysięga wierność i miłość aż do grobu!... Głupi kontroler!

I dawny uśmiech wrócił na twarz dyrektora.

Długi czas siedział z tym uśmiechem. Kilka much krążyło koło jego nosa — nic im nie mówił. Jedna chciała usiąść na czole, nic nie powiedział, tylko najmniejszym palcem dał jéj napomnienie, aby cudzy grunt szanowała.

Obejrzał się po pokoju.

— Już-to względem Elżbietki najmniejszéj myśli nie można przypuścić!.. Nie, to byłoby szaleństwem z mojéj strony, szaleństwem Otella!... Nie... nie... nie lękaj się biedna Desdemono takiego szaleństwa odemnie (słowa te wymawiał dyrektor zwrócony do portretu żony) nie padniesz z mojéj ręki, boś na to niezasłużyła! Prędzéj on... oszczerca!

W chwili téj zapomniał dyrektor nazwiska tego szekspirowskiego oszczercy i intryganta, ale w kierunku mieszkania pana Protazego wykonał ręką kilka pchnięć jakoby sztyletem.

Zdawało się, że tym sposobem już się uspokoi, ale... plewa za kołnierzem jeszcze swędzi! Podniósł się z krzesła i przeszedł się kilka razy po buduarze żony.

— Już sam porządek, jaki tu panuje—mówił półgłosem—dowodzi, że Elżbietce nic po głowie nie lata. Wychodząc do kościoła, zostawiła wszystko w porządku. Poukładane, pozmiatane wszędzie, ani pyłku ani szmatki nigdzie!.. Kobiéta któréj wietrzno w głowie, nie zostawia takiego porządku, wychodząc z domu. U téj wszędzie chaos. Chaos w głowie, chaos w sercu, chaos w pokoju! Jest to warunek każdéj burzy. Tylko w spokojnéj atmosferze może dojrzéć i utrzymać się taki porządek! Nie, nie — Elżbietka jest zacna kobiéta!

Po tych słowach przestało swędzić za kołnierzem. Dyrektor usiadł na powrót na fotelu. Ułożył się jak najwygodniéj, aby resztki niespokojnych myśli jak rozrzucone pierze starannie pozbierać i napowrót włożyć do miękkiéj poduszki domowego spokoju.

Siedział tak czas dłuższy. Późniéj podniósł się nagle jakby jaka nowa myśl zaświtala mu w głowie.

I zaświtała rzeczywiście. Pomyślał sobie, że kobiéta (a przytém słowie wyobrażał sobie zawsze kobiétę wyższą) kocha nie tylko samego mężczyznę, ale także i jego stanowisko, jego zasługi i spełnione dla dobra publicznego obowiązki. I powziąwszy taką

myśl, rozjaśnił całkowicie twarz swoję, bo na tym punkcie trudno było go pobić.

Pochylił się do biurka żony i otworzył jedną szufladkę. Rozśmiał się na widok zwoju papierów.

— Pójdźcie wdzięki moje — rzekł miłościwie do papierów — pójdźcie, niech was popieszczę!

I zaczął przed sobą rozkładać papiery. Były to dla niego prawdziwe skarby. Zaświadczenia z ukończonych szkół, sekreta mianujące go koleją pomocnikiem, nauczycielem, zastępcą dyrektora a w końcu dyrektorem rzeczywistym z prawem tak zwanych decenniów... i listy znakomitych ludzi, druki w formie broszur i dzienników i mnóstwo innych papierów z pieczęciami i bez pieczęci, wszystko to leżało teraz przed nim i błagało o łaskawe wejrzenie i uśmiech.

Nie szczędził jednych i drugich. Wszak to były najdroższe skarby jego. Złożył je u nóg swojéj Elżbietki, która je starannie poukładała, w bibułę owinęła i w pryncypalnéj szufladzie swego biórka zamknęła.

Dyrektor rozwinął zaświadczenia szkolne.

— Wszystkie celujące!—zawołał — no, proszę i gdzież-by to Elżbietka znalazła innego z takiemi zaświadczeniami!... Tu... dyplom na członka Towarzystwa wzajemnéj oświaty!... Czyż to nic?... Tu znowu dyplom na członka korespondenta towarzystwa pedagogicznego!... A to—nic nie znaczy? Dyplom na członka Towarzystwa historyczno-lingwistycznego! Niechże jaki dzisiejszy facet z głową na pół przedzieloną tém się poszczycił... Tu mianowanie na członka komisyi językowéj .. A co? Czy to mały splendor? Czy Elżbietka znalazłaby tak prędko innego, któryby podobne do mnie zajmował stanowisko? Przecież ani aplikant, ani nawet mój pomocnik greczyzny czemsiś podobném wykazać się nie może!...

Dyrektor wziął teraz kilka broszur do ręki! Ręce mu zadrżały. Wspomnienie rozpaliło mu oko!

Broszury te przypomniały mu jego walkę bohaterską. Wystąpił on z wnioskiem nowego systemu wychowania. Wniosek ten trafił na opozycyą, nawet w wyższéj sferze. Dyrektor nie dał za wygraną—siadł, pisał, drukował, wertował grube księgi, czytał Arystotelesa i Liwiusza i w końcu wyszedł zdrowo z tarapatów. Tylko włosy jego ucierpiały. Znacznie przerzedziły się a nawet na środku okazała się łysinka, która mimo wszelkich specyfików dążyła szybko do uszu z jednéj i drugiéj strony.

Dyrektor wygrał, ale od téj pamiętnéj walki zaczął łysieć. Tem się tylko pocieszał, że łysinka ta była skutkiem poczciwéj pra-

cy dla dobra publicznego i że jak blizna, jest raczéj ozdobą niżeli oszpeceniem głowy ludzkiéj. A głowę swoję nosił odtąd dyrektor jeszcze wyżéj niżeli dawniéj — nie dla tego, aby ona była lekszą, ale że czuł na niéj ciężar korony obywatelskiéj, chociaż nie tak widoméj jak u Cezara, który także był łysy, a któremu, jak twierdzą złośliwi, tylko dlatego pozwolił senat taką koronę na codzień nosić.

I człowieka z taką zasługą nie miałaby kochać Elżbietka? Nie— to istne oszczerstwo. A gdy do tego zacny dyrektor jeszcze dwa pochlebne dekrety od ministra znalazł i miłościwém okiem je objął, wtedy był już zupełnie pewny serca swojéj młodéj Elżbietki, bo takich dekretów pochwalnych nie miał ani aplikant gimnazyalny z czarną bródką, który co niedziela przychodził do niego na herbatę, ani jasnowłosy dependent od adwokata, który z Elżbietką nieraz duety śpiewał!

— Nie—pan Protazy to żółciowy potwarca kobiét. Sam już przez nie zaniedbany, rzuca teraz na nie kamieniem. To zwykły proces każdéj wystygłéj namiętności. Szczęście ludzkie, którego nigdy niezaznał, szczęście spokojne razi go i radby to szczęście innym odebrać. Elżbietka najzacniejsza kobiéta.... dyplom na członka Towarzystwa... dyplom na... dyplom... komisya językowa... System indukcyjny wychowania... dwa dekreta pochwalne od ministra... Nie— Protazy oszczerca... Elżbietka najzacniejsza, kochająca żona!...

Tu ustały myśli dyrektora, z nadzwyczajnego trudu—zasnął!

VIII.

Jeżeli skrzypiące buty zacnego dyrektora korzystny dla porządku domowego wpływ wywierały, przeciwny zupełnie skutek sprawiło łagodne jego chrapanie, które teraz niewyraźnie lecz wdzięcznie jak harfa eolska zaczęło się po wszystkich rozchodzić pokojach.

Najprzód nauczyciel muzyki przestał całą ręką takt wybijać i tylko jednym palcem od czasu do czasu nieznacznie kiwnął. Przez co wkradła się do „melodie des anges,“ którą właśnie wykonywano, pewna wcale nie anielska dysharmonia, co jednak nauczycielowi nieprzeszkadzało słuchać i głową kiwać. Godzina i tak dobiegała do końca.

W przybocznym pokoju, gdy tylko pierwsze senne akordy zacnego dyrektora usłyszano, złożono natychmiast radę wojenną, na któréj uchwalono, aby z książek porobić tarcze i zabawić się w bój rzymski. I dziesięciu walnych chłopców stanęło w szeregu, aby w sposób Fröblowski nauczyć się tego, co prosto z książki do głowy leźć nie chciało.

W kredensie słychać było także pewien ruch, który nie był ruchem dodatnim, jak się zwykł wyrażać dyrektor. Ujmowano tam bowiem z różnych flaszek różnych płynów, a jeżeli natomiast coś dodawano, to pewnie nie to, co wybrano. Wicek, sprytny pokojowy chłopak, wielce przez dyrektora za spryt lubiony, użył właśnie tego sprytu, aby szufladkę z cygarami otworzyć, i z niéj najsuchsze wybrać dla siebie cygaro. Potém ubrał się w jakiś chałat długi niby w szlafrok i paląc cygaro naśladował mierzone ruchy swego chlebodawcy, z czego reszta służbowego personelu szczerze i serdecznie się śmiała.

Tymczasem w pokoju, w którym znużona niezwykłemi myślami głowa domu słodko zasypiała, panował spokój uroczysty. Dwie papużki, wdzięczniejsze od Wicka, zachowały się wzorowo i ani razu się nie odezwały, chociaż akord dyrektora zupełnie do ich tonu się stosował. Młoda myszka, która zachęcona ciszą wyszła na żer i właśnie po nodze dyrektora chciała się w wyższe dostać regiony— wróciła się od kolana, aby strudzonéj głowie domu snu nie odbierać. Tylko trzy natrętne muchy nie okazały takiéj szlachetności. Korzystały one właśnie z przymusowego położenia dyrektora i pastwiły się nad nim w ścisłém znaczeniu tego słowa. Z trzech stron, od czoła, ucha i brody zapuszczały po zacném obliczu jego swoje zagony w marszach dośrodkowych, a spotkawszy się w okolicy wąsów i nosa, pokłoniły się sobie na znak przyjaźni i sojuszu i cofały się znowu na dawne stanowiska. Zdawało się, że ci trzéj sprzymierzeńcy, całe zacne oblicze śpiącego człowieka podzielili między siebie i tylko od czasu do czasu konferowali z sobą przy wąsach i nosie, jeżeli tego wspólny wymagał interes. Bezbronny dyrektor znosił jak marmurowy posąg spokojnie taką nieprawość a często nawet musiał przeboleć i hańbę, jakiéj dopuszczano się na jego białéj, czysto obmytéj skórze.

Taką właśnie była sytuacya, gdy bronzowa portyera poruszyła się cicho po za plecyma dyrektora, a z pod portyery wychyliły się dwie postacie kobiece, które z pewném zadziwieniem nagle przy progu się zatrzymały.

Jedna z nich była starsza i, jak się zdaje, chyliła się już znacznie do trzydziestki. Miała ciemny kostium bez żadnych ekscentrycznych falbanek, kapelusz jedwabny z czarném piórem i ciemne duńskie rękawiczki. Twarz jéj nie była ładna według pojęcia akademicznego, ale miała pewien wdzięk, który mile ciągnął ku sobie. Osobliwie w ciemnych, nieco zmrużonych oczach migotał ukryty płomyk, który zdradzał duszę żywą i serce wcale nie zimne. Stwierdzały to jéj ruchy szybkie pełne wdzięcznego zaokrąglenia, jakie tylko widzieć można u artystki z nawyknienia do gry przed widzami

Nóżka w sznurowanym buciku, która się teraz z pod fałdzistéj materyi naprzód wysunęła, okazywała także, że jest starannie a nawet z pewną kokieteryą pielęgnowaną.

Druga kobiéta była znacznie młodszą. Mogła uchodzić za młodszą siostrę, bo typ miały familijny. Ta miała tylko jaśniejsze włosy, niebieskie oczy i wzrost wysmukły, podczas gdy starsza była szatynką, miała ciemne oczy i wzrostu była średniego. Kostium miała także skromny, ale były w nim niektóre jaśniejsze dodatki, które świadczyły o panieńskim jeszcze stanie.

Gdy weszły do pokoju, zatrzymały się nagle po za fotelem, na którym spoczywała w niezwykłych warunkach głowa domu. Na ich twarzach pojawiło się na raz pewne zdziwienie, a potém oczy posłały sobie wzajemne zapytania.

Odpowiedziała najprzód starsza uśmiechem, z którym jéj było bardzo do twarzy. Położyła mały paluszek na ustach, z czém jeszcze lepiéj wyglądała, i powoli, zebrawszy szeleszczącą suknię w drugą rękę, zbliżyła się z frontu do drzemiącego.

Śpiący dyrektor nie wyglądał w téj chwili tak prawidłowo, jak przystało na człowieka wyższéj pozycyi. Szlafrok jego nie ujęty paskiem w należytą draperyą, rozwinął się bezładnie i był więcéj podobny do żagli ustrzęgłego na mieliźnie okrętu. Ręce jego opadły na dół jak ręce spracowanego robotnika. Głowa pochyliła się ku piersi, co sprawiało, że oddech nie odbywał się prawidłowo, ale musiał pokonywać pewne trudności, które mu ustawicznie w drodze stawały. Prócz tego zamiast prawidłowo przez nos wchodzić i wychodzić, chciał sobie drogę skrócić i przemocą śpiącemu otwierał usta, co wydawało podobny odgłos, jaki słyszymy, gdy kto fajkę pali. Twarz dyrektora nie miała także wyrazu odpowiedniego wyższemu stanowisku. Trzypolowe gospodarstwo skrzydlatych sprzymierzeńców drażniło go nawet we śnie i zmuszało poważne wąsy jego i nos niepospolity do ruchów wcale niepoważnych i bardzo pospolitych. Ruszał to jednym to drugim wąsem, krzywił nosem i mrugał ustawicznie oczyma, chociaż były szczelnie zamknięte.

Widok takiéj drzemki męża publicznego byłby każdemu obojętnemu widzowi wydał się, co najmniéj, zabawnym. Młodsza nawet kobiéta, która za starszą powoli zdążała, miała wielką ochotę rozśmiać się serdecznie, ale powstrzymały ją słowa starszéj.

— Patrz Femciu—rzekła półgłosem z pewną rozkoszą — patrz, jak biedny mój Józefat zasnął sobie!... Poczciwy! Za długo zabawiłam się—czekał na mnie—a nie mogąc się doczekać, przyszedł tu do mego pokoju, gdzie mu każda drobnostka mnie przypomina — i tu spoczął sobie! Poczciwy, zacny Józefat!

I na ustach młodéj żony zaigrał uśmiech słodki—i poruszyły się te usta, aby na czole zacnego .Józefata złożyć pocałunek matrymonialny; gdy twarz dyrektora nagle tak się skrzywiła, jakby mu ocet z żółcią podać chciano. Małżonka zatrzymała się z pocałunkiem i zaczęła z troską śledzić powodu tego skrzywienia. I odgadła. Ujrzała trzy grube muchy, które z wielką lubością w białą skórę męża publicznego zapuściły swoje krwi chciwe ryjeczki. Spłoszyła je czém prędzéj; ale jeszcze prędzéj usiedli trzéj sprzymierzeńcy na inném miejscu twarzy. Pani Elżbieta powtórzyła swoję robotę kilka razy, ale natrętne muchy ani myślały opuścić tak smacznego żerowiska. Zniecierpliwiona wreszcie chciała już zbudzić małżonka, ale żal się jéj zrobiło, że mu przerwie sen tak słodki, sen, który w jéj pokoju musi zapewnie mężowi publicznemu stawiać przed oczyma duszy obrazy bardzo rozkosznéj natury. Pożałowała tych obrazów. Odpięła od kapelusza błękitną woalkę i starannie przesłoniła nią twarz śpiącego, odpędziwszy wprzód trzy sprzymierzone muchy aż do drugiego pokoju.

Wspaniale wyglądał teraz dyrektor pod błękitną zasłoną. Twarz jego uspokoiła się i była podobną do posągu, jaki zazwyczaj stawia się ludziom znakomitym. Nawet draperya szlafroka ułożyła się klasyczniéj i przypomniała togę obywatela rzymskiego.

Pani Elżbieta stała długi czas przed zacnym pracownikiem. Oczy jéj patrzały z pewném rozrzewnieniem na te spokojne, prawdziwie posągowe rysy, które zafarbowane na błękitno wydawały się jakby były ze srebra wykute.

— Poczciwy Józafat!—ozwała się prawie szeptem do siostry—on przyszedł tu na mnie czekać!... Wierzaj mi, Femciu, przyjemne są wizyty, koncerta i teatr, przyjemna przechadzka po mieście lub przejażdżka po cudzych krajach, ale najprzyjemniejszy jest... kąt własny i ta wiara, że w tym kącie ktoś na nas czeka!... Różne są wyobrażenia o miłości, ja z mojéj jestem bardzo zadowolona i szczęśliwa. Jeżeli kobiéta widzi nieustanną dla siebie opiekę, jeżeli widzi, że ktoś drugi odgaduje jéj życzenia a nawet mrzonki — jeżeli za taką dla siebie troskliwość wdzięczną tylko być może, to już jest szczęśliwa!

Eufemia podparła się na parasolce i błękitne swe oczy zwróciła na śpiącego. Po miłościwych słowach siostry już wcale nie wydawał się jéj śmieszny zacny dyrektor. Miłość żony nastroiła inaczéj jéj oko. Smutno, z przelotném w oczach marzeniem patrzała teraz na swego szwagra. I byłaby się może na piękne rozmarzyła i o śpiącym Endymionie coś pomyślała, gdyby pani Elżbieta nie była ją zlekka trąciła w ramię.

— Niech śpi — szepnęła z cicha — wczoraj do dwunastéj godziny w nocy musiał z kanonikiem i prezesem grać wista, którego serdecznie nie lubi. Niech śpi!... A my tymczasem *semi-voce* w drugim pokoju odśpiewamy mu *berceuse*. Niezawodnie usłyszy ją przez sen i słodko sobie zamarzy o czemś, co mu wielką sprawia radość!

Eufemia zdawała się niesłyszéć słów ostatnich, bo spojrzenie jéj ścigało w téj chwili jakieś ukryte marzenie...

Pociągnięta przez siostrę machinalnie wyszła do duetu.

(D. c. n.).

Jan Zacharjasiewicz.

Współczesna Powieść we Francyi.

I.

GUSTAW FLAUBERT.

(1821 — 1880).

Flaubert urodził się Normandem i to z nieporównaną świetnością atawizmu. Nie był-to bowiem Normand dzisiejszy, w którym norwegski przodek odrodził się przez pociąg do łupiestwa, ani téż dawny korsarz morski, który stał się korsarzem izby sądowéj; ale był to stary Normand, wspaniały, barbarzyński, z postawą olbrzyma, dziką powierzchownością, zamiłowaniem do przygód i jego wysoką pogardą dla życia. Kto widział Flaubert'a przechodzącego po ulicy, czuł się zmuszonym do obejrzenia się za nim po kilkakroć, tak jego szeroki i poważny chód silnie odbijał od naszéj obecnéj małości. Postawy wyniosłéj, budowy mocnéj, chodził on wielkiemi krokami, poruszając nieco ciężkiemi ramionami jak marynarz i machając rękoma jak gdyby dla potrząsania bronią. Czerwona twarz błyszczała. Wąsy gęste, opadające, wydymały się pod parciem silnego głosu, który mniéj daleko zdawał się być urobionym do pogawędki w zamkniętym pokoju, niż do rozkazów i krzyku na otwartém powietrzu. Oko jego jak oko morskich orłów ciskało błyskawicami. I to wszystko tak wyglądało nie tylko dla tych, co wiedzieli, że przechodzący nazywał się Flaubert, lecz dla pierwszego lepszego ciekawca, który od razu zostawał olśnionym na widok tego olbrzyma z innego wieku.

Urodzony w 1821 roku, powołany został do życia literackiego w chwili kiedy cała sztuka zogniskowała się jak najsilniéj. Nie wiém—mówił on sam—jakie są dziś marzenia młodych gimnazistów ale nasze były wspaniałe szaleństwem; ostatnie prądy romantyzmu gotowały się w naszych mózgach..' Po skończeniu zadań rozpoczy-

nała się literatura; psuliśmy sobie oczy czytaniem romansów w sypialniach; niektórzy nosili sztylety w kieszeni jak *Antony*, inni posuwali się jeszcze daléj: przez zniechęcenie do życia Bar... strzelił sobie w łeb z pistoletu, And... powiesił się na swoim własnym krawacie. Z pewnością, nie bardzo zasługiwaliśmy na pochwałę. Ale jaka nienawiść do wszystkiego co płaskie! jaka chęć wzniesienia się do tego co wielkie! jakie uszanowanie dla mistrzów! Jakie uwielbienie dla Wiktora Hugo! Cechę tego początkowego romantyzmu Flaubert zatrzymał nazawsze, pragnął aby język pisany miał brzmienie deklamowanego, a nawet, śpiewanego słowa. Nazywał on to trywialnym wyrazem: *le gueuloir*, dodając, że stronica pięknéj prozy powinna się trzymać prosto i silnie jak pomnik z bronzu. (*Jean Richepin* „Pośmiertne wspomnienie o Gustawie Flaubert").

Powołanie jego nigdy nie doznało przeciwności. Syn bogatego lekarza z Rouen, mógł się od razu i swobodnie oddać swoim ulubionym zajęciom. Do zawodu literackiego przysposabiał się z niesłychanym zapałem, studyując starych autorów, szperając w bibliotekach i przygotowywując sobie taki grunt erudycyi, że dotąd nie ma pisarza, oprócz Wiktora Hugo, którego pod względem głębokości i różnorodności wiedzy można-by było z nim porównać. Przy każdéj sposobności umiał on widziéć, pojmować, spostrzegać i pamiętać. Przytém był-to pracownik niezmordowany, poszukiwacz ciągle czegoś nowego i zawsze niezadowolony z siebie. Mieszczaństwo było jego *bête noire*. Nie mówcie mi nigdy o mieszczanach! nienawidzę ich! Oni mają odrazę do wszystkiego co jest dobre, słuszne, lub wielkie, a lubią tylko to, co jest brzydkie, głupie i *coco!* Miał on wstręt do gawędziarzy i tych co dużo i pięknie mówią o niczém. Pewnego dnia, jeden z jego współziomków z powodu mającéj się ukazać *Salammbô* wypytywał go o szczegóły dotyczące Kartaginy i jéj mieszkańców: kto oni byli? jaki mieli charakter? jakie obyczaje?... Flaubert przerwał mu niecierpliwie: „Kartagińczycy?... to ludzie ograniczeni, łupieżcy, pijacy, próżniacy i głupcy: byli-to Rouenczycy starożytności." Odznaczając się jednak anielską dobrocią, Flaubert ułagodnił się natychmiast i naprawił obrazę dobrodusznym śmiechem. (*Gustaw Goetschy:* „Wspomnienie pośmiertne o Gustawie Flaubert").

A przytém co za jedność w życiu tego nadzwyczajnego człowieka! Wszystko dla literatury i tylko dla literatury. Nic po za obrębem dobrego pisania! Inni artyści, obok swojéj sztuki, mają pewne upodobania, pewne drugorzędne zajęcia. U Flaubert'a, nic! Kapłan literatury, z obawy odjęcia cząstki siebie samego swojéj religii, nigdy się nie ożenił. Praca jego była powolna. Po południe spędzał często na czytaniu, przeglądaniu zapisek i rozmyślaniu.

Następnie posiliwszy się nieco, zabierał się do dzieła i pracował po ośm godzin z rzędu. Jakkolwiek mało udzielał się światu, nieraz jednak żalił się na *stratę czasu.* Kiedy potrzebował podwoić siły, zamykał się w Croisset (niedaleko od Rouen) na sześć miesięcy i pracował nie widząc nikogo, nie wyszedłszy nawet na koniec swego parku. Można powiedzieć, że umarł na literaturę: *Bouvard et Pecuchet*, ostatnia powieść, zabiła go; tylko że Flaubert, jako natura silna, pozwolił się zabić na ostatniéj stronie. My wszyscy, jak jesteśmy, nie mamy jego budowy. Najlepsi z nas umrą może także z literatury, ale na wolnym ogniu (*Paweł Alexis:* „Ze wspomnień po Gustawie Flaubert").

Gustaw Flaubert jest-to rodzaj mnicha, prawdziwego benedyktyna, który poszedł do Ziemi-Świętéj i otrzymał tam nawet kilka kul od niewiernych. Mnich ten żyje w pustelni niedaleko Rouen i zamknięty dniem i nocą pracuje bez ustanku. Jest on bardzo uczony i wydał archeologiczne dzieło o Kartaginie. Powinien by już być w Akademii; spodziewać się należy, że nastąpi po M-grze Dupanloup. Nie tylko posiada geniusz lecz także i sumienność. Przez długi czas dyssekował przy swoim ojcu, który był lekarzem i zna stronę moralną za pośrednictwem fizycznéj. Jeżeli ma błąd jaki, to ten chyba, że jest zanadto ścisły, zanadto pracowity i że nie stara się podobać. Celem jego jest ostrzeżenie młodych kobiét przed próżniactwem, pustą ciekawością i niebezpieczeństwem złych książek. Dzieło jego nosi tytuł: *Pani Bovary* czyli *następstwa złego prowadzenia się* (*Hipolit Taine:* Notes de Thomas Graindorge).

Flaubert nie zabiera się do dzieła inaczéj jak z notatkami, których dokładność sam mógł sprawdzić. Jeżeli chodzi o poszukiwania w dziełach specyalnych, skazuje się na uczęszczanie bibliotek przez całe tygodnie, dopóki nie znajdzie potrzebnych objaśnień. Dla napisania dziesięciu np. stronnic — epizodu tylko, w którym chce przedstawić osobistości zajmujące się rolnictwem, nie cofa się przed czytaniem dwudziestu, trzydziestu tomów traktujących o tym przedmiocie i w dodatku jeszcze udaje się do ludzi kompetentnych, posuwając sumienność aż do chodzenia po roli, byle tylko przystąpić do epizodu z całą znajomością sprawy. Jeżeli ma opisywać, musi być na miejscu, żyć tam. Dla pierwszego rozdziału *Wychowania sentymentalnego*, któremu za ramy służy podróż na statku parowym po Sekwanie, ponieważ statki nie kursowały wtedy już oddawna, jechał wzdłuż rzeki w powozie. Nawet wtenczas, kiedy dla sceny wybrał horyzont wymyślony, robił poszukiwania takiego horyzontu jakiego sobie życzył i wtedy tylko był zadowolniony, kiedy odnalazł zakątek kraju dający mu wrażenie widnokręgu wymarzonego. I przy każdym szczególe ta sama troska o realizm. Bada ryciny, dzienniki

z epoki, książki, ludzi i rzeczy. Każda stronica z powodu ubiorów, wypadków historycznych, kwestyj technicznych lub dekoracyj, kosztuje go całe dnie studyów. W *Pani Bovary* pomieścił spostrzeżenia z czasów swéj młodości, zakątek Normandyi i ludzi, których widział w pierwszych trzydziestu latach swego życia. Pisząc *Wychowanie sentymentalne* przetrząsnął dwadzieścia lat naszéj politycznéj i moralnéj historyi, streścił olbrzymie materyały dostarczone przez całe jedno pokolenie. Dla *Salammbô* i *Pokusy Ś-go Antoniego* praca była jeszcze znaczniejsza: podróżował po Afryce i Wschodzie; skazał się na szczegółowe studyowanie starożytności i strząsanie pyłu z kilku wieków (*Emil Zola:* „Studium o Gustawie Flaubert“).

Do téj ubogiej charakterystyki człowieka, jaką wycisnąć było można z drobnych artykułów dziennikarzy francuzkich nazajutrz po śmierci Flaubert'a, literatura bieżąca niewiele już więcéj dodała szczegółów, z których inaczéj niż przez proste wyciągi można byłoby odbudować życie prywatne, sposób wzięcia się do pracy, postępowanie, temperament i charakter Flauberta-człowieka i Flauberta-pisarza. Przyczyna tego ubóstwa materyałów biograficznych jest dwojaka. Dziennikarstwo francuzkie, prowadzone w duchu publiczności i schlebiające gustowi tłumów, żywi się takiemi tylko anegdotami z życia artystów, które mogłyby obudzić pospolitą ciekawość mas do rzeczy drażniących zmysły, ekscentrycznych lub zabawnych. Flaubert, swém życiem skromném, odosobnioném i wyłącznie poświęconém nauce nie dawał mu żadnéj karmi. Kilku przyjaciół, odwiedzających go co tydzień w jego mieszkaniu przy ulicy Saint-Honoré, w charakterze poważnych pisarzy, nie trudniło się reporterstwem i milczało. Milczała więc prasa za życia tego ze wszech miar znakomitego człowieka, który, gdyby nie proces wytoczony mu za czasów drugiego cesarstwa, o niemoralność jego pierwszéj powieści: *Pani Bovary*, nigdy może nie byłby się doczekał i téj nawet sławy, jaką się cieszył pomimo braku zainteresowania się publiczności jego życiem. A jednak, kiedy niespodziewana śmierć przecięła pasmo dni jego, z taką wytrwałością i zaparciem się siebie poświęconych sztuce, jakże drogocennym byłby każdy szczegół mogący wyjaśnić nam człowieka a ztąd i jego dzieło!

Flaubert był synem lekarza i sam lekarzem potroszę... Urodził się i żył w czasie największego rozkwitu romantycznéj literatury... Nie łudźmy się łatwością wniosków! Materyał-to za ubogi na wyświetlenie dzieła przez „charakter, wychowanie i życie, przeszłość i teraźniejszość, namiętności i usposobienia, cnoty i wady,“ słowem przez to wszystko co zostawia niezatarty ślad na tém co człowiek myśli, a jeszcze więcéj na tém co pisze. Dopóki

zatém jakaś uczciwa ręka nie poda nam wiernych i licznych szczegółów z życia wielkiego nieboszczyka, jego portret literacki, całkowity i charakterystyczny jak portrety Balzac'a i Stendhala w obrobieniu H. Taine'a, będzie tylko usiłowaniem, dobrą wolą, ale nie rzeczywistością odpowiadającą w zupełności duchowi i wymaganiom naszéj epoki. Talent kompozytorski, ścisłość obserwacyi, zwięzłość i potoczystość stylu, umiarkowanie w efektach, pewien ton pogardliwo-złośliwy i niczém nie wzruszony spokój artystyczny Flaubert'a, nie znajdują dostatecznego wyjaśnienia w fakcie dyssekowania trupów; a uwielbienie dla Wiktora Hugo nie jest dostatecznėm wytłómaczeniem dźwięczności i siły jego języka. Był on przedewszystkiém dzieckiem epoki. Współczesna nauka i sztuka podały sobie w nim ręce i on, nie będąc ani uczniem ani naśladowcą żadnego ze swoich poprzedników, połączył w utworach swoich sumienność jednych z poetycznością drugich. Umiał nie tylko uniknąć ich błędów ale i podnieść zalety, nie tylko zużytkować ich doświadczenie ale także i wyczyścić, wyszlachetnić artystyczną stronę dzieła, które odtąd, aby mu dorównać, musi już zarówno być głębokie nauką jak potężne pięknością formy.

„W Balzacu—jak mówi H. Taine—był archeolog, budowniczy, tapicer, krawiec, modniarka, woźny trybunału, fizyolog i notariusz; ci ludzie przybywali po kolei, każdy czytał swoje sprawozdanie najszczegółowsze i najdokładniejsze w świecie, a artysta słuchał sumiennie i pracowicie.“ U Flaubert'a również można się spotkać z temi wszystkiemi ogólnemi i technicznemi kwestyami życia społecznego, z tą tylko różnicą, że u niego zlewają się one artystyczniéj i organiczniéj z całością niż u Balzac'a. Jest to postęp sztuki, wypięknienie formy, usunięcie pewnych chropowatości lub naiwnych przejść z jednego świata w drugi. Czytając karty, na których żywa i wiernie obserwowana natura kryje się w słowach wolnych od wszelkiéj interwencyi autora, tak daleko tu jesteśmy od tych poprzedników, którzy się nazywają: Stendhal, Balzac, że tylko umyślnie doszukać się możemy podobieństwa pomiędzy jego a ich metodą, pomiędzy jego a ich światem. Ono istnieje, ale w tak małéj dozie i z tak licznemi zastrzeżeniami, że wyłączywszy *Eugenią Grandet*, *Ojca Goriot*, *Gabinet starożytności*, w których Balzac zrzekł się swéj bujnéj wyobraźni na korzyść ściśle tylko obserwowanéj natury, dla *Pani Bovary*, a tém więcéj jeszcze dla *Wychowania Sentymentalnego*, w literaturze epoki przeszłéj wzorów znaleść nie można. Z Flaubert'em powieść stała się obrazem życia, a język zwierciadłem, w któréin natura istniejąca, prawdziwa, przegląda się z taką niepokalaną czystością, że tylko dla bardzo wprawnego oka obraz zabarwiony jest

prawie niewidocznym promieniem podmiotowego światła, wtenczas kiedy u Stendhal'a i Balzac'a osobistość autora gra tak wielką jeszcze rolę w powieści jak świat obserwowany, zewnętrzny. W *Pani Bovary* i *Wychowaniu sentymentalném* pierwiastki romantyczne zostały usunięte na bok: wyobraźnia ustąpiła miejsca ścisłéj obserwacyi życia. Autor nie wynajduje już scen, ale bada wypadki, szereguje je i wiąże w artystyczną całość, sam starannie się skrywając po za naturą i akcyą swoich powieściowych osobistości, które po raz pierwszy przestały być bohaterami. Dzieło żyje życiem prawdy ale nie nadzwyczajnością fantazyi autora, artystyczném obrobieniem całości ale nie wyskakującemi epizodami szumnéj deklamacyi lub naprędce zbudowanemi traktatami filozofii i moralności zastosowanemi do użytku chwili. Autor jak Homer według trącącéj dzisiejszém krótkowidztwem oceny Cycerona „upodobał sobie w zniżaniu bogów do warunków ludzkich, zamiast podnosić ludzi do warunków boskich.“

Bez zaprzeczenia Balzac dawno już przed Flaubertem powieść romantyczną zamienił na malarstwo życia powszedniego, a bohaterów literackich przykroił do miary rzeczywistych ludzi, którzy po za duszą mają ciało, krew, mięśnie, żółć i nerwy, którzy wyrażają się odpowiednio do swego temperamentu i wychowania, którzy ulegają wpływom zewnętrznym i do nich się urabiają. Ale Balzac z wyjątkiem kilku arcydzieł, pomimo całéj swéj miłości dla prawdy, nie mógł się pozbyć swojego upodobania do przygód nadzwyczajnych, pełnych tajemniczego uroku i melodramatycznego efektu. Zresztą pracując po dwanaście godzin z rzędu, przy dwunastu świecach i po litrze czarnéj kawy, tracił on poczucie rzeczywistości tak dalece, że po dwu miesiącach nie poznawał ulic, a swoich bohatérów traktował jako istoty żyjące na prawdę. Z tego-to powodu znaczna część jego powieści przepełniona jest osobistościami narysowanemi nadmiernie i jak gdyby poczętemi pod wpływem długiéj halucynacyi. Przy tém, jak mówi Taine „nadużywał on powieści jak Szekspir dramatu nakładając na nie więcéj niż one udźwignąć mogły. Szekspir gnębiony przez nadmiar poezyi wystawiał na scenie kantaty, opery, urojenia i wszystkie czarujące lub wyuzdane dzieci fantazyi. Balzac, gnębiony przez nadmiar teoryi, kładł w powieść politykę, psychologią, metafizykę i wszystkie prawe lub nieprawe dzieci filozofii.“ Ztąd to u niego to ciągłe odrywanie się od toku powieści, ta częsta interwencya autora, który co chwila gawędzi wprost z czytelnikiem, objaśniając mu charakter, upodobania i namiętności bohaterów, jak gdyby obawiał się nieporozumień. Jego moralizujące i filozofujące *ja*, które przy każdéj sposobności wypowiada po za plecami bohatera aż do znudzenia długie nauki moralne i wątpliwéj wartości praw-

dy filozoficzne, robi z powieści sztuczną wiązankę nauki i sztuki, które wzajemnie się wypierają i nawzajem sobie przeszkadzają. W każdym jednak razie powieść realna była już stworzoną. Stendhal przyniósł jéj swój talent bystrego psychologa a Balzac sumiennego obserwatora. Potrzeba tylko było rozszerzyć jéj znaczenie artystyczne, dać jéj formę doskonalszą, czystszą i wolną od wszelkich naleciałości nie mających nic wspólnego ani z osobistościami ani z wypadkami opisywanego życia: potrzeba było,—aby moralista, filozof i artysta wydali dzieło jednolite, trzymające się silnie jak odlew z bronzu i przedmiotowo piękne.

Téj pracy artysty dokonał Flaubert. Od czasu zjawienia się *Pani Bovary*, a więcéj jeszcze *Wychowania Sentymentalnego*, powieść stała się obrazem życia powszedniego, nie zaś kunsztowną bajką, w któréj ludzie służyli za tragarzy idei, działalność ich za pretekst do pokazania cudowności, a charaktery za środek do zwalczania przeszkód nadnaturalnych. Flaubert zamknął ją w ramach ścisłéj obserwacyi, uwolnił ją od fałszywéj nadętości bohaterów fantastycznych i nadał jéj charakter piękna przedmiotowego, żyjącego prawdą w niéj zawartą i trwałego artystycznėm choć nawskróś nieosobistem obrobieniem. Odtąd powieść przestała być wiązanką kłamstw. Nadzwyczajność i wyjątkowość, przesada i sentymentalizm, pomysłowość i dziwaczność ustąpiły miejsca ścisłości w notowaniu wypadków i logicznėm ich porządkowaniu. Czar tajemniczych intryg zginął na zawsze. Powieść ciągnie się naturalnym swoim ruchem, zabierając z sobą zdarzenia życia, uzupełniając je i szeregując, ale bez widocznéj chęci zdumienia czytelników, inwencyą lub fantazyą słowną. W miarę jak wypadki się nagromadzają, powieść rozwija się szerzéj, rozprasza na szczegóły, wychodzi z toru. Kiedy jednak ich rola się skończyła, ona znowu wraca do swego pierwotnego kierunku i ciągnie się daléj, jak życie ludzi, którzy związani z sobą naturalnym węzłem miłości, przyjaźni czy téż interesów, idą wciąż przed siebie, stykając się ze światem zewnętrznym o ile przypadek i okoliczności na to pozwolą lub każą, rozchodzą się na chwilę, zapominając na pewien czas zupełnie nawet o sobie, ale nie rozłączając się nigdy, a przynajmniéj bez rozwiązania głównych zagadek swego życia. Piękność dzieła nie leży już w przesadnėm powiększaniu osobistości, w postaciowaniu cnót lub wad, w uosobianiu śmieszności lub zalet, ale w budowaniu charakterów ze szczegółów obserwowanych wiernie, w malowaniu ludzi naturalnych i w stawianiu gmachu sztuki z dokumentów ludzkich, wziętych z procesu życia, a których autor nie sądzi, nie chwali, ani potępia, lecz je przedstawia czytelnikowi z całą prostotą, w całéj ich nagości, nie pozwalając sobie nawet

wyciągnąć z nich zawczasu jakiejś nauki moralnéj, lub filozoficznéj prawdy.

Ten nieosobisty charakter dzieła, to nie mięszanie się autora do akcyi i czynów jego powieściowych ludzi, jest znamieniem Flauberta. Myliłby się jednak każdy, ktoby sądził że Flaubert równie obojętném okiem patrzy na zbrodnię jak i cnotę, na głupotę jak i mądrość, na tchórzostwo jak i męztwo. On jest przy każdéj akcyi swoich osobistości, stoi za ich plecami i kiedy skończyli, kładzie swoję pieczęć na ich czynach lub słowach, jeżeli już przedtém plastyką swego giętkiego języka nie naznaczył im miejsca w szeregu wad lub zalet. Częstokroć jeden wyraz położony na końcu frazesu, jakaś dziwna kombinacya słów, jakieś wtrącenie zkądinąd obojętnego szczegółu, zdradzają obecność autora na każdéj niemal stronicy i pokazują jego nielitościwy śmiech szyderczy, wyniosłą pogardę dla głupoty, lub czasem nawet i łzę rozrzewnienia nad prostém, a nieszczęśliwém sercem. Ale to wszystko tak artystycznie zacieniowane, tak subtelnie wyrzeźbione, tak dostrojone do poziomu nieosobistéj sztuki, że zaledwie przy uważném tylko czytaniu dopatrzéć się można obecności autora przy czynach jego działaczy. Ztąd nieporozumienia i fałszywe sądy. Publiczność przyzwyczajona do postaci bohaterskich i jednolitych, do powieściowéj walki idei i ciągłéj interwencyi autora na korzyść pewnych przekonań lub nawet tylko pewnych charakterów, przedmiotowym tonem Flauberta dała się stropić tak dalece, że zarówno całość jego dzieł jak i szczegóły uznała za niemoralne, nieestetyczne i jednostronne, jeżeli nawet nie fałszywe.

Krótkowidztwo publicznéj opinii, w roku 1857, zaraz po ukazaniu się całkowitém *Pani Bovary* w odcinku *Revue de Paris*, poprowadziło autora przed kratki sądowe i jakkolwiek Flaubert został uwolnionym od wszelkiéj odpowiedzialności, jest ono jednak aż po dzień dzisiejszy doskonałym wyrazem słabego przygotowania tłumów do słusznego ocenienia dzieł sztuki. *Pani Bovary* rozeszła się w kilkudziesięciu wydaniach, stanowiących setki tysięcy egzemplarzy. Czy to może dla psychologicznéj jéj i artystycznéj wartości? Broń Boże! Poczytność pierwszéj swéj pracy Flaubert zawdzięcza procesowi. Publiczność, idąc za wskazówką prokuratora, rzuciła się na książkę, aby w niéj odnaleść co drażliwsze miejsca i łechtać swoje zmysły kilkoma szczegółami miłości fizycznéj, nie zważając na to, że one nie stanowią treści książki i nie są wyrazem talentu Flauberta, który może jeden—jedyny ze wszystkich współczesnych nam powieściopisarzy, okazał się najwstrzemięźliwszym tam, gdzie inni na rachunek realizmu popuszczają sobie aż zanadto cugli. Kilka scen,

będących konsekwentném, koniecznėm uzupełnieniem życia zmysłów, w oderwaniu od całości obraziło poczucie, formalnéj moralności prokuratora i rzuciło niezasłużony cień na dzieło szczeréj, dobréj wiary, niezrównanego artyzmu i głębokiéj nauki.

„Kto czyta powieść pana Flaubert? pytał prokurator w swém śmiesznėm oskarżeniu. Może mężczyzni zajmujący się ekonomią polityczną i społeczną?. Nie! lekkie kartki *Pani Bovary* wpadają w ręce lżejsze, w ręce młodych dziewczyn, a częstokroć i zamężnych kobiét.“ Więc cóż ztąd? Niech kobiéty czytają, niech wiedzą zawczasu, dokąd je zaprowadzi każdy fałszywy ich krok, niech się nauczą nareszcie, że życie nie jest jednym romansem, słowa—czynem, a zmysłowe pożądania—miłością. *Pani Bovary*, dla umysłów kobiécych nie jest trucizną. Brak jéj do tego fantazyi, chorobliwego sentymentalizmu, zajmującéj intrygi i uroku tajemnicy, brak jéj wreszcie tych wszystkich przymiotów, pod wpływem których urabia się temperament i charakter dzisiejszych jeszcze kobiét, jakkolwiek doświadczenie życia w milionach wypadków pokazało nam jawnie, że córka niewykształconego, grubego w swych instynktach, choć zamożnego *fermier'a* Rouault, zanim stała się *Panią Bovary*, była pierwéj naiwną Emmą, wychowaną w warunkach nie wyjątkowych bynajmniéj i według systematu zgodnego z programami szkół żeńskich jednakowych niemal na całym świecie.

„Emma—mówi Flaubert z właściwym sobie zimnym spokojem, czytała *Pawła i Wirginią* i marzyła o domku z trzciny, murzynie Domingo, psie Fidelku a zwłaszcza o słodkiéj przyjaźni jakiego dobrego braciszka, co właźi po czerwone owoce na wielkie drzewa wyższe niż dzwonnice, lub biegnie boso po piasku niosąc ptasie gniazdo.“ „Kiedy miała trzynaście lat, ojciec przyjechał z nią sam do miasta, aby ją umieścić w klasztorze. Nie nudząc się tam bynajmniéj w pierwszych dniach nawet, Emma upodobała sobie w towarzystwie dobrych sióstr, które dla rozrywki prowadziły ją do kaplicy. W czasie rekreacyi bawiła się bardzo mało, rozumiała doskonale katechizm i ona to właśnie odpowiadała zawsze na najtrudniejsze pytania księdza wikarego. Żyjąc tak bezustannie w ciepłéj atmosferze klas i wśród tych kobiét o białéj cerze, które nosiły różańce z krzyżem miedzianym, powoli zadrzemała w tém mistycznėm omdleniu, jakie wydziela się z woni ołtarza, świeżości kropielnic i migotania świec kościelnych. Zamiast uważać na mszę, przypatrywała się w swéj książce pobożnym obrazkom z lazurową oblamką i kochała chorą owieczkę z sercem przeszytém ostremi strzałami, czyli biednego Jezusa, upadającego pod krzyżem. Dla umartwienia sprobowała nawet zostać raz przez cały dzień z postem. Myślała

wciąż o spełnieniu jakiegoś ślubu.“ „Kiedy była u spowiedzi wynajdywała sobie małe grzeszki, aby zostać tam dłużéj, na klęczkach w cieniu, z rękami złożonemi, z twarzą ukrytą przy cichym szepcie księdza. Porównania z narzeczonym, małżonkiem, niebiańskim kochankiem i wieczném małżeństwem, co się zawsze powtarza w kazaniach, budziły w głębi jéj duszy nieoczekiwane rozkosze. Gdyby jéj lata dziecinne upłynęły były w jakiejś izbie z dzielnicy kupieckiéj, byłaby się może oddała lirycznym urokom przyrody, które zazwyczaj, opanowują nas za sprawą poetów. Ale ona zanadto znała wieś, beczenia trzód, dojenie i orkę. Przyzwyczajona do widoków spokojnych, zwróciła się przeciwnie ku urozmaiconym. Lubiła morze dla jego burz, a zieleń trawy wtenczas tylko kiedy ona gdzieniegdzie przeglądała z po za ruin.“

Pewna stara panna, protegowana przez arcybiskupstwo z powodu arystokratycznego pochodzenia, przesiadująca całe dni w klasztorze, śpiewała uczennicom stare piosnki miłosne, opowiadała historyjki i przynosiła w sekrecie romanse. „Były tam ciągłe miłości, kochanki, kochankowie, damy prześladowane które mdlały w odosobnionych pawilonach, pocztylioni zabijani na każdym przeprzęgu, konie padające na każdéj stronicy, ponure lasy, bicia serc, przysięgi, łkania, łzy i pocałunki, łódki przy świetle księżyca, słowiki w klombach, *mężczyzni* dzielni jak lwy, łagodni jak baranki, cnotliwi jak się nie jest w życiu, dobrze ubrani i płaczący jak urny. Tym sposobem Emma przez sześć miesięcy, w piętnastym roku życia, walała sobie ręce kurzem starych czytelni. Późniéj z Walter-Scott'em, rozlubowała się w rzeczach historycznych, marząc o sepetach, wartach i minstrelach.“

„Na lekcyach muzyki, w romansach przez nią śpiewanych, była mowa tylko o małych aniołkach ze złotemi skrzydłami, o madonach, lagunach i gondolierach, co w tych spokojnych kompozycyach pozwalało jej dojrzéć po przez głupotą stylu i nieopatrzność wyrazu, pociągającą fantasmagorją sentymentalnéj rzeczywistości.“ „Oglądając zakazane ryciny, drżała. Z tyłu balustrady jakiegoś balkonu stał młody człowiek w krótkim płaszczyku i ściskał młodą dziewczynę w białéj sukni i z woreczkiem u pasa; były tam czasem portrety angielskich *ladych*, które z pod okrągłego słomianego kapelusza patrzą jasnemi, wielkiemi oczyma. Widać tam było inne, rozłożone w powozach, przesuwające się przez środek parków, z chartem skaczącym przed uprzężą, którą prowadziło dwóch małych pocztylionów w białych spodniach. Inne, marząc na sofach obok rozpieczętowanego listu, wpatrywały się w księżyc przez na-wpół-otwarte i czarną firanką przysłonięte okno. I wy tam byliście także, sułtani z długie-

mi fajkami, pod altanami w objęciach bajader, giaury, tureckie szable, greckie czapki, a zwłaszcza wy, wyblakłe krajobrazy dytyrambicznych okolic, które często pokazujecie nam od razu palmowe drzewa, sosny, tygrysów na prawo, lwa na lewo, minarety na widnokręgu, na pierwszym planie ruiny rzymskie, a daléj wielbłądy klęczące;—wszystko oprawione w ślicznie oczyszczony las dziewiczy i z wielkim promieniem słońca drżącym prostopadle w wodzie, na któréj rysują się białemi plamkami w dali gdzieniegdzie pływające łabędzie.“

„Kiedy matka jéj umarła, Emma w pierwszych dniach płakała bardzo. Kazała sobie zrobić żałobny obraz z włosów nieboszki, i w liście, pełnym smutnych uwag nad życiem, zażądała, aby ją późniéj pochowano w tym samym grobie. Dobre siostry, które miały wyborne mniemanie o jéj powołaniu, spostrzegły wkrótce z wielkiem zdziwieniem, że panna Rouault zdaje się wymykać z pod ich pieczołowitości. W istocie bowiem obarczyły ją taką mocą mszy, pokut, nowenn i kazań, tak dobrze wpajały w nią uszanowanie należne świętym i męczennikom, i dały tyle zdrowych rad co do skromności ciała i zbawienia duszy, że ona zrobiła tak jak konie, kiedy je ściągają za uzdę: stanęła w miejscu i wędzidło wypadło jéj z zębów. Ten umysł pozytywny wpośród swoich zapałów, który lubił kościół za kwiaty, muzykę z powodu treści romansów, a literatarę dla jéj namiętnych podrażnień, zbuntował się przeciwko tajemnicom wiary, ona zaś sama rozdrażniła się więcéj jeszcze przeciwko karności, która była czémś antypatyczném dla jéj natury. Kiedy ojciec zabrał ją z pensyi, klasztor nie był wcale zmartwiony jéj odjazdem.“

Jak widzimy z powyżéj przytoczonych słów, Flaubert bohaterki swéj powieści nie postawił bynajmniéj w warunkach wyjątkowych. Wszystkie niemal społeczeństwa, mieniące się cywilizowanemi, urabiają umysły i temperamenty swych kobiét według takiego programu i może z takim samym skutkiem. Emma w szkole nauczyła się marzyć, a raczéj pożądać ideałów według szematu sentymentalnego romantyzmu. Życie od pierwszego jéj kroku na realnym gruncie stało się dla niéj ciężarem. I nie mogło być inaczéj. Kiedy wszystkie bowiem jéj zmysły zostały podrażnione fałszywym kierunkiem, kiedy literatura i sztuki piękne wywołały w niéj pragnienie życia idealnego, rzeczywistość, od pierwszego zaraz dnia po zamknięciu książki, rozpoczęła swą nielitościwą pracę rozczarowywania i niesmaku. Jest to fatalnym błędem dzisiejszéj demokracyi, że obok wychowania niepełnego a często i niezgodnego z potrzebami życia, daje jednostkom pragnienia bez odpowiednich środków do ich zrealizowania. Gdzie córki ciemnego i mało zasobnego dzierżawcy odbierają

to samo wychowanie co i córki arystokratycznych milionerów, gdzie żądza używania stała się potrzebą dla wszystkich bez różnicy stanu i majątku; tam życie wytwarzać musi nieszczęśliwe ofiary romantyzmu i nerwów, tych dwóch głównych czynników, które się składają na wydanie każdéj *Pani Bovary*, na wykolejenie każdéj jednostki o wrażliwszéj na podniety naturze i postawionéj w nieodpowiednich warunkach. To było główną myślą Flauberta, który w swojém pierwszém dziele, zarówno chciał być bezstronnym spostrzegaczem życia jak i jego tendencyjnym krytykiem, to nacechowało powieść przerażającą prawdą i nadało jéj wielce moralny charakter, jakkolwiek umysły wsteczne, w pierwszéj widzą upadek sztuki, a w drugim, przez fałszywe rozumienie, ujmę dla dogmatycznéj moralności.

Naturalnie pierwszym wynikiem pilnéj, kilkonastoletniéj obserwacyi autora, było skonstatowanie aż nadto widoczne wpływów zewnętrznych i tych drobnych szczegółów, które popychają człowieka już to w jedną już to w drugą stronę a zawsze bez uświadomienia przyczyn; drugim zaś odnalezienie jednego, przeważnego rysu w charakterze lub temperamencie żywych ludzi którzy jakkolwiek opuszczają na chwilę drogę życia, wracają jednak na nią, jak gdyby fatalnie, i na niéj giną lub zwyciężają. Tym sposobem w powieści *Pani Bovary* widzimy nie tylko czyny ale także i ich naturalne pobudki, nietylko świat taki jak się nam na zewnątrz przedstawia, ale i psychologiczne wyjaśnienie jego życia wewnętrznego. Patrzmy na samę panią *Bovary*. „Kiedy Karol (jéj przyszły mąż) przyjechał do Bertaux po raz pierwszy, ona uważała się za zupełnie rozczarowaną, nie mogąc już nic więcéj dowiedzieć się, nie potrzebując już nic więcéj czuć.“ Wszystkie jéj marzenia rozwiały się pod wpływem nowego życia, które przerażało ją swoją płaskością i jednostajnością. Karol Bovary bowiem był-to najpoczciwszy w świecie głupiec. Ożenił się z Emmą nie żądając posagu, cieszył się, że nie miała nóg tak zimnych jak jego pierwsza żona, i był zadowolniony nie tylko ze swojéj skromnéj klienteli, ale i ze swojéj pozycyi jako urzędnik zdrowia. Nie umiał pływać, ani robić bronią, ani strzelać i nie mógł nawet pewnego dnia wytłómaczyć Emmie jakiegoś terminu z konnéj jazdy, napotkanego wraz z nią w romansie. Tymczasem według teoryj, które Emma uważała za dobre, chciała w pożyciu małżeńskiem wywołać miłość podobną do téj, z jaką się zapoznała w książkach. „Przy świetle księżyca, w ogrodzie, recytowała ona na pamięć wszystko, co tylko umiała z namiętnych rymów i wzdychając śpiewała mu melancholiczne *adagia*; lecz następnie była również spokojną, jak przedtém, a Karol nie okazywał się wskutek tego ani więcéj

zakochanym ani poruszonym.“ Probując wszelkiemi sposobami ożywić jego serce wciąż jednostajnie bijące, przekonała się nareszcie, że jéj wysiłki są nadaremne. „Wybuchy uczuć Karola stały się regularnemi; całował ją o pewnych godzinach. Był to jeden więcéj zwyczaj pomiędzy innemi, i jak gdyby deser zawczasu przewidziany po jednostajności obiadu.“ Atmosfera życia regularnego dusiła ją i ogarniała jakąś niewypowiedzianą tęsknotą.

Jedynym wypadkiem, który jéj myślom dał jaką-taką karm romantyczną był bal w *la Vaubyessard* u margrabiego d'Andervilliers, który przez sąsiedzką grzeczność zaprosił do siebie Karola Bovary wraz z żoną. Emma zaczęła żyć na nowo. Wokoło niéj kręciła się młodzież pięknie uczesana, a przy stole widziała starego księcia de Laverdière, który jak mówią był kochankiem Maryi-Antoniny pomiędzy panem de Coigny a de Lauzun. „Lokaj stojący za krzesłem mówił mu głośno do ucha nazwy potraw jakie on wskazywał palcem, i oczy Emmy bezustanku zwracały się same na tego starego człowieka o obwisłych wargach, jak gdyby na coś nadzwyczajnego i szczęśliwego. Żył on przecie na Dworze i spał w łóżku królowych.“ Po kolacyi zaczęto tańczyć. Emmie zakręciło się w głowie. Widziała, jak jedna z dam rzuciła młodemu człowiekowi do kapelusza liścisk złożony w trójkąt. Tańczyła z kimś, kogo poprostu nazywano wice-hrabią i przyśpieszonym ruchem piersi wdychała ciężkie powietrze balu, który na długo został jej w pamięci. Po powrocie do Tostes nabrała takiego niesmaku do miejsca swego stałego pobytu, że nie zwracając uwagi na lekarską praktykę męża zmusiła go do opuszczenia miasteczka i czepiła się myśli przesiedlenia do Yonville, jak deski ocalenia.

Tu rozpoczyna się dramat. Emma pierwszego zaraz wieczora poznaje aplikanta od notaryusza młodego i ładnego Leona Dupuis, z którym zawiązuje romans. Leon posiadał wszystkie warunki kochanka. Był skromny i nieśmiały, lubił „muzykę niemiecką usposabiającą do marzenia,“ i przekładał nad wszystko poezyą, gdyż „wiersze są czulsze niż proza i łatwiéj wyciskają łzy.“

— Jednakże ostatecznie nużą—mówiła mu Emma; ja przeciwnie, przepadam za historyami, które idą jedne po drugich bez wytchnienia i kiedy od nich strach bierze. Nienawidzę bohaterów pospolitych i uczuć umiarkowanych, jak się to zdarza w naturze.“ Oboje byli w epoce marzenia o miłości, i oboje niezadowolnieni z ciszy i jednostajności tego życia, jakiém żyć musieli. Wkrótce pokochali się nawzajem. Była-to miłość dzieci, które nie śmieją zdradzić się ze swemi uczuciami nawet przed sobą. Przez dwa lata widywania się codzień, uczucie ich nie posunęło się ani na krok daléj. To

też kiedy Leon miał wyjechać do Paryża dla dokończenia studyów prawniczych i przyszedł po raz ostatni uścisnąć delikatną rękę Emmy, z ust ich nie wyrwało się ani jedno czulsze słowo, któreby mogło zbliżyć lub oddalić ich od siebie. Leon zdobył się tylko na ucałowanie małéj Bovary, która się urodziła na początku przybycia Emmy do Yonville. Odtąd życie dla niéj stało się nieznośném cierpieniem. „Jak po powrocie z la Vaubyessard, kiedy kadryle kręciły się jéj w głowie, stała się pastwą ponuréj melancholii i zdrętwiałéj rozpaczy. Leon zjawiał się przed nią większym, piękniejszym, przyjemniejszym, bardziéj nieokreślonym; jakkolwiek był oddzielony od niéj, nie opuścił jéj, był tam i ściany domu zdawały się przechowywać cień jego. Ona nie mogła oderwać oczu od tego dywanu, po którym chodził, od tych mebli pustych, na których siadywał.“ Wyrzucając sobie, że nie dość kochała Leona i pozwoliła mu odjechać wtenczas, kiedy należało go przytrzymać za obydwie ręce, Emma ze wspomnień po nieobecnym zrobiła sobie *centrum* dla swoich zmartwień. Powoli jednak płomień przygasł, a smutek rozwiał się pod naciskiem przyzwyczajenia. Kupiła sobie klęcznik gotycki i zaabonowała książki. Chcąc nauczyć się po włosku, sprowadziła słowniki, gramatykę i masę białego papieru. Sprobowała nawet poważnych książek, historyi i filozofii. Lecz z książkami stało się to samo co i z robotami drutowemi, które, niedokończone, zalegały szafę; brała je do ręki, porzucała, przechodziła do innych. Czasami miała szalone pomysły. Pewnego dnia utrzymywała przed mężem, że wypije wielkie pół szklanki wódki; ponieważ Karol wyzywał ją do tego, wychyliła od razu.

Dotąd jednak było to tylko powolne nagromadzanie materyału wybuchowego. Z natury nerwowa i wrażliwa Emma otarła się o wszystkie najgorsze wpływy życia zewnętrznego, które powoli ją przygotowały do nieuchronnego już odtąd upadku. Potrzeba tylko było sposobności. Pierwsza jaka się nadarzy, będzie stanowczą. Rudolf Boulanger, typ wieśniaka o grubych instynktach, znawca kobiét i umiejący się wziąć do nich, zjawił się w téj właśnie chwili, kiedy wiarołomstwo stało się dla Emmy koniecznością. Posługując się wytartemi komplementami i zużytą poezyą wyrażania się, Rudolf, przy trzeciéj wizycie umyślnie spóźnionéj o kilka tygodni, wybuchnął całym zapasem wyuczonych frazesów. Każde jego słowo razi banalnością i fałszywym zapałem. Ale Emma po raz pierwszy słyszała takie rzeczy i zamiast obrazić się każdym zwrotem jego wyszarzanych frazesów, poiła swe zmysły muzyką tego głosu, który budził ją do występku. Rudolf zaproponował przejażdżkę konno. Emma zawahała

się. Kiedy jednak mąż ze względu na jéj zdrowie nastawał, odpowiedziała:

— Jakże chcesz żebym wsiadła na konia skoro nie mam amazonki!

— Trzeba będzie obstalować.

— Amazonka *zdecydowała* ją.

Co potém nastąpiło, jest już rzeczą małéj wagi. Flaubert, z całą drobiazgowością dysekujący człowieka pod względem psychologicznym, fizyologiczne strony życia zaznacza tylko lekko i jak gdyby od niechcenia. Pod tym względem nawet jest stanowczo różnym od wszystkich dzisiejszych powieściopisarzy francuzkich, którzy scenom nad stawem dają zbyt wielkie rozmiary. Jakkolwiek więc powieściowy interes stanowczo traci na téj jego wstrzemięźliwości, on kardynalne punkta romansu zbywa kilkoma wierszami i wraca ustawicznie do wpływów świata zewnętrznego, które człowiekiem rządzą i do drobiazgów życia, które go charakteryzują. Nie to więc go obchodziło czy Emma upadnie, ale co ją skłoniło do upadku i jak się po nim zachowywać będzie. „Mam kochanka! mam kochanka"— powtarzała sobie Emma po powrocie z lasu, pieszcząc się myślą, że będzie posiadała nareszcie te rozkosze miłości, tę gorączkę szczęścia, o którém już zrozpaczyła. Zresztą poczuła w sobie zadowolnienie zemsty. Czyż bowiem nie dosyć się nacierpiała! Było to dla niéj zwycięstwem. Miłością więc, na którą tak długo czekala, napawała się teraz bez wyrzutów, bez niepokoju, bez trwogi. Namiętność jéj tak długo tajona, a raczéj tak długo trzymana w karbach nudnego, konwencyonalnego życia, wybuchnęła lawą i płynęła wszystkiemi drogami, zrywając groble konwenansu lub tworząc łożyska dla swego ujścia. Widywała się z Rudolfem codzień i codzień pisywała do niego listy. Z wpół zamkniętemi oczyma wpatrywała się weń wsłuchując się w swoje imię, które kazała mu wciąż powtarzać. Namiętność jej zaszła tak daleko, że nie zwracając już uwagi na niebezpieczeństwo, udawała się wprost sama do jego *fermy*. W miarę jednak, jak stosunek ich przedłużał się, stawała się bardziéj wymagającą. Rudolf jeżeli nie za mało poetycznym, to przynajmniéj, wydał się jéj następnie za mało poważnym do sytuacyi.

— Czy masz pistolety? zawołała do niego pewnéj nocy w gabinecie swego męża.

Po co?

Ależ... dla twojéj obrony—odparła Emma.

Od twojego męża? Ah! biedny chłopiec! I Rudolf dokończył frazesu takim ruchem, jak gdyby chciał powiedzićć. „Ubiłbym go jednym szczutkiem."

Więcéj jeszcze przez zamiłowanie do romantyczności niż przez miłość samę Emma chciała być wykradzioną. Żadne uwagi Rudolfa nie mogły jéj odwieść od tego zamiaru, który ją czarował swoją niezwykłością i tylko niezwykłością. Ale Rudolf nie był bynajmniéj kochankiem z romansu. On chciał mieć kochankę, jako coś nieodzownie potrzebnego dla zmysłów, jak parę butów, które, kiedy się zedrą, zastąpić-by można nowemi. To téż w wigilią ucieczki przygotowanéj zawczasu przez Emmę, siadł do stolika i nameczywszy mózg wybrednością stylistycznych komunałów, oświadczył jéj, że przez poczucie obowiązku opuszcza ją na zawsze. Kropla wody puszczonéj na papier zastąpiła łzę rozrzewnienia. Emma zemdlała. Mąż zaniósł ją do łóżka, z którego przez czterdzieści trzy dni podnieść się nie mogła, przykuta gorączką zapalenia mózgu. Poczciwy Karol nie spał, nie jadł, suszył tylko głowę nad sposobami leczenia żony i uprzyjemnienia jéj życia. Kiedy przyszła do zdrowia, dla rozrywki powiózł ją do Rouen na przedstawienie *Łucyi* z *Lamermooru*. W korytarzu spotkał się z Leonem i wprowadził go do loży. „Ale od téj chwili Emma nie słuchała już wcale; chór biesiadników, scena z Ashton'em i jego służącym, wielki duet w *D* major, wszystko to się odbyło dla niéj w oddaleniu, jak gdyby instrumenta, stały się mniéj dźwięcznemi a osoby cofnęły się w głąb; ona przypomniała sobie gry w karty z nim u aptekarza, przechadzkę do mamki, czytania w altance, sam na-sam w kąciku przy ogniu, całą tę biedną miłość tak spokojną i długą, tak dyskretną, tak czułą, o któréj zapomniała jednak."

Leon, wykształcony już na paryskim bruku w rzeczy traktowania kobiét, tym razem umiał się wziąć do Emmy od pierwszego wieczora w jéj pokoju i zaraz nazajutrz, po obejrzeniu katedry zaproponował dorożkę.

— Ależ to bardzo nieprzyzwoicie, wiesz pan?

— Dla czego? odparł Leon. To się robi w Paryżu.

I to słowo, jako argument niezbity, *skłoniło* ją.

Odtąd Emma zaczęła rujnować męża na swe zbyt częste wycieczki do Rouen, które ją ostatecznie popchnęły do samobójstwa, Tragiczna jéj śmierć jest rodzajem ekspiacyi, na którą skazała się własnowolnie.

Czy to wskutek wyrzutów sumienia lub namysłu może?... Bynajmniéj. Emma całe życie była ofiarą swoich zmysłów i nerwów. Postępowanie jej nie miało nigdy żadnéj logiki, nigdy nie było obliczone ani przewidziane zawczasu. Z naiwnością dziecka rzuciła się w objęcia Rudolfa, a przez wspomnienie cichej, tłumionej miłości Leona pozwoliła się późniéj wsadzić do dorożki. Tu i tam głu-

pie, nic nie znaczące słowo, skłoniło ją do ostatecznego kroku, tu i tam uczucie jednakowo brutalnie zawiedzione wywołało w niéj chorobliwy stan umysłu, który ją popychał od jednéj niedorzeczności do drugiéj. Podpisała męża na wekslu, posunęła się prawie do złodziejstwa, aby dostać pieniędzy na podróże do Rouen, doprowadziła interesa do tego, że ich ruchomości miały być sprzedane przez licytacyą. Prosić Karola o przebaczenie, dać mu wyższość nad sobą, przyznać się do winy było nad jéj siły! Co robić? Pojechała do Leona. Odmówił. Zresztą ona była mu już niepotrzebną. Przez chwilę cieszył się nią jako kochanką, prawdziwą kochanką-mężatką. Wkrótce jednak spoważniał.

Stosunek taki mógłby zaszkodzić jego przyszłości. Nie stawił się więc nawet na *rendez-vous* i zakazał jéj przychodzić do siebie, gdyż gospodarz nie lubi, aby wprowadzano kobiéty do domu. Za poradą służącéj, poszła do miejscowego notaryusza, starego zmysłowca, który o niéj często mówił. Zawiodła się. Notaryusz przyrzekł dać ale po...

— Korzystasz pan bezwstydnie z mojego położenia—wykrzyknęła z miną straszną. Jestem do pożałowania, ale nie na sprzedaż!

W nocy krzyknęła uderzając się w czoło. Myśl o Rudolfie jak błyskawica wśród ciemności przebiegła jéj przez głowę. Poszła do Huchette. Po kilku słodkich, a późniéj namiętnych słowach, zawołała ze łzami w oczach: Jestem zrujnowana, Rudolfie! Pożycz mi trzy tysiące franków. Będą nas licytować, może już nawet w téj chwili; licząc więc na twoję przyjaźń, przyszłam do ciebie.

— Nie mam pieniędzy, droga Pani — odpowiedział Rudolf spokojnie.

I ta kobiéta, któréj całą winą była jéj natura zmysłowa, fałszywe wychowanie i niewłaściwe otoczenie, nie miała innéj drogi wyjścia z fatalnego położenia jak garść trucizny, którą pochłonęła z zimną krwią i bez grozy strasznéj śmierci. Był-to krok zarówno nieprzewidziany jak konieczny. Psychologicznie bowiem jest on usprawiedliwiony jéj naturą, naturą kobiéty, która jak do swoich upadków tak i tu *zdecydowała* się pod wpływem już nie jakiegoś głupiego słowa, ale wiadomości, gdzie się trucizna znajduje. W cierpieniach fizycznych zdaje się nawet nie cierpieć moralnie, a przynajmniéj na pozór. Żadne słowo efektownéj deklamacyi nie wymknęło się z pod pióra Flauberta, który do ostatniéj chwili zachował swój spokój gdzieniegdzie tyko zamącony szyderczym uśmiechem. A jednakże niepodobna przypuścić, aby autor nie miał sympatyi do téj mieszczaneczki, któréj całe życie spaliło się w jednéj wielkiéj żądzy

miłości bez osiągnięcia celu! Pilny obserwator i chłodny stylista ani na chwilę nie wyszedł ze swéj roli bezstronnego komentatora życia. O ile więc ono dostarczało mu materyału do stworzenia dzieła z samych faktów, jakiejkolwiek natury, o tyle on je zanotował i jasno pokazał, nie przyjmując na siebie roli sędziego lub mściciela. Jeżeli Flaubert przez cały ciąg powieści nie pozwolił sobie ani jednego słowa miłości lub nienawiści dla swoich bohaterów, nie znaczy to bynajmniéj, aby się nie miał interesować nimi wcale. Przeciwnie; on ich lubi wszystkich, jako ciekawe okazy życia, jako jednostki godne psychologicznych studyów, jako zbiorniki cnót i wad, które roztrząsa na zimno i bez wzruszenia opisuje. Jedno słowo osobistych uczuć zepsuło-by całość, odjęło-by powieści jéj charakter spokojnego obrazowania życia, zabiłoby jéj artyzm. Zresztą Flaubert, pomimo zredukowania życia do ram bezwzględnéj mierności, nie cofa się przed żadnym faktem tragicznéj lub nawet sentymentalnéj natury, ile razy on się nadarza z toku powieści lub wypływa z charakteru osób działających. Sama pani Bovary, tak głupia i płytka zarówno w swych myślach jak uczuciach, ileż to razy zdobywa się na straszne słowa, które swym cynizmem, tragicznością lub nawet sentymentalizmem, przerażają czytelnika najmniéj nawet wrażliwego na dramaty walki moralnéj. Pod tym względem powieść obfituje w szczegóły wysokiéj, psychologicznéj wartości, pomimo przelaserowania całego obrazu jednym, szarym kolorem powszedniości. Potrzeba tylko umiéć je widziéć, lub czuć wielkość prawdy, co na jedno wychodzi. Cóż bowiem bardziéj przerażającego nad śmierć Emmy, a zarazem cóż prostszego nad jéj opis. Jest to rodzaj sprawozdania doktora z ostatnich chwil człowieka. Żaden krzyk zgrozy nie wyrwał się z piersi Faubert'a. Konanie Emmy opisywał on z takim samym chłodnym spokojem jak krajobraz lasu, w którym Emma po raz pierwszy upadła i jak tam jéj nie potępiał, tak tu nie żałuje, nie rozgrzesza. To nie jego rzecz! Zapisuje on tylko fakty i daje im artystyczny tok. Moralność i filozofia autora poszły dzielić los jego wyobraźni, a ponieważ on tylko chce pokazać prawdę rzeczywistą, więc na jego podmiotowe przedstawienie świata w ramach tego sprawozdania z życia nie było już miejsca. A nie tylko Emma sama jest prawdziwą w powieści. Flaubert pokazując jéj duszę uwarunkowaną wpływami zewnętrznemi, a głównie otoczeniem ludzi do niéj niepasujących, musiał ich z konieczności traktować w ten sam sposób jak i ją. Jest to rodzaj łagodzących okoliczności, które wpływają na zmniejszenie winy, na jéj niepoczytalność. Nie są to jednak upostaciowane wady, lub upostaciowane wpływy. Flaubert otoczeniu Emmy, którego padła ofiarą, dał zupełnie samoistne znaczenie. Ci

ludzie żyją nie dlatego, aby rzucać światło na bohaterkę powieści. Bynajmniéj. Żyją oni tylko dla siebie i przez to właśnie, że tylko dla siebie, jak w życiu, wywierają na Emmę wpływ nieskończenie silniejszy, niż gdyby, jak w pseudo-klasycznéj literaturze, byli do téj roli przeznaczeni specyalnie.

Naturalnie, najbliższym i najwyraźniejszym motorem nieporządku w umyśle i nerwach Emmy był sam jéj mąż, Karol Bovary. Jest-to osobistość przerażająco prawdziwa: jednolita w swéj głupocie, dobra w przestawaniu na małém i poetyczna przez swoję bezinteresowność, brak rozwagi i nieszczęście. Każdy jego krok sprowadza katastrofę w życiu Emmy, każde słowo umacnia ją na drodze upadku. Aż do jéj śmierci nie widział nic i nikogo oprócz siebie i swéj miłości. Najdziwaczniejsze wybryki jéj postępowania nie wywoływały w jego umyśle ani zwątpień ani podejrzeń. To było nad program jego regularnego życia. Ten umysł przesiąknięty rutyną, ciasny i ciężki, nie umiał ani razu zdobyć się na samoistne myślenie, lub przynajmniéj na rozszerzenie jego widnokręgu. Że żona powinna kochać męża, rozumiał to doskonale; aby jednak miała go zdradzić, to się już w jego głowie pomieścić nie mogło. Flaubert niezawodnie musiał do niego mieć pewną słabość, musiał go lubić jako istotę grubą, nieokrzesaną, płaską, ale nawskróś poczciwą i pod względem chytrości niepodobną do całéj téj galeryi samolubnych Normandów, którzy wraz z nim kopali moralny grób pod nogami nieszczęśliwéj Emmy, z tą tylko różnicą, że kiedy tamci działali świadomie, on ją popychał w przepaść z całą naiwnością dziecka. Nie wpłynęło to jednak na umysł powieściopisarza. Flaubert nie oszczędza go wcale, nie obchodzi się z nim inaczéj jak ze wszystkimi, i ile razy Karol nie chce być pozi:mym, co mu się zdarza czasami, szyderczy uśmiech Flaubert'a przeziera po-przez jego słowa i czyny sprowadzając go do roli, jaką mu w życiu natura i wykształcenie odegrać kazały.

Na Przedstawieniu *Łucyi z Lamermooru*, z ciasnéj głowy tego prowincyonalnego lekarza wciąż wymykają się myśli, które swą płaskością i powszednością łzy śmiechu wyciskają. Biedny Normand nie może „zrozumiéć treści opery, z powodu muzyki, która bardzo szkodziła słowom“ i zasypuje Emmę zapytaniami.

— Na co ci się przyda? — zawołała — milcz!

— Kiedy widzisz, bo lubię—odpowiedział przechylając się przez ramię—zdawać sobie ze wszystkiego sprawę.

Ale Emma zamknęła mu raz jeszcze usta i Karol Bovary nie dowiedział się, co robili ci wszyscy dziwni ludzie na scenie. Zresztą

płytkość jego umysłu nie tylko w rzeczach piękna upokarzała go przed światem. Emma do współki z aptekarzem Homais namówiła go do wykonania operacyi na kulawym od urodzenia chłopcu z oberży. W miarę jak podnosiły się cierpienia chorego, Emma rosła w dumę: mąż jéj miał okryć się chwałą chirurga, który po raz pierwszy we Francyi podjął się operacyi *strephopodyi.* Lecz „interesujący *strephopod,*“ wskutek rozwinięcia się gangreny o mało nie przeniósł się na tamten świat. Dwóch sąsiednich doktorów, traktując Karola z lekceważeniem ludzi wyższych nauką i umysłem, uratowało chłopcu życie, odjąwszy mu nogę powyżéj kolana. Poczciwy Karol pomimo złych interesów sprawił mu kulę za trzysta franków niezależnie od prostéj drewnianéj nogi i ile razy potém słyszał jego sztukanie po bruku, zmieniał drogę, aby się z nim nie spotkać. Zresztą jego nieuctwo szło tak daleko, że nawet nie znał antydotów przeciwko działaniu trucizny i pozwolił żonie wić się w przedśmiertnych konwulsyach bez żadnego ratunku, aż do chwili przybycia tych samych dwóch doktorów-sąsiadów. Rozpacz jego nie miała granic. Zaledwie Emma zasnęła na wieki, Karol zamknął się w swoim gabinecie i wypłakawszy się do woli, napisał: „Chcę, aby ją pochowano w sukni ślubnéj, w białych trzewikach i z wiankiem. Włosy będzie miała rozpuszczone na ramiona; trzy trumny, dębowa, mahoniowa i ołowiana. Niech nikt do mnie nie mówi, będę miał siły. To wszystko przykryte będzie wielką sztuką zielonego aksamitu. Tak chcę zróbcie.“ Sąsiadom i przyjaciołom ideje Bovarego wydały się zbyt romantycznemi: „Co to was obchodzi? — zawołał — dajcie mi pokój! wyście jéj nie kochali! Odejdźcie ztąd!“ Lecz Karol ani na chwilę nie przypuszczał, aby ta, którą tak poczciwie i po swojemu serdecznie kochał, mogła go zdradzić dla innego, lub co gorsza, dla innych nawet. Odkrywszy listy Rudolfa na strychu, zawołał:

— „Prawdopodobnie kochali się platonicznie. Trzeba ją było uwielbiać. Wszyscy mężczyzni pożądali jéj z pewnością“ i „aby się podobać, jak gdyby jeszcze żyła, przyswoił sobie jéj predylekcye; kupił sobie lakierowane buty i zaczął nosić białe krawaty. Wąsy smarował kosmetykami i jak ona wystawiał weksle. *Emma psuła go z po za grobu.*“ Spotkawszy się pewnego dnia z Rudolfem pozwolił mu zaprosić się na piwo z powodu gorąca. Była chwila kiedy Karol, pełen ponuréj wściekłości, utkwił oczy w Rudolfie, który z przestrachu przerwał rozmowę o gospodarstwie, inwentarzu żywym i nawozach. Wkrótce jednak to samo grobowe znużenie zapanowało na jego twarzy.

— Nie mam do pana urazy — zawołał, kryjąc twarz w dłonie, a nawet dorzucił:

— Wina to fatalizmu! Nazajutrz mała jego córeczka znalazła go nieżywym w altanie. Miał głowę opartą o mur, oczy zamknięte, usta otwarte i trzymał w rękach długi kosmyk czarnych włosów.

Jak widzimy, zarówno w dramatycznych jak i sentymentalnych chwilach życia, Bovary nie wychodzi ze swego charakteru i nie przestaje być głupim poczciwcem. Niezasłużone jego nieszczęście, ograniczony umysł i nieograniczona dobroć, wywołują w czytelniku ciągłe dla niego objawy sympatyi, jakkolwiek Flaubert żadnym lirycznym wyrazem, czulszą nutą nie posługiwał się ani w opisach jego cierpień, ani w sposobach wyrażania się jego uczuć. Prawda, byle tylko dobrze widziana i umiejętnie przedstawiona, robi wrażenie sama przez się i nie potrzebuje ani oczyszczań w duchu klasyków, ani przekształcań w duchu romantyków. Karol Bovary rozrzewnia dlatego tylko, że jest typem prawdziwym. Gdyby jego pospolity, blady język raz chociaż został przerwany jakimś wyszukańszym frazesem, postać tak wypukła swoją powszedniością, przestałaby interesować i okryła-by się banalną śmiesznością zamiast wzbudzać zasłużoną sympatyą.

Zresztą w całéj téj galeryi prowincyonalnych miernot, oprócz wstrętnego żyda-handlarza, Lheureux, nie ma ani jednéj, którą-by Flaubert się brzydził. On, jakkolwiek drwi i szydzi z ich głupoty, grubych instynktów lub nieokrzesanych umysłów, lubi je wszystkie, tak samo jak naturalista, który odczuwając doskonale różnice pomiędzy owadami użytecznemi a szkodliwemi, pomiędzy roślinami trującemi a leczącemi, niezależnie od ich złych lub dobrych dla człowieka przymiotów, zajmuje się wszystkiemi z jednakowém zamiłowaniem i jednakową uwagą. Flaubert nagromadza szczegóły, zapisuje pilnie swe spostrzeżenia, porządkuje przymioty i naznacza opisywanym przez siebie indywiduom właściwe dla nich miejsce w klasyfikacyi ludzi pod względem ich temperamentu, charakteru i umysłowości, nie robiąc żadnego nacisku na ich dobre lub szkodliwe znaczenie w społeczeństwie, co właściwie należy do etyki lub kodeksów karnych, nie zaś do sztuki, mającéj być istotném odźwierciadleniem życia, artystycznym obrazem, ale niczém więcéj. Dlatego téż to jego postacie są tak żywe, pełne i wyraźne, chociaż żadna z nich nie przerasta konturu osobistości miernych, powszednich i płaskich.

Leon Dupuis, wykształcony prawnik i człowiek, pod koniec swego stosunku z nieszczęśliwą Emmą otarty już o życie wielkiego świata, ani na chwilę nie zdradził się jakimś słówkiem, któreby mogło czytelnika pobudzić do myślenia. Uczucia jego zarówno jak

umysł i sposób mówienia są przyjemnie blade, przyjemnie poetyczne i po salonowemu gładkie. Jest-to miłe, pięknie wypolerowane zero, *amor et deliciae* kobiecego rodu, który podoba sobie w inteligencyach bez głębokości, zapałach bez ognia i poetyczném mówieniu bez uczucia. W powieści ze wszystkich osób przedstawia się on najbardziéj blado. Nie mogło być inaczéj. Człowiek tak bez żadnego charakterystycznego rysu, jak Leon, musi niknąć z przed oczu, cofać się w głąb', tracić niemal swe kształty w jakimś półcieniu drugiego planu, który jest tylko przejściem z salonu do buduaru. Ale nawet i tam nie przestaje on być istotą dwuznaczną. „Jak każdy notaryusz, który nosi w sobie szczątki poety,“ Leon kochał. Spostrzegłszy się jednak, że stosunek z kobiétą zamężną mógłby szkodliwie wpłynąć na jego przyszłość i powodzenie, przyrzekł mamie porzucić Emmę i dotrzymał słowa w chwili, kiedy Emma zażądała od niego pożyczki trzech tysięcy franków.

Niewiększą moralną wartość posiada Rudolf Boulanger. Różni się on tém tylko od Leona, że jest ordynarnym od pierwszéj chwili, kiedy tamten pod koniec dopiéro przyswoił sobie ten przymiot i nim zwyciężył Emmę. Całe postępowanie Rudolfa jest jednym, nieustającym policzkiem dla kobiét. Ze wszystkich typów w *Pani Bovary*, jemu, jako najogólniejszemu, należy się pierwszeństwo. Nie ma chyba kraju, w którym-by dziewięćdziesiąt kobiét nie upadło dla takiego jak on don Juana. Flaubert z bohaterskim niemal wysiłkiem rzeźbił tę postać, która inaczéj niż z gliny rzeczywistego życia stworzyć-by się nie dała. Rudolf bowiem nie ma w sobie nic, coby w powieści mogło mu dodać uroku, choćby nawet ujemnego. Jest zarówno gruby w swych uczuciach jak płaski w słowach, zarówno bezczelny w swych zamiarach jak okrutny w postępowaniu. Bierze Emmę udanym sentymentalizmem a trzyma fizyczną siłą. Jako wyborny znawca kobiét odgaduje naturę *Pani Bovary* odrazu. „Biedna kobiéta! — mówi do siebie. Poziewa za miłością jak karp' na kuchennym stole za wodą. Za trzy słowa *galanteryi*, to by cię uwielbiała z pewnością! Byłaby czuła, czarująca!... Tak, ale potém jak się tego pozbyć?“ Tych kilka okrutnych słów jest jakby programem dla Flauberta. Na tle banalnéj mowy prezesa, urzędowym stylem sławiącego rządy cesarstwa i postęp, Rudolf zdobywa serce Emmy. Słowa jego brzmią fałszem, udaném wzruszeniem i wytartą poezyą. Co chwila zapominając się nazywa Emmę po imieniu. Ona go powstrzymuje; czuć jednak, że serce jéj tego tylko potrzebowało.

— Emma! — powtórzył Rudolf!

— Panie! — odtrąciła Emma cokolwiek się odsuwając.

— Ah! widzisz Pani—odpowiedział głosem melancholicznym—że miałem słuszność nie chcąc tu już przychodzić, gdyż tego imienia, które przepełnia moję duszę, a które mi się wymknęło obecnie, zabraniasz mi Pani! Pani Bovary!... E! wszyscy tak Cię nazywają!... Zresztą to nie Pani imię; to imię innego! Innego! powtórzył i kryjąc twarz w dłoniach ciągnął dalej: „Tak; myślę o Pani bezustannie!... Wspomnienie Pani przyprowadza mnie do rozpaczy! Ah! przepraszam!... Opuszczam Panią!... *Adieu!*... Pójdę daleko... tak daleko, że Pani już o mnie słyszéć nie będziesz!... A jednak... dzisiaj... nie wiem, jaka siła jeszcze popchnęła mnie ku pani! Nie walczy się bowiem przeciwko niebu, nie stawia się oporu uśmiechowi aniołów! pozwoliłem się pociągnąć przez to co jest piękne, czarujące, godne uwielbienia! W nocy, co noc, przychodziłem aż tutaj, wpatrywałem się w dom Pani, w dach, który lśnił się pod światłem księżyca, w drzewa, które kołysały się przed oknem, w małą lampkę, światełko, które po przez szyby błyszczało w cieniu. Ach! Pani nie wiedziałaś wcale, że tam tak blisko i tak daleko, biedny nędzarz...

— Ach! Jak pan jesteś dobry — zawołała Emma łkając.

— Nie, ale Panią kocham i oto wszystko! Nie wątpisz Pani o tém! Powiedz mi; słowo! jedno słowo tylko!

Zaledwie jednak Emma dała się uwieść téj wyszarzanéj poezyi w słowach, Rudolf powrócił do swojéj roli nieokrzesanego kochanka. Miłość jéj namiętna, zmysłowa zarazem i romantyczna ciężyła mu od chwili, kiedy grube jego instynkta zostały zadowolnione.

— Czy mnie kochasz? — zawołała Emma pewnego razu.

— Ależ tak, kocham cię, odpowiedział Rudolf.

— Czy bardzo?

— Z pewnością.

— Nie kochałeś tak innych, co?

— Wierzyłaś może w moją dziewiczość, biorąc mnie?—wybuchnął ze śmiechem.

To jedno brutalne słowo nadaje postaci taką wypukłość, że odtąd nie można już stracić jéj z oczu. Wszystko co potém następuje, jest w zupełnéj konsekwencyi z poprzedniém. Porzucenie przezeń Emmy, w chwili kiedy chciała być wykradzioną, jego list pełen rozsądku, fałszywa łza puszczona na papier, jego ucieczka przez Yonville dla skrócenia drogi koniom i nareszcie odmowa pożyczki zrujnowanéj Emmie, wszystko to są szczegóły, wypełniające charakter ale już po tamtych zbyteczne do postawienia go jasno. Pomimo to jednak Flaubert żadnego z nich nie traktował pobieżnie i jakkolwiek potrzeba było mieć odwagę, aby z tych płaskich blaszek życia

ułożyć górę, Flaubert nie cofnął się przed pracą i nagromadził je wszystkie, wszystkie zużytkował, byle prawda ukazała się wiernie i pełno.

Gdzie jednak jego metoda nalepiania na człowieka drobnych rysów z życia przedstawia się najświetniéj, to w malowaniu postaci aptekarza z Yonville, pana Homais. Jest-to typ śmieszny bez karykatury, prawdziwy i bez przesady charakterystyczny. Homais jednoczy w sobie wszystkie wady inteligencyj prowincyonalnych. Nie brak mu ani jednego rysu człowieka naukowego bez nauki i wolnomyśliciela bez odpowiedniego umysłowego przygotowania. Zamiast dogmatów religii katolickiéj, wierzy w dogmaty religii Voltaire'a, Diderot'a i innych. Stronnik wolności, chciałby aby rząd kazał księżom krew puszczać przynajmniéj raz na miesiąc. Ciągle ma na ustach łacińską lub grecką terminologią z zakresu medycyny i farmacyi; dzieciom ponadawał szumne imiona: Atalii, Napoleona i t. p; napisał broszurę, „O cydrze, jego fabrykacyi i skutkach, z dodaniem kilku nowych myśli w tym przedmiocie;" jest współpracownikiem dziennika *Fanal de Rouen*; nosi grecką czapkę na głowie; oburza się przeciwko zacofaniu i despotycznemu rządowi cesarstwa i marzy o legii honorowéj z tytułu swojéj broszury. Słowem, typ inteligencyi prowincyonalnéj, która wierzy w swoję wyższość i nawet poniżona z zadowolnieniem myśli o sobie.

Inne, drobniejsze postacie dopełniają obrazu stojąc na uboczu, jak to im z roli i ich społecznéj pozycyi przypadło. Wszystkie one żyją tém samém życiem co i cała powieść, to jest prawdą szczegółów i ich nagromadzeniem. I jak w języku Flauberta nie ma nic, coby nie było z góry obmyślaném i z wiedzą zastosowaném, tak i w jego powieściowych postaciach nie ma nic, coby nie było koniecznym i nieodzownym rysem ich charakterów; a jakkolwiek przypadkowość natury gra tu przeważną rolę, w powieści nie ma ani jednego szczegółu, któryby zamieszał się tam przypadkiem. Ztąd to ta jednolitość dzieła, ta przyszła jego trwałość. Wszystko się trzyma na cemencie wiedzy i artyzmu: nigdzie szczelin ani szpar, tak pomiędzy obserwowanemi z natury szczegółami jak i słowami samego stylu, który stosownie do potrzeby i woli autora jest płynnym, słodkim lub ognistym, niezdecydowanie miłym lub szorstkim, słowem takim, jak być powinien, to jest nie raz-na-zawsze jednakowym, ale naginającym się odpowiednio do każdego charakteru, do każdéj sytuacyi z osobna. Tym tylko sposobem język autora staje się prawdziwą formą, w któréj treść jak w bronzie odlewa się wyraźnie i żywo, i tym tylko sposobem język Flaubert'a, wypracowany na chłodno i cierpliwie, był w stanie oddać najsubtelniejsze odcienia uczuć, nie

posługując się ani deklamatorstwem romantyków, ani napuszoną, miarową retoryką pseudo-klasyków.

A jednak Sainte-Beuve, głowa francuzkiéj krytyki, w *Pani Bovary* widział styl bez uczucia, mierną prawdę bez interesu, brzydotę życia bez śladu nawet czulszych, piękniejszych, poetyczniejszych stron. Sąd-to nawskróś fałszywy, jakkolwiek ze stanowiska Sainte-Beuve'a logiczny. „Pani Sand lub Bernardin de Saint-Pierre pisze on w swéj krytyce *Pani Bovary*—z nudów opuszczali wieś i w kilka miesięcy potém dawali nam arcydzieła pięknych, poetycznych opisów życia wiejskiego i wiejskiéj natury. Flaubert, siedząc przez piętnaście lat w Normandyi dał nam ją taką, jaką jest w rzeczywistości: płaską, nudną, powszednią i bez poezyi.“ Ależ jemu o to chodziło właśnie, aby nie utopią i marzenia, lecz prawdę pokazać światu, kiedy tamci swój umysł i serce podstawiali na miejsce rzeczywistości, on ją przyjął za podstawę i ramy sztuki, z któréj wyłączył poetyczne kłamstwo i fałszywe iluzye. Żywi ludzie i żywa natura, nie zaś typy i krajobrazy z głowy! A jednak wszyscy jego ludzie są typowymi, wszystkie krajobrazy malowniczemi i namacalnie plastycznemi, chociaż Flaubert pierwszych nie tworzył według szablonowéj formuły, dla pokazania jednéj ich tylko wydatnéj strony, a drugich nie traktował samoistnie, dla popisania się z malowniczym, dosadnie poetycznym językiem. Gdyby obok tych ludzi, żyjących każdy dla siebie, przed oczyma czytelnika rozwinęły się jeszcze krajobrazy samoistne i opisy dla samego stylu, powieść rozpadła by się w kawałki. Tak, jak jest, wszystko się trzyma i wzajemnie wspiera. Żaden opis nie grzeszy zbytecznością, ani brakiem łączności z działającemi osobami. Często tylko szczegół umieszczony na pierwszéj stronicy znajduje zastosowanie i wyjaśnienie na ostatniéj, lub scena zbyt długo traktowana na początku, zdradza konieczność swego istnienia na końcu powieści, i to jest wielką zaletą kompozycyi, gdyż wszystko idzie w myśl planu. Opisowość nie przeszkadza akcyi lecz przeciwnie, podtrzymuje ją tam i wtedy, kiedy dramat słabnie wskutek nagromadzania szczegółów i konieczności charakteryzowania działających postaci. Tym tylko sposobem przy niesłychanéj rozmaitości faktów i ich sprzecznych naturach, Flaubert umiał dzieło utrzymać w zupełnéj jednolitości.

A jednak, jakkolwiek cała kompozycya opiera się na liniach doskonale zbieżnych i wyraźnie określających myśl kompozytora, *Pani Bovary* wciąż jeszcze ulega zarzutowi, jakoby Flaubert przez zbyteczne rozszerzenie szczegółów, przez zbyteczny nacisk na wpływ i otoczenie dramat sam, czyli wątek powieści, poszarpał na luźne

sceny i obrazy, w których bohaterka nie bierze żadnego udziału. Ze stanowiska szablonowéj kompozycyi zarzut to słuszny, szkoda tylko że się odnosi do Flaubert'a, który jest zaprzeczeniem wszystkiego, co się nazywa konwencyonalną, szablonową robotą. Nic bardziéj sztucznego nad owe sentymentalne powieści z epoki romantycznéj, kiedy życie człowieka oprawione było w ramki artystycznego obrazu, w którym świat zewnętrzny, żywy czy martwy, tyle tylko zajmował miejsca, ile autorowi było tego potrzeba do uwydatnienia charakteru i temperamentu osobistości głównych. Tam wpływy nie grały żadnéj prawie roli. Ludzie byli prawdziwymi bohaterami; działali w myśl swojéj woli i zwyciężali przeszkody materyalne z taką samą łatwością jak i własną naturę. Każdy krok ich był nowym tryumfem, każda myśl czynem. Tam robili, co chcieli; tu działają tak, jak muszą, jak im każą nerwy, temperament, wychowanie, charakter, świat zewnętrzny, okoliczności i cała ta masa drobnych wpływów, które się składają na utworzenie całości życia. Nie zapominajmy bowiem, że charakter Emmy urabia się nietylko według logiki wewnętrznéj, ale także i pod naciskiem z zewnątrz. Każdy jéj krok usprawiedliwiony jest przyczyną, któréj tak dobrze szukać należy w jéj własnéj naturze, jak i w naturze otaczających ją ludzi lub rzeczy. Emma marzy i decyduje się pod wpływem jakiegoś spotkania, znalezionego przedmiotu, usłyszanego słowa lub nic nie znaczącego wypadku, i ponieważ jest tak zależną od tych wszystkich drobnych przyczyn, należało więc te przyczyny nagromadzić i dać im pod względem objętości takie same znaczenie w powieści, jakie mają w życiu. Inaczéj charakter i postępowanie Emmy rozwijałyby się w próżni, w sposób czysto abstrakcyjny, co nie zgadza się ani ze znajomością psychologii, ani z potrzebami powieści realnéj. Osoby drugorzędne nie mogą już dziś zachowywać się biernie, ponieważ autor wprowadza je dla nich samych, dla pokazania całości życia, ale nie jak dawniéj, dla wytłómaczenia i oświetlenia jednego charakteru, jednéj tylko postaci bohatera. Każda z nich działa na swoję rękę, i przez to powieść o tyle traci na palącym interesie, o ile zyskuje na prawdzie, gdyż jak z jednéj strony czytelnik wciąż musi się odrywać od pochodu i rozwoju dramatu, tak znowu z drugiéj staje się panem całego aparatu psychologicznego, jaki życiem powieściowych osobistości rządzi.

Zresztą Emma to charakter do pewnego stopnia wyjątkowy; dla pokazania więc całości życia potrzeba było do powieści wprowadzić tych ludzi, którzy się wylęgają na słońcu prowincyonalnéj powszedniości i z niéj nie wychodzą. Żadna z tych osobistości nie jest nad-

zwyczajną, a jakkolwiek ostatecznie wszystkie one są niesłychanie płaskie, grube, samolubne, bezświadomie nikczemne i przy napuszoności w słowach aż do zdumienia ograniczone, Flaubert charakterystykę ich wydostał nie przesadzaniem śmiesznych rysów, ale prostém nagromadzaniem szczegółów, które tylko nieznacznym blaskiem swego szyderstwa gdzieniegdzie oświecał. Tym sposobem stanowią one tu nie szare tło dla jaskrawego portretu kobiéty nerwowéj, ale figury samoistne, które autor przez uszanowanie dla życia, przez uszanowanie dla psychologii, budował według téj saméj metody co i bohaterkę główną, jeżeli przy Flaubert'cie o bohaterach mówić wogóle można, tak oni są zredukowani do kroju i miary życia.

„Jedyny zarzut—mówi Sainte-Beuve, jaki robię autorowi, to ten, że w jego książce *dobro* jest aż nazbyt nieobecne; nie przedstawia go bowiem żadna osobistość." Zarzut to téj saméj wartości co i poprzedni. Flaubert malował kraj takim, jak on jest w rzeczywistości, nie pisząc poezyi normandzkich krajobrazów, a ludzi takimi, jakich znał, nie dodając im uroku bohaterów romantycznych. To nie uosobienia pewnych uczuć lub idei, ale pewnych natur, które jak w życiu, mają swoje złe i dobre strony, swoje zalety i śmieszności, ale nie są bynajmniéj wcieleniem wyłącznych cnót lub wyłącznych wad. Na nie jak na Emmę wpływy zewnętrzne, wychowanie, otoczenie i okoliczności, wpłynęły również fatalnie; i jak Emma, są one również zbiornikami dodatnich i ujemnych wartości psychicznych nie zaś literackiemi postaciami, zręcznie tylko poruszanemi za pomocą sztucznych nitek jednéj wyłącznéj idei, jednego uczucia. Tym sposobem Flaubert pokazał nam ludzi-skąpców, egoistów, rozrzutników, zmysłowców, szachrajów, złodziei, głupców lub poczciwców, ale nie uosobienia skąpstwa, egoizmu, zmysłowości, głupoty lub poczciwości, co z jego stanowiska tylko za zaletę nie za wadę poczytać mu należy. Flaubert nie uzmysłowił nigdzie ani bezwzględnego *dobra* ani bezwzględnego *zła*. Psychologia i estetyka dzisiejszych czasów stanęły mu na zawadzie. Psychologia dlatego że *dobro* ani *zło* nie istnieją w formie doskonale skrystalizowanéj, estetyka zaś, dlatego że sposób tworzenia sztuki z pojęć ogólnych jest już aż nadto przestarzałym. Zresztą moralna strona *Pani Bovary* nie leżała w intencyach autora. On nie chciał uczyć życia, ale pokazać jego fizyczne i moralne przejawy, zaznaczyć fakty i artystycznie związać je w jednę, organiczną całość. Takie było jego zadanie, któremu on pomimo trudności podołał zupełnie.

Złe rozumienie lub pobieżne czytanie dały powieści rozgłos dzieła stojącego na scenach drażliwéj natury. Zarzut to o tyle niesłuszny, o ile fałszywy. Sceny bowiem w lesie z Rudolfem, a w dorożce i w hotelu w Rouen z Leonem, są-to szczegóły konieczne dla pełności obrazu, ale nie obrazy samoistne i dla siebie. Bez nich powieść realna obejść się nie mogła. Jéj psychologii brakowałoby motywów fizyologicznych. Flaubert je zobrazował, ale z taką wstrzemięźliwością, z takiem uwzględnieniem dobrego smaku, jak może w żadnéj z powieści dzisiejszych.

(*D. n.*)

Antoni Sygietyński.

O dyplomacyi polskiéj za Zygmunta I.

(Z powodu studyum dra Aleksandra Hirschberga pod takimże tytułem ogłoszonego w r. 1880 we Lwowie).

I.

Dzieje dyplomacyi naszéj do niedawna w zupełności niemal leżały odłogiem. Rzecz jasna, że u narodu, który podobne jak nasz przechodził koleje, właśnie na téj części jego dziejów, która się odnosi do stosunków z zagranicą, musiał się odbić wpływ nieszczęśliwych jego losów. Pytam, gdzie się podziały nasze archiwa dyplomatyczne? Gdzie owe zbiory, do których tak często, kiedy „semotis arbitris“ sejmujące stany powzięły jakąś ważniejszą a tajną uchwałę, składano tak zwany „skrypt ad archivum“? Gdzie są te archiwa? W odpowiedź przychodzą mimowoli na pamięć złowieszcze słowa merseburskiego Thietmara, jednego z pierwszych, co o nas pisali: „Jako Wendów w niewolę wzięta rodzina“... tak rozdarte zostały na wszystkie świata strony. Tam przecie, w archiwach dawnéj rzeczypospolitéj, potrzebaby zda się, szukać materyałów do skreślenia lub choćby przygotowania dziejów naszéj dyplomacyi.

Atoli wzgląd powyżéj wymieniony, zewnętrznéj raczéj, że tak powiem materyalnéj natury, nie jest jedynym a zwłaszcza nie jest bynajmniéj najważniejszym powodem zaniedbania, w jakiém zostają i ponoś jeszcze długo zostawać będą dzieje naszych zewnętrznych stosunków międzynarodowych; jest nim zaś tém mniéj, że o ile o rzeczy któréj się nie zna wyrokować można, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nasze archiwa dyplomatyczne nie były bardzo bogate. Wiadomo, że chyba z wyjątkiem kuryi rzymskiéj i chyba jeszcze takiéj rzeczypospolitéj weneckiéj, któréj dyplomacya była, jeźli się tak wolno wyrazić, jakby pierwszym owocem co dojrzał na nierodzącém jeszcze podówczas drzewie międzynarodowych sto-

sunków cywilizowanego świata, wiadomo, mówię, że zresztą w całym świecie gromadzenie papierów dyplomatycznych w osobne porządne zbiory zaczęło się dość późno, bo dopiéro przy końcu XVI-o, w XVII-m nierzadko dopiéro w drugiéj połowie XVII-o wieku. Aż do téj chwili, która naturalnie w różnych państwach była różną, ministrowie kierujący zarówno, jak ich wysłannicy, ambasadorowie i różnego tytułu agenci przy obcych dworach, uważali papiery przechodzące przez ich ręce za prywatną swą własność, którą téż, konsekwentnie z tém pojęciem, przekazywali w domowych zbiorach swym spadkobiercom (1). Niejedno z tych zbiorów prywatnych wróciło późniéj do właściwych archiwów dyplomatycznych, gdy te z czasem powstały: kupowano podobne rzeczy od spadkobierców za drogie częstokroć pieniądze. Tém się tłómaczy, że np. we Francyi, gdzie urzędowe składanie dyplomatycznych papierów do osobnego archiwum poczęło się dopiéro ze śmiercią Lionne'a (r. 1671), archiwum toż, tj. archiwum ministerstwa spraw zagranicznych zawiera także, aczkolwiek bardzo niekompletne materyały i do pierwszéj połowy XVII stulecia. Przypuścić można, że w rzeczypospolitéj polskiéj, przy znanym naszym ładzie, rzecz się działa o wiele gorzéj aniżeli na zachodzie, że nasi posłowie i agenci polityczni tylko bardzo rzadko zwracali czy to instrukcye czy inne poruczone im papiery i że w każdym razie poczęli to czynić dopiéro bardzo późno. Wzgląd tedy, powtarzam, rozproszenia naszego archiwum w kwestyi, która nas tu obchodzi, dość podrzędnéj jest wagi, a właściwego powodu dla którego podobno nie rychło się zdobędziem na umiejętne skreślenie dziejów naszéj dyplomacyi, należy, zdaniem mojém, szukać o wiele głębiéj, bo w saméj naturze naszego historycznego rozwoju. W wielkiéj rodzinie narodów cywilizowanéj Europy, wskutek swego geograficznego położenia, jeden z najmłodszych, miał téż nasz naród stosunkowo mało związków ze starszą swą bracią. Na krańcach świata cywilizowanego postawieni, zachowywaliśmy się przez cały niemal ciąg naszego dziejowego żywota przeważnie biernie, odgrywając co najwięcéj wobec Litwy i Rusi tę rolę, jaka wobec nas przypadła Niemcom, jaką wobec Niemiec w nowszych czasach odgrywała Francya, jaką w wiekach średnich i w czasach odrodzenia wobec całéj Europy odgrywała klasyczna ziemia Włoch. Odbiły się zaś, te szczególniejsze warunki naszego geograficznego położenia, nietylko w ogólnych naszych międzynarodowych stosunkach,

---

(1) Por. z tém co pisze Ranke w przedmowie do swego dzieła: Die römischen Päpste etc.

ale též par excellence w stosunkach naszych rządów z rządami obcych narodów. Tu zaś w pomoc przybył jeszcze wzgląd inny, najważniejszy zdaniem mojem,—osobliwszy ustrój naszéj rzeczypospolitéj, który skoro doszedł do pewnéj w wadliwym swym rozwoju wysokości, po prostu uniemożliwiał nam wszelką politykę zagraniczną. Myśmy w ostatniém półtora stuleciu naszego niepodległego bytu, tj. w właściwéj epoce rozkwitu dyplomacyi, téj dyplomacyi zgoła prawie nie mieli, rozumiem dyplomacyi w tém szerokiém określeniu, w jakiém ją p. Hirschberg pojmuje, dyplomacyi, która „obejmuje wszelkie sprawy międzynarodowe i uczy jak w sposób pokojowy bronić interesów i popierać na zewnątrz skierowane dążenia narodu.“ Dyplomacyi niema bez rządu, a o tym jak to już stary zauważył Bielski, „szkoda u nas mówić.“ W naszych dziejach wewnętrznych z ostatnich 150 lat, mimo smutnego wrażenia, jakiém muszą przejmować każdego nieuprzedzonego a kochającego prawdę badacza, mimo ich charakteru wybitnie anarchicznego, da się przecie dostrzedz pewna myśl przewodnia, która się przez nie snuje rzadko tylko przerywaną wstęgą, a któréj, zda mi się, należy się dopatrywać, w jedynéj zresztą w dziejach świata a ciągłéj niemal u nas, konspiracyi władzy centralnéj czyli rządu przeciwko istniejącemu ustrojowi rzeczypospolitéj, objawiającemu się w przeciwném wręcz owéj konspiracyi, bo decentralizacyjném a nadto ultrakonserwatywném dążeniu społeczeństwa. Atoli w polityce naszéj zagranicznéj niema i téj nici przewodniéj i dzieło podobne, jak (żeby nie wspominać o Droysen'a dziejach polityki pruskiéj) Flassan'a przestarzała zresztą książka o dyplomacyi francuskiéj, jest w naszych stosunkach wręcz niemożliwém. Bierność nasza dziejowa nigdzie tak wybitnie nie występuje jak właśnie w tym braku, zresztą aż nadto zrozumiałym, wszelkiéj jako tako samodzielnéj polityki zewnętrznéj. My bo, własnéj polityki prowadzić nie mogąc, musieliśmy z koniecznością zejść do rzędu, że tak powiem, funkcyi algebraicznéj od innych zawisłéj potęg, jużto w tryumfalny rydwan Habsburgów już téż Burbonów wprzągnieni, na dziejowym oceanie jak błędna łódka bez kompasu burzami międzynarodowemi miotani. W dziejach naszych są epizody dyplomatyczne; konsekwentnéj, świadoméj swych celów polityki zagranicznéj, którejby wprawna dyplomacya za narzędzie służyła, przynajmniéj w ostatniem półtora stuleciu naszego niepodległego istnienia—*niema*.

Ale i te epizody, powiedziałem to wyżéj, do niedawna pozostały zgoła nietknięte. W ostanich dopiéro latach, jużto wydane u nas materyały, już téż badania podjęte w archiwach zagranicznych, długi czas mało komu przystępnych, wyświeciły niektóre

z tych ustępów naszéj przeszłości. Liczba prac odnośnych jest jednak dotąd bardzo szczupłą. Prace Liskiego i Smolki dla dziejów Zygmunta I, Przezdzieckiego, Szujskiego i Zakrzewskiego dla Zygmunta Augusta i bezkrólewiów, niektóre pomniejsze monografie w ostatnich powstałe latach, wyczerpują niemal zasób ważniejszych prac traktujących o dyplomatycznych stosunkach Polski z zagranicą w wieku XVI-m. Wydawnictwo aktów do dziejów Jana III, podjęte świeżo przez akademią krakowską, przyczyni się niewątpliwie niemało do wyjaśnienia, stosunków naszych z zachodem w XVIII-m stul., stosunków dotąd zaledwie stronniczém piórem Walewskiego tkniętych. Dzieła Roepell'a wreszcie i Kalinki wraz z kilku drobniejszemi monografiami należą do dziejów XVIII-o wieku.

II.

Pod tyt. O „dyplomacyi polskiéj za Zygmunta I,“ p. Hirschberg, docent historyi polskiéj przy uniwersytecie lwowskim i kustosz zakł. narod. im. Ossolińskich, znany dotąd zwłaszcza z szacownéj monografii o życiu i pismach J. L. Decyusza, ogłosił studyum o tejże dyplomacyi w pierwszych 20-tu latach panowania Zygmunta I, studyum, które jak się czyta przyjemnie, tak téż zapewnie z zajęciem było słuchane na doroczném posiedzeniu wspomnianego zakładu im. Ossolińskich, na którém pierwotnie dał je poznać autor. Napisane językiem jędrnym, właściwym autorowi, streszcza to studyum jego własne zarówno jak obce badania, a wreszcie podaje także niektóre nowe rezultaty.

Na samym wstępie konstatuje p. H., jakoby w publiczności naszéj, skutkiem wyłącznéj niemal znajomości dziejów jedynie XVIII wieku, panowało mylne, zdaniem jego, przekonanie, iż rzeczpospolita polska niemiała nigdy ani należytéj armii ani polityki prowadzonéj racyonalnie, ani wreszcie dyplomacyi, któraby umiała pokojowo bronić interesów narodu i pracować skutecznie nad osiągnięciem jego politycznych celów. Muszę tu zaraz z góry zaznaczyć, że zapatrywania tego nie łatwo podzielać; wydaje mi się przeciwnie, jakobyśmy owszem do niedawna grzeszyli optymizmem właśnie w pojmowaniu dziejów naszych, z dawniejszych stuleci a zwłaszcza z XVI w. Kto się chce o tém przekonać, niech jeno weźmie do ręki dzieje czyto Moraczewskiego czy Morawskiego czy jeszcze Szujskiego, lub przedmowy, któremi wydawca Tomicyanów zaopatrzył wydane przez się dokumenta. Sama tak utarta nazwa złotego wieku, prawdziwa może dla dziejów literatury, poczyna się od niedawna przedstawiać jako anachronizm ze względu na społeczne i polityczne stosunki.

Uznaje wprawdzie p. H. że sztuka dyplomatyczna nie kwitnęła u nas tak jak we Francyi lub na dworze Habsburgów, twierdzi atoli, iż jeszcze w w. XVII-m, za Władysława IV, znakomitych liczyła reprezentantów, a już zgoła w początkach XVI, tj. za Zygmunta I, że tworzy jednę z najchlubniejszych kart naszych dziejów, że wytworzyła własną szkołę i wydała szereg dyplomatów głośnych niemal w całéj Europie. Określa następnie p. H. znaczenie słowa dyplomacya w tym sensie, w jakimśmy je wyżéj podali, a scharakteryzowawszy trudności ówczesnego położenia Polski, stwierdziwszy szczupłość ówczesnych naszych zasobów, oraz zewsząd na rzeczpospolitą czyhające niebezpieczeństwa, wyraża przekonanie, iż jedynie rozumnéj polityce Zygmunta I i zręczności ówczesnéj dyplomacyi naszéj mamy do zawdzięczenia, jeźliśmy potrafili odeprzéć te niebezpieczeństwa, załatwić jako tako sprawę pruską i samodzielne czynne w powszechno-europejskich kwestyach zachować stanowisko. Na stwierdzenie zaś tego zdania, przechodzi p. H. kolejno stosunki międzynarodowe Polski za Zygmunta I z jej sąsiadami i zastanawia się wreszcie nad jéj udziałem w ówczesnych dziejach powszechnych.

Wyznaję, że mi trudno zgodzić się bez zastrzeżenia na te, mojém zdaniem, nieco optymistyczne zapatrywania. Nie podzielam przedewszystkiém bynajmniéj entuzyazmu p. H. dla ówczesnéj dyplomacyi w ogóle. Według niego dyplomacya europejska (nie polska) w w. XVI stoi na „wysokości dotąd nieprześcignionéj;“ dyplomaci habsburscy, Maksymilian I zwłaszcza, zda się wyrzekli już ostatnie słowo w téj mierze; dyplomacya, powiada on (str. 8) stwarzała zupełnie nowe kombinacye polityczne, wywoływała wojny i bunty lub jednała od wieków zwaśnionych, najróżniejsze czynniki łączyła w potężne, zgodnie działające koalicye i nieraz stokroć większe oddawała usługi niż armie niezwyciężone i łańcuchy twierdz niezdobytych. Dyplomacya nie tylko wyzyskiwała wszelkie korzyści, wynikające z pewnego położenia, ale niejednokrotnie zupełnie nowe stwarzała sytuacye, wśród których nierównie łatwiéj było przeprowadzać swoje plany polityczne. Dla takich celów nie wahano się łączyć nawet z tak groźną wówczas potęgą turecką, zawiązywano stosunki z Tatarami, z odległą Moskwą lub Persyą.

Otóż w tych słowach jest wiele a wiele przesady. Zapomina, zdaniem mojém autor, że ta dyplomacya z początku XVI w. to nie mówię, wyrostek nieletni, ale prawdziwe niemowlę ledwie do życia zrodzone, któremu jeszcze wiek cały w pieluchach poleżéć należało. Dyplomacya ta jeżeli była rzeczywiście taką jak ją pojmuje p. H.

to chyba podobną będzie do owéj Minerwy, co w pełnéj zbroi wyskoczyła z głowy Zeusa, bo i skądżeżby się nagle wziąć miała tak doskonała dyplomacya? Miałaż że, wyjąwszy chyba półwysep włoski z panującym w nim już od połowy XVI w. systemem równowagi pięciu głównych mocarstw, które pomiędzy siebie podzieliły półwysep, równowagi sztucznéj, jedynie dyplomatycznemi wysileniami utrzymywanéj i niebawem potém zresztą, przy pierwszém zetknięciu z zagranicą, do góry nogami wywróconéj; miałaż pytam, ta dyplomacya, ledwie do życia zrodzona, jakiekolwiek tradycye, któremiby się mogła pożywnie, skutecznie karmić? miałaż, przy zupełnéj niedostateczności, nie statystycznych ale geograficznych wiadomości, choćby warunki do szybkiego wzrostu? Już same trudności materyalne, jak złe i niedostateczne drogi i utrudnione tém nadzwyczajnie komunikacye, jak nieznajomość języków, któréj niezawsze była w stanie zastąpić łacina, byłyby się stały walnemi przeszkodami do tak szybkiego jéj rozwoju, gdyby nawet innych głębiéj leżących przeszkód nie było. Przeszkodą taką była przedewszystkiém nadzwyczajna ciasnota horyzontów politycznych, niedziwna, jeźli się zważy stan ówczesnéj wiedzy geograficznéj, a jeszcze bardziéj dotychczasowy rozwój społeczeństw europejskich, które całe wieki dziejowego żywota przeżyły w ścisłém od siebie odosobnieniu. W naturze rzeczy leżało, że ciasnota ta nie mogła odrazu, nagle być uchyloną, lecz że musiała ustępować powoli. I tak téż było w istocie. Wieki upłynęły zanim ziemie odleglejsze, jak np. państwo rosyjskie, weszły w system mocarstw europejskich, wiek cały przynajmniéj, nim i z Polską poczęły się na seryo i *stale* liczyć mocarstwa zachodnie. Jeszcze w drugiéj połowie XVII wieku, Ludwik XIV (któremu z pewnością ciasnoty wzroku politycznego zarzucić nie można), pisząc dla swego syna i następcy traktaty polityczne ledwie że wspomina o Moskwie— bliższą Francyi dzisiaj Kamczatka, niżeli podówczas Moskwa, a punkt ciężkości politycznego systematu Europy widzi w stosunku Francyi do domu habsburskiego, nie tyle jednak w cesarstwie, jak raczéj w hiszpańskiéj monarchii. Wówczas to dopiéro, liczne kółka w których się dotychczas obracało życie polityczne narodów europejskich, poczęły się zlewać i skupiać w dwa potężne koła, przedstawiające dwa odrębne systematy polityczne, które w rywalizacyi Burbonów z Habsburgami nietylko doskonały swój wyraz i swe dziejowe znaczenie, ale zarazem gwarancyą, niejako racyą bytu znalazły. Tenże dopiéro dwoisty system gdy się nie powiodły plany Ludwika XIV, utorował z końcem XVII w. drogę nowemu systematowi, polegającemu na wzajemnéj równowadze mocarstw, a pod którego wszechwładnym wpływem do dziś dnia zostajemy. Zawiązy-

wano, to prawda, już w XVI w. stosunki to z Moskwą to z Tatarami, to nawet z odległą Persyą, wiązano się dość często, acz zazwyczaj potajemnie, z Turcyą, ale to były objawy odosobnione, sporadyczne, chwilową potrzebą wywołane, bez owéj ciągłości, która jest duszą wszelkich dyplomatycznych stosunków. Minęły wieki, nim o stałych poczęto myśléć poselstwach. Jakoż dopiéro kongres westfalski, który położył koniec wojnie 30-letniéj, przygotował grunt do bliższych stosunków międzynarodowych i rzucił téż pierwsze podwaliny do nieobojętnego na owe czasy kodeksu ceremoniału dyplomatycznego. Nie zawadzi przypomniéć, że dopiéro na te czasy przypada działalność takich mężów jak Grotius i Puffendorf, i że pierwsze, ile mi wiadomo, dzieło traktujące systematycznie o sztuce dyplomatycznéj wydane zostało dopiéro w r. 1681 p. tyt. „L'ambassadeur et ses fonctions" przez znanego publicystę Wicquerfort'a.

A jakimiż to środkami posługiwała się owa dyplomacya XVI w. tyle sławiona przez p. H? Nazwano powszechnie pieniądz *nervus belli;* z niemniejszą słusznością można go było ochrzcić nazwą: *nervus diplomaticus.* W w. XVII-m jedna połowa Europy stoi na żołdzie Francyi, druga od Habsburgów pobiera subsydya—prawdziwa polityka korupcyi i tryngieltów, któréj pierwszym paragrafem zda się być: opłacać sługi (rozumiem ministrów), ażeby taniéj kupić pana. Nie wiele więcéj budującemi są téż dalsze paragrafy tego międzynarodowego kodeksu dyplomatycznego. Przejąć pocztę, nastawić zasadzkę na kuryera, schwycić listy i po mozolném badaniu dorobić sobie klucz do cyfer, albo wytargować go od przekupionego sekretarza, kłamliwą wieścią w porę rzuconą obałamucić przeciwnika, lżyć się wzajemnie i ogadywać, sadzić się na śmieszne formalności, choćby w ceremonialnym pochodzie zajechać ze zbrojnym pocztem drogę koledze,—oto jeszcze długo później reguły téj „nieprześcignionéj" umiejętności dyplomatycznéj. Że dyplomacya europejska XVI w. nie inaczéj postępowała, na to, choćby w samém studyum pana H, mnogie mamy dowody i postępowanie Ciołka w Rzymie i Augsburgu, Dantyszka na dworze hiszpańskim, Marka a Turri w Polsce, czyż nie oświecą jaskrawém światłem owéj naiwnéj brutalności, jaka cechuje wszystkie dyplomacye ówczesne? Sztuka tych dyplomatów, postawiona wobec dzisiejszych sposobów postępowania, podobna do chytrości wyspiarzy południowego oceanu wobec cywilizacyi odkrywców europejskich (1).

---

(1) Nie mogę sobie odmówić przyjemności przytoczenia z powołanego wyżéj dzieła Wicquefort'a ustępu, w którym autor odpowiada na pytanie, czy i o ile wolno po-

Moralności i doborowi użytych środków odpowiadają téż najzupełniéj osiągnięte przez nie rezultaty. Liga kambryjska przeciwko Wenecyi i niebawem po niéj utworzona, wręcz jéj przeciwna tak zwana liga święta, koalicya Europy przeciw Franciszkowi I i nagły potém zwrot tych samych mocarstw przeciw Karolowi V, nie sąż wyraźnemi wskazówkami, że ówczesna dyplomacya chodziła po omacku, to téj to owéj chwytając się poręczy? Jakoż, jak już powiedziałem wyżéj, nie rychło przyszło do utworzenia stałych systematów politycznych, które następnie przez wieki miały nadawać kierunek życiu społeczeństw europejskich. Nie chcę ja bynajmniéj przeczyć *względnego* rozwoju rzemiosła dyplomatycznego w porównaniu do jego stanu w wiekach średnich, ale ten rozwój, naturalny wynik rozbudzonych żywo stosunków międzynarodowych, nie miał pierwotnie i jeszcze długo potém, bynajmniéj téj doniosłości, jaką mu przypisuje p. H., który w istocie w ocenieniu jego ma dziwnie pobłażliwą skalę, skoro np. mówiąc o poselstwach Dantyszka wynosi jako wielką jego zasługę, że tenże Dantyszek w relacyach swoich uwiadamiał kancelaryą polską o stanie monarchii Karola V, o jéj zasobach militarnych, skarbowych i t. p. (p. 27—28). Nie jestżeż to i nie byłoż zawsze pierwszym, najelementarniejszym obowiązkiem każdego posła, posła zwłaszcza na tak niedobrowolną kwarantannę skazanego, jaka biednemu Dantyszkowi kilkakrotnie przypadła?

III.

Jeżeli tedy, mojém zdaniem, przesadne jest zapatrywanie p. H. na dyplomacyą europejską XVI-wieku wogóle, to nie mniéj grzeszy pewnym optymizmem jego zdanie o dyplomacyi polskiéj za Zygmunta I w szczególności. Zdanie to p. H. streszcza się w słowach, że dyplomacya ta była na wysokości zadania, które jéj przypadło. Otóż, nie chcę bynajmniéj odmawiać zręczności ówczesnym negocyatorom polskim, nie chcę przeczyć, że mężów jak: Łaskich, Tomickiego, Krzyckiego i pewnie innych jeszcze, mogły nam pozazdrościć wszystkie ówczesne rządy; uznaję chętnie niezwykłą trudność położenia

---

słowi przekupywać obcych ministrów. On peut dire que c'est un des important services que l'ambassadeur puisse rendre á son maître, que de lui acquérir un des ministres de la cour ou il négocie; car servant d'espion honorable, ce n'est pas seulement un moyen sur de pénétrer le secret, mais aussi de faire donner aux affaires le tour que son maitre désire et qui s'accommode á ses intérêts. *Or que l'ambassadeur qui gagne ou corrompt un ministre ne viole point le droit des gens et demeure dans les termes de sa fonction, c'est dont tout le monde est d'accord* etc. (L'ambassadeur etc., La Haye, 1681, t. II, p. 207). Robi jednak Wicquefort pewne zastrzeżenia, którеby tu zbytecznem było powtarzać.

Polski, wyznaję, że dyplomacya polska z czasów Zygmunta ma niejeden świetny epizod, który dzieje na jéj korzyść zapisać muszą, jednego przecie nie mogę utaić skrupułu: czemuż pomimo wszystkie te zalety i usiłowania, nie była szczęśliwą ta dyplomacya? A nie była szczęśliwą, bo przyłożyła rękę do najzgubniejszych układów, bo dawszy się całemi latami wodzić na pasku krzyżackich wybiegów, następnie nie wytępiła (jak pierwotnie usiłowała) zakonu; bo dała urość i spotężnieć państwu Moskiewskiemu; bo w stosunkach z Tatarami nie wyszła nigdy po za nieznośny bo nie pewny *modus vivendi* (sic!), przerywany regularnie co kilka lat niszczącemi napadami zbójeckiego narodu; bo nietylko, że nie wstrzymała zapędów tureckich, ale owszem pozwoliła runąć przedmurzu Polski, Węgrom, że wreszcie najbogatszemu dziedzictwu ówczesnego świata, dziedzictwu, niezapominajmy, Jagiellonów: Szczepana i Wacława koronom dała przejść w ręce obcego domu, który od dawna czyhał na ich zagarnięcie. Po walném zwycięstwie pod Orszą poszła taż dyplomacya do Presburga, by tu podpisać kapitulacyą z roli wielkiego mocarstwa, za niepewne nadzieje i marne tytuły, wraz z ręką dziedziczki przetumanić bogate jéj wiano; nie umiawszy na krzyżaków wziąść w porę oręża, dała go sobie wytrącić z rąk w chwili, gdy zwycięstwo zdawało się niewątpliwe. Pan H. wynosi korzyści traktatu z hanem krymskim zawartego, ma czułe ucho na skargi posłów moskiewskich w Stambule na to przymierze... Jakież były tego przymierza korzyści? Czy wyrównały gromowi owego najazdu z r. 1516 który nas 50.000 jasyru kosztował? Czy zdolne zatrzéć porażkę sokalską i śmierć owych pięciu tysięcy rycerstwa polskiego, co legły pod zabójczemi strzałami sprzymierzonego Tatarzyna?

Pan H. chwali także (p. 30) „ogromnéj doniosłości usługi oddane w rokowaniach z Turcyą,“ mówi o nader żywéj i zręcznéj działalności, jaką w téj mierze rozwinęli nasi posłowie, których cały szereg wymienia. Ależ, co o tych posłach wiemy, jest tak drobne i tak niedostateczne, że ledwie pozwala nam ocenić naturę ich zabiegów, a nadto zdaje się zapominać szanowny autor, że te stosunki przyjazne i chwilowy spokój ze strony Turcyi okupiliśmy wydaniem jéj na łup korony św. Szczepana, co, prawda że w późnéj dopiéro przyszłości, mnogich obaw i niebezpieczeństw dla nas było powodem. A! gdyby nam się było udało odwrócić upadek Węgier albo poskromić Tatarów i pomimo to zachować przyjazne stosunki z sułtanem, toby to dyplomacyi naszéj za wielką i wobec Polski i wobec świata całego należało poczytać zasługę; tak jednak, w utrzymaniu pokojowych stosunków z Turcyą nie mogę upatrywać wielkiéj zasługi, bo prawdą a Bogiem! pozbywszy się raz olbrachtowych na Wo-

łoszczyznę zamiarów, ani my u Turcyi ani Turcya u nas niceśmy ani podówczas ani kiedykolwiek późniéj nie mieli do szukania. Jakoż wszystkie wojny, któreśmy prowadzili z Turcyą, były wywołane sztucznie—to przez kozaków, to przez jeszcze bardziéj uboczne choć nie mniéj miłosierne wpływy, jak rakuskie i weneckie poduszczenia—i nie leżały bynajmniéj w sferze bezpośrednich interesów obu krajów.

Nazwałbym podobnież znakomitą dyplomacyą polską, gdyby była umiała przeszkodzić utworzeniu owéj ligi Glińskiego, która nas o utratę Smoleńska, a w dalszém następstwie bodaj czy nie o utratę Węgier i Czech, czyli (co na jedno wychodzi) o zrzeczenie się dominującego w środkowéj i wschodniéj Europie stanowiska przywiodła. Nie mała to rzecz, nietylko wschodniéj Europy kartę bylibyśmy na swoję zmienili korzyść, ale bodaj czyby wtedy miasto potomków hrabi z jastrzębiego grodu, nie ród Jagiełły rywalizował o lepsze w Europie z Walezyuszami i Burbonami. Już dawniéj wiodły do tego, acz pewnością bezwiednie, rakuskie swaty Kazimierza IV-go; za Olbrachta, Jagiellonowie szukając działu dla królewicza Zygmunta, czynili zagadkowe, ledwie znane dotąd starania w celu osadzenia go na księstwach rakuskich (1); tenże sam trzeźwy i zimno obliczający Zygmunt I, już jako król polski, dał się wziąść na lep wikaryatu cesarskiego, którego tytuł z kongresu wiedeńskiego wyniósł jego bratanek, a jeszcze późniéj tenże Zygmunt myślał na seryo o spadku medyolańskim. Byłoby niesprawiedliwością nie uznać szczęśliwych zapędów dyplomacyi naszéj; takim było owo małżeństwo z Barbarą Zapolyanką (1512), takim jeszcze w r. 1520 niewątpliwy, niestety porzucony zamiar Zygmunta wytępienia, zupełnego zniszczenia lub przeniesienia zakonu; takim jeszcze po rozejmie z r. 1521, skuteczne starania dyplomacyi polskiéj o odosobnienie zakonu. Postawa téjże dyplomacyi wobec elekcyi niemieckiéj r. 1519, albo w obec starań habsburskich o Węgry po bitwie pod Mohaczem, pełna przezorności i sprytu, nawet dwulicowości często daleko posuniętéj, była przecie bezowocną i nie przyniosła korzyści narodowi. Zgodzę się chętnie na zdanie: mieliśmy za Zygmunta I zręcznych negocyatorów, bystrych dyplomatów, ale trudno mi uwierzyć, żebyśmy posiadali statystę, któryby panował nad niepomiernie trudną sytuacyą ówczesnéj Polski. Nie chciejmy też i o tém zapominać, że dyplomacya to tylko jedna strona medalu; jeśli ma być skuteczną, to musi na każde zawołanie być popartą gotową armią. Cóż z tego, że Zygmunt już w r. 1510 był tego zdania, że w sprawie pruskiéj lepiéj na proch żołnie-

(1) Zob. moją rozprawkę (drukowaną w albumie młodzieży polskiéj poświęconém Kraszewskiemu) p. t. „O rzekoméj wyprawie na Turka r. 1497," str, 12 (Lwów, 1879).

rzy, niżeli na ołów (do pieczęci przy dokumentach) i adwokatów łożyć, kiedy urzeczywistnieniu tych i podobnych przekonań tak często... *leges obstabant perniciosae* (jak się sam Zygmunt wyraża niepomnę w którym liście) a reformy wewnętrzne przezeń podjęte jak najzupełniéj się nie powiodły. W tém też niewątpliwie szukać przyczyny, dlaczego dyplomacya nasza, pomimo niezaprzeczonéj swojéj zręczności, rzadko była szczęśliwą. Atoli z pewnością nie wyłącznéj przyczyny, taki Maksymiljan byłby sobie poradził choćby w Polsce ówczesnéj. Nie mogę bo uwierzyć, żeby w narodzie obsolutnie nie było dostatecznéj siły dla sprostania trudnemu położeniu. Czyż położenie owego pseudo-cesarza (1); owego *cesare senza denaro*, jak go szyderczo przezywali Włosi, polującego z biédy (jak sam zwykł był mawiać) na kozice w Alpach, a siedzącego na cienkim skrawku swych dziedzicznych książtewek, zewsząd nieprzyjaciółmi otoczonych, nie było o wiele trudniejszém od naszego? a przecie jakie wydała plony jego a jakie nasza, Zygmuntowska dyplomacya? Bo też niewątpliwie, Maksymilijan, odliczywszy że był panem swojéj woli, górował nad wszystkimi statystami naszymi doniosłością wzroku politycznego podczas gdy nasz widnokrąg polityczny, stwierdzam tu tylko com wyżej powiedział, był nierównie więcéj ograniczony. Z dwóch głównych antagonistów: Moskwy i Habsburgów, myśleliśmy o koalicyi jedynie przeciwko Moskwie; nie nasza wina, jeśli jak pan H. słusznie uważa u naturalnych naszych sprzymierzeńców t. j. w Szwecyi, która podówczas podlegała Danii, nie znaleźliśmy należytego zrozumienia rzeczy; przynajmniéj pomimo zawartego z nią przymierza stanęła Danija po stronie naszych wrogów w owéj wielkiéj koalicyi Glińskiego. Czego natomiast trudno darować doradcom Zygmunta I, to owego tak późnego zawiązania stosunków z Francyą, a i w tém spóźnionémocknieniu się, inicyatywa nie z naszéj wyszła strony. Habsburska dyplomacya od dawna znała drogę do odległéj Moskwy; polska ani myślała o tém, że i ze wschodu na zachód koniecznie jakaś musi prowadzić droga. Próby nawiązania z Francyą zostały rozpoczęte dopiéro wobec powtórnych usiłowań Habsburgów szkodzenia Polsce, gdy już nie było czém, jak przed kilku laty na kongresie wiedeńskim, okupić ich dobrego humoru. A i te stosunki, z nieobliczoną dla nas szkodą, rychło zostały przerwane, a Polska przez wiek cały z górą (bo aż do czasów Ludwiki Maryi), z nielicznemi, krótko tylko trwającemi przerwami, pełniła wytrwale, jako dobrowolna niewolnica rakuskiego domu, służbę przy tryumfalnym

---

(1) Wiadomo, że Maksymillijan nigdy na cesarza nie był koronowany.

pochodzie jego państwowego wozu, którego koła ją kiedyś w dobréj kompanii zgruchotać miały!

IV.

Ale nawet te tak późno rozpoczęte związki Polski z Francyą nie przyniosły bynajmniéj spodziewanych korzyści, owszem miały być „powodem, tak wielkiéj wagi w swoich następstwach, połowicznego załatwienia sprawy pruskiéj.“ Tak przynajmniéj twierdzi p. H. (p. 30). W jesieni r. 1524, opowiada on, przygotowano we Francyi wielką wyprawę do Włoch, a równocześnie mieli także wystąpić przeciw Habsburgom sprzymierzeńcy Franciszka I w Niemczech, Czechach i Węgrzech. Podczas kiedy znaczna armia francuska pod dowództwem samego króla przeprawiła się przez Alpy, zajęła z łatwością Medyolan i obległa Pawią, w Niemczech książę wirtemberski podjął na nowo walkę o swoje księstwo, a głośny wówczas awanturnik węgierski, Krzysztof Frangepan pobudził Turków do napadu na Styryą. Burgrabia korony czeskiéj Zdenko Lew z Rozmitalu w 60.000 wojska (!) miał z północy wkroczyć w ziemie Ferdynanda. Jak się zachowała Polska wobec téj sytuacyi? Pan H. powiada tylko ogólnikowo, że „zamierzała otwarcie wystąpić przeciw Habsburgom.“ Mnie się zdaje, że jeśli nawet w istocie miała ten zamiar, to do otwartego wystąpienia było jeszcze daleko. Bądź co bądź, Habsburgów z krytycznego położenia wyratowały miecz Peskary i wojenny talent Burbona, Franciszek na głowę pobity pod Pawią dostał się do niewoli a z tém i reszcie przeciwników Karola w Czechach i Niemczech opadły ręce. Co do Polski to nietylko, że nie zdołała osiągnąć żadnéj z owych korzyści, jakich się spodziewała po przymierzu z Francyą, ale owszem nie brakło dla niéj niepomyślnych skutków owego aliansu. Najważniejszym z nich miała być zmiana polityki polskiéj wobec zakonu. Pan H. tłómaczy rzecz w ten sposób, że gdy Polska gotowała się jako aliantka Francyi do otwartego boju z Habsburgami, należało jéj choćby kosztem pewnych ustępstw dążyć do ubezpieczenia swoich granic od północy. Gdy zaś nadto nowego sprzymierzeńca Polski, t. j. Franciszka I łączyły ścisłe stosunki z domem brandeburskim, Polska, jakkolwiek tymczasem wszelkie była poczyniła przygotowania, ażeby zbliżająca się wojna z zakonem skończyła się zupełném jego zgnieceniem, w ofierze nowéj przyjaźni przyniosła gotowość do zgody z krzyżakami. Poseł francuski Rinconi miał w roli pośrednika donieść królowi polskiemu o zamiarze Albrechta złożenia godności w. mistrza, poczém mu dopiéro dwór polski swoje uczynił propozycye. Rezultat ten jeśli się okaże praw-

dziwym, będzie bardzo ważny; atoli autor, który obiecuje w osobnéj pracy skreślić rychło usiłowania ówczesnéj dyplomacyi polskiéj, nie podał źródła, na którém opiera wiadomość o związku przymierza francuskiego z pokojem krakowskim. Podobno tedy jest to tylko domysł osobisty autora, mniéj lub więcéj uzasadniony, który przynajmniéj w dostępnych mi źródłach nie znajduje poparcia.

Wynika owszem z tych źródeł z dostateczną jasnością, że propozycya do pokoju krakowskiego wyszła nie zkąd-mąd jak tylko z polskiéj strony (czemu pan H. wprawdzie nie przeczy); o Rinconim ani wogóle o pośrednictwie francuskiém nie słychać tam zgoła, wiadome jest tylko pośrednictwo książąt: lignickiego Fryderyka i brandeburskiego Jerzego. Świat cały sądził przeciwnie, gdy rzecz się skończyła korzystniéj dla Albrechta, niżeli dla Polski, pomawiano jego o autorstwo tych propozycyj, które w pokoju krakowskim uroczystą niebawem potém otrzymały sankcyą. Tymczasem, według wielokrotnych świadectw, nie można jak tylko dworowi polskiemu przypisać w téj mierze inicyatywę. Powiada to bardzo kategorycznie Schütz (Hist. rer. prussic., fol. 491, b.); powiada toż samo Voigt, oparty na niedostępnym nam akcie osobistego zeznania w. mistrza (drukowanym u Fabera: Beiträge zur Kunde Preussens, IV, 81—85). Według tegoż zeznania wojewoda krakowski (Szydłowiecki) i biskup poznański byli promotorami téj sprawy (Gesch. Preussens, t. IX, 729). Wreszcie w Tomicyanach jest dokument, który może znieść do reszty wszelką wątpliwość w téj mierze. Czytamy mianowicie w odpowiedzi królewskiéj danéj rzecznikom w. mistrza, co następuje: „Posset tamen, ut putat Mtas sua *ad eum modum res componi et transigi, quem Vris Illmis Dtionibus Mgcus dnus Chr. de Szidlowec, palat. Cracoviensis proposuerat*, videlicet, ut Illris dnus magister pro eo, quod sit nepos Mttis Suae, praestaret iuramentum more consiliariorum regni etc.“ (1). Inne świadectwa temu przeciwne dadzą się łatwo wytłómaczyć; niektóre jak Wapowskiego i Górskiego niewiadomością rzeczy (2), inne umyślną tendencyą. I tak, jeżeli Krzycki, w obszernym liście pisanym do nuncyusza apostolskiego w Węgrzech, wystawia rzecz jakoby od owych pośredników Albrechta wyszły warunki, na których podstawie zawarto pokój krakowski, to czyni on to w dobrze zrozumianym interesie dworu polskiego, któremu musiało zależéć na tém, ażeby nie tylko nie

---

(1) Acta Tomiciana, t. VIII, w. LXXVII.

(2) Górski w komentarzu do Tomicyanów, t. VII, p. 218. Por. co do Wapowskiego mój Rozbiór podługoszowéj części téj kroniki, Kraków 1880, (odbitka z rozpraw Akademii), p. 132.

objaśnić opinii publicznéj, ale owszem utwierdzić ją w błędném, jakie o téj sprawie miała, mniemaniu. Należało to zaś uczynić zwłaszcza wobec stolicy apostolskiéj i cesarskiego dworu, które po Polsce, najbardziéj były interesowane w sekularyzacyi Prus. Ten to wzgląd, jak nam tłómaczy powyższy list Krzyckiego, tak téż jedynie zdoła wyłożyć słowa listu Tomickiego do Dantyszka, podówczas posła na dworze hiszpańskim. „Petiit (Albertus) dare sibi in feudum a Mtte Regia et obtinuit terras illas etc." (1), boć cesarzowi tak a nie inaczéj należało wystawić sprawę.

Co się wreszcie tyczy powodów, które skłoniły dwór polski do uczynienia tych propozycyj w. mistrzowi, to zdaje mi się, że tych szukać należy w rozruchach, jakie się współcześnie objawiły w miastach Prus królewskich, a przedewszystkiém w Gdańsku. W téj mierze pozwolę sobie zwrócić uwagę szanownego autora na list Zygmunta I do Gdańszczan, pisany w czasie, kiedy już wybuchły rozruchy w tém mieście, a jeszcze było wątpliwém czy przyjdzie do skutku pokój z w. mistrzem. Z końcowego zwłaszcza ustępu tego listu zdaje się wynikać, jakoby Zygmuntem powodowała obawa, ażeby się Gdańsk i reszta po części zlutrzonych Prus nie przechyliła na stronę wolnością sumienia darzącego mistrza krzyżackiego (2). Podobnie twierdzi zresztą Wapowski. W odwet zgoda z w. mistrzem wpłynęła téż nie pomału na smutny obrót, jaki wzięły (dla miasta) rozruchy gdańskie. W surowém skarceniu luterskich naczelników buntu można dopatrywać jedynie tajemnéj chęci Zygmunta przebłagania dworu rzymskiego za niekatolickie załatwienie sprawy pruskiéj.

Oczekujemy z niecierpliwością obiecanéj pracy pana H., w przekonaniu, że się przyczyni do wyjaśnienia nader ważnych a niedość dobrze znanych stosunków Polski z zachodem, tém ważniejszych, że Polska wystąpiła wtedy po raz pierwszy na szeroką arenę ogólno-europejskich dziejów i że po raz pierwszy wzięła, jakkolwiek tylko dyplomatyczny, udział w owéj wielkiéj walce dziejowéj, wywołanéj rywalizacyą Habsburgów z Walezyuszami, która już niebawem, miała się stać jakoby osią całych dziejów nowożytnych.

Stanisław Lukas.

---

(1) List Krzyckiego, A. Tomic, t. VII, p. 250; Tomickiego, tamże p. 274.

(2) A. Tomic, t. VII, nr. XXIII, Legatio a Sigismundo R. P. ad Gedanenses, zwłaszcza na str. 209. Por. także dzieło p. t. Die Oberpfarrkirche von St. Marien in Danzig in ihren Denkmälern und in ihren Beziehungen zum kirchlichen Leben Danzig's überhaupt, dargestellt von Dr. Theodor Hirsch, Danzig, 1843, str. 273.

PODSTAWY SOCYOLOGII

I STANOWISKO W NIÉJ

Herberta Spencera.

Socyologia jest umiejętnością, mającą za przedmiot objawy życia zbiorowego tak ludzi, jak i zwierząt. Ma ona za zadanie wykryć przyczynowy ich związek, zbadać warunki istnienia społeczeństwa i prawa jego rozwoju. Pojęta w tym zakresie, jest ona nauką nową nie z samego tylko nazwiska. Właściwym jéj twórcą jest August Comte.

Nie znaczy to, ażeby dawniéj nie zajmowano się zagadnieniami, stanowiącemi treść nauki o społeczeństwie. W najodleglejszych wiekach oświaty zastanawiano się nad naturą stosunków społecznych. Wszystkie atoli przedsiębrane w tym kierunku badania były wielce jednostronne. Do Comte'a zajmowano się głównie temi tylko stosunkami, które stanowią treść organizacyi społecznéj, warunki istnienia społeczeństwa, ograniczając badania do jednéj tylko strony bytu społecznego z pominięciem drugiéj—jaką jest życie jego dziejowe. Co więcéj, o stosunkach tych, przedstawiających tylko jedną połowę życia społecznego, najfałszywsze nieraz wygłaszano zdania i teorye, sądząc o nich nie podług tego, jakiemi one były w rzeczywistości, nie podług tego, jak o nich mówiły świadectwa historyczne, ale podług tego, jakiemi się wydawały z punktu widzenia prawno-politycznego, albo jakiemi je widzieć chciano ze względu na interesa państwa albo kościoła. Co się tyczy rozwoju społeczeństwa, praw postępu — zaczęto nad tą stroną życia społecznego zastanawiać się dopiéro w nowszych czasach. To wszakże, co w tym zakresie zrobiono, nie mogło się przyczynić do wyjaśnienia rzeczy; raz dlatego, że prawa postępu badano w oderwaniu od praw istnienia społeczeństwa i jego organizacyi a następnie dlatego, że zamiast praw tych szukać w ścisłym roz-

biorze faktów dziejowych, wyprowadzano je dedukcyjnie z założeń téj lub owéj doktryny filozoficznéj.

Comte pierwszy obie te strony bytu społecznego starał się ująć w syntetyczną jedność, wykazując ścisłą między niemi zależność, usiłując porządek pogodzić z postępem i ten ostatni sprowadzić na drogę rozwoju, wolnego od gwałtownych przewrotów. A jakkolwiek sformułowane przezeń prawa życia społecznego podlegają licznym zarzutom, z tém wszystkiém przyczynił się on najwięcéj do ustalenia przekonania, że zjawiska społeczne nie stanowią wyjątku od powszechnych praw natury, że tak stosunki życia zbiorowego, jak i wydarzenia dziejowe ulegają pewnym, stałym i niezmiennym prawom, które jeżeli i nie dają się sformułować z taką ścisłością, jaką się odznaczają prawa świata fizycznego, to przynajmniéj z taką, na jaką pozwala rachunek prawdopodobieństwa. Prawa te wyprowadził on z natury rzeczy, pojmując je, jako pewien porządek, podług którego układają się stosunki ludzkie i wydarzenia życia dziejowego, porządek zależny co do swéj istoty od potrzeb tak fizycznych, jak i umysłowych człowieka i od zewnętrznych warunków, wśród których rozwija się jego działanie.

Za czasów Comte'a dwie panowały doktryny, wręcz sobie przeciwne pod tym względem, że każda z nich inaczéj pojmowała naturę układu społecznego i inaczéj tłómaczyła jego powstanie.

Jedna z nich, któréj głównym apostołem był Rousseau, utrzymywała, że podstawą i początkiem społeczeństwa jest ugoda społeczna (*contrat social*), że wszystkie stosunki społeczne nie są niczém inném, jak dziełem świadoméj swych zamiarów i postanowień woli pojedyńczych ludzi, którzy się zgodzili na to, by wspólnie żyć i siłami zbiorowemi popierać swe cele i zamiary. Pojęty w ten sposób układ społeczny nie zawiera w sobie nic koniecznego i może być zmienianym i przerabianym bądź częściowo, bądź w całości z takąż-samą swobodą, z jaką został utworzony. Każdy musi przyznać, że jest-to doktryna, która, uświęcając gwałtowne w społeczeństwie przewroty, toruje drogę do anarchii. To téż do dziś dnia jest ona aktem wiary socyalistów, komunistów i wogóle wszelkiego rodzaju reformatorów, którzy w swéj sangwinicznéj niecierpliwości chcieliby jednym zamachem uszczęśliwić ludzkość, uwalniając ją raz na zawsze od jéj biéd i nędzy za pomocą przeobrażeń, nie uwzględniających ani natury ludzkiéj z jéj potrzebami zarówno umysłowemi jak i fizycznemi, ani przeszłości dziejowéj, wypisanéj w sercu ludzkiém niełatwemi do starcia literami.

Druga doktryna, będąca logicznem następstwem idealnéj filozofii niemieckiéj, nauczała, że w podstawie społeczeństwa leżą

pewne, konieczne i niezmienne w swéj istocie prawa, które czynią porządek społeczny niezależnym od woli ludzkiéj; ale prawa te wyprowadzała nie z właściwych naturze ludzkiéj usposobień, skłonności i popędów, nie z przyrodzonych potrzeb człowieka fizycznych i umysłowych i z jego czynności, kierowanéj temi potrzebami, lecz z oderwanych idei, pojmowanych przez nią jako jakieś byty, unoszące się nad rzeczywistością i nie mające z nią nic wspólnego, jako jakieś czynniki, w tajemniczy sposób działające na pierwiastki życia powszechnego i zmuszające je do układania się w takim, a nie innym porządku.

Obie te doktryny, jedna, wiodąca do anarchii, druga, skuwająca naturalny pęd życia w klamry bezdusznych formułek i uścielająca drogę do despotyzmu — nie mogły ostać się wobec postępu nauk i idących z nim w parze udoskonaleń w metodach badania.

Przeciwko pierwszéj stanęły na świadectwo z niezbitemi dowodami statystyka, ekonomika, etnografia i historya — wykazując, że w objawach życia społecznego panuje taka sama prawidłowość, jak i w świecie zjawisk fizycznych, prawidłowość, mająca swą przyczynę w prawie: że te same zjawiska w tych samych warunkach do tych samych prowadzą następstw; że działalność zbiorowa, mająca na celu wytworzenie bogactwa i jego podział układa się w stosunki podług przyrodzonych potrzeb człowieka, zgodnie z prawami, rządzącemi jego czynnością; że naturalnym stanem człowieka nie jest odosobnienie, ale życie towarzyskie, któremu zawdzięcza całą swą wyższość od zwierzęcia, otrzymawszy od niego w darze mowę i wiedzę: że w rozwoju tak pojedyńczych narodów, jak i całéj ludzkości zachodzi pewna ciągłość, która nie pozwala na gwałtowne przeskoki z jednego stanowiska na drugie, że postęp w każdéj sferze życia społecznego dokonywa się powoli przechodząc wszystkie pośrednie stopnie w miarę, jak rozwijają się i wytwarzają niezbędne czynniki społeczne.

Doktryna upatrująca w układzie społecznym i w dziejach fatalistyczne odprzedmiotowywanie się absolutnych idei, upadła wraz z filozofią Heglowską, która nie potrafiła usprawiedliwić swych założeń wobec pewników, do jakich doszły ostatniemi czasy nauki przyrodnicze. Nowy kierunek filozofii, opierający się w swych wywodach na owych właśnie pewnikach, wykazał, że cała budowa niemieckiéj idealnéj filozofii spoczywała na złudzeniu, polegającém na tém, że abstrakcye, które są tylko czynnością umysłu, uogólniającego dostępne obserwacyi zjawiska tak przedmiotowe, jak i podmiotowe, brała za jakieś metafizyczne byty, za jakieś samoistne czynniki, niezależne w swém działaniu od rzeczywistości, ale na nią od-

działywające w sposób tajemniczy i zmuszające jéj czynniki do układania się w tym a nie innym porządku.

Comte właśnie, jako jeden z założycieli nowéj filozofii, najwięcéj przyczynił się do obalenia filozofii Heglowskiéj, a wraz z nią i owego pojmowania praw społecznych, jako pochodzących nie z natury pierwiastków społecznych jakiemi są: ludzie, ich potrzeby, zdolności umysłowe, uczucia, popędy, oraz zewnętrzne warunki czasu i miejsca oddziaływające w pewien sposób na postępowanie ludzkie, ale z oderwanych idei, pozbawionych życia.

Przewrót, jakiego Comte dokonał w pojmowaniu tak społeczeństwa, jak i praw w podstawie jego bytu leżących i kierujących całém jego życiem, pociągnął za sobą w logicznėm następstwie to, że odtąd nie podobna było uważać społeczeństwa za prosty aglomerat, za zbiór jednostek mechanicznie, albo raczéj sztucznie z sobą połączonych, stosownie do woli bądź samych jednostek, bądź panującego nad niemi rządu; że przestano odtąd również przypisywać społeczeństwu tajemniczy początek, w jego powstaniu i w ważniejszych życia okolicznościach szukać bezpośredniéj interwencyi sił nadziemskich. Za przykładem Comte'a zaczęto zapatrywać się na społeczeństwo, jako na organizm, na naturalny utwór przyrody, który jak każdy byt żyjący ma w sobie samym pewne prawa, będące w istocie swéj tylko wypadkową właściwości jego organizacyi i czynności pierwiastków jego składowych; prawa, wyrażające się tym a nie innym porządkiem zjawisk.

Pojmowanie społeczeństwa, jako organizmu nie jest wynalazkiem Comte'a. Jest ono tak starém, jak sama mądrość ludzka, która chcąc zdać sobie sprawę ze wszystkiego, co się nastręcza jéj uwadze, rzeczy nowe i nieznane tłómaczy za pomocą już poznanych, wykrywając między niemi pewne podobieństwa.

Upatrywanie dość ścisłych analogij między społeczeństwem a organizmem wogóle właściwém już było filozofom greckim. Alfred Espinas w znaném swem dziele: *Des sociétés animales*, dowodzi, że było ono punktem wyjścia dla Sofistów w ich nauczaniu, które dla zwolenników Sokratesa miało znaczenie rewolucyjne, podkopujące istniejący za jego czasów porządek rzeczy. Arystoteles zaś wyraźnie powiada, że prawo organiczne, rządzące społeczeństwem ludzkiém jest tém samém, co prawo, jakiemu podlega każde ciało żyjące, każdy zbiór żyjących istot. Człowiek bowiem nie jest jedyną istotą społeczną; jest on nią w wyższym tylko niż zwierzęta stopniu i to dzięki posiadanéj przez siebie artykułowanéj mowie. Społeczeństwo jest zwykłym tworem natury, bytem żyjącym, który badać potrzeba za pomocą téj saméj metody, co i wszystkie wogóle istoty ży-

jące, za pomocą analizy doświadczalnéj. W nowszych czasach wyznawcami tego poglądu byli: sławny historyozof włoski Vico, Montesquieu, a nareszcie znany ze swych reakcyjnych dążności De Maistre.

Ten, zbijając zasadę Rouss'a, że ludzie gwałcą swem działaniem prawa natury, zmieniając porządek zjawisk, powiada: „Naród, będąc dziełem natury czyli Boga, kiełkuje powoli i rozwija się jak roślina przez współdziałanie mnóstwa okoliczności, które nazywamy zwykle przypadkowemi. Budowa społeczna narodów jest tworem naturalnym, poprzedzającym wszelkie ustawy pisane. Sztuka ludzka przyczynia się do jéj rozwinięcia, ale sztuka ludzka jest-to natura ludzka. Człowiek ze wszystkiemi swemi uczuciami, z całą wiedzą i sztukami jest człowiekiem natury; płótno, które tkacz wyrabia, jest tak samo naturalném, jak pajęczyna, którą wyrabia pająk.

Pogląd ten nie jest obcym i w naszéj literaturze. Pomijając J. Supińskiego, który pisał po Comcie, spotykamy się z nim w dziele Frycza Modrzewskiego: *O Poprawie Rzeczypospolitéj*. Świadczy o tém urywek następujący: „Albowiem rzeczpospolita jest jakoby jedno zupełne zwierzęcia któregokolwiek ciało, którego żaden członek sam sobie nie służy, ale i oko i ręce i nogi i wszystkie insze członki jakoby wspólnie o sobie radzą, a urzędu swego tak używają, aby się wszystko ciało dobrze miało, które gdy się dobrze ma, tedy i członkom krzywdy nie masz, a gdy się ciało nie dobrze ma, tedyć i członki pewnie jaki niewczas cierpieć muszą — nieinaczéj, jedno gdyby którykolwiek członek od ciała był oderwan, już nie jest godzien, aby go własném przezwiskiem zwano przeto, iż ani żywym być ani urzędu swego używać może, jeśli do wszystkiego ciała nie będzie przyłączon; także też żaden obywatel mimo rzeczpospolitą nie może dobrze żyć ani urzędowi swemu albo powinności swéj dosyć uczynić... Lecz jeśli kto jest taki, coby okrom towarzystwa ludzkiego mógł żyć, a nikogo nie potrzebując samby z sobą przestawał, ten nie za obywatela ludzkiego, ale albo za bestyą albo za jakiego boga ma być rozumian, jako Arystoteles powiada."

Uważanie społeczeństwa za organizm pojedyńczy uświęcone wiekami i powagą najpotężniejszych umysłów, może się już dziś zaliczyć do stałych nabytków nauki, do szeregu owych zasadniczych pojęć, które stanowią kamień węgielny budowy umiejętności o społeczeństwie. Jakoż jest ono punktem wyjścia tak dla Spencera, jak i dla innych współczesnych nam badaczy, którzy usiłują na założonych przez Comte'a podstawach wznieść gmach umiejętności o społeczeństwie. Budowa bowiem, którą sam Comte wzniósł na owych podstawach, za umiejętność uważaną być nie

może. Jest-to raczéj dzieło fantazyi, kierowanéj uprzedzeniami i powziętemi z góry teoryami, niż trzeźwego rozumu, zapatrującego się na rzeczy przedmiotowo i starającego się swe wywody opierać na faktach dokładnie poznanych.

W każdym razie między współczesnymi nam badaczami a Comte'm, jest pewna różnica pod względem pojmowania społeczeństwa jako organizmu—różnica wiele znacząca. Comte uważał społeczeństwo ludzkie za organizm pojedyńczy, ale wzbraniał się wyszukiwać jakiegoś podobieństwa między organizmem społecznym, a zwierzęcym, utrzymując, że jakkolwiek społeczeństwo wytwarza się na podstawie praw biologicznych, nie można ich przecież stosować do tłómaczenia wszystkich objawów życia społecznego, które, z powodu nowych wyników, jakie w niém występują, musi mieć właściwe sobie prawa, różne od biologicznych pod tym względem, że są od nich bardziéj złożone i zawikłane. Tymczasem Spencer i inni pisarze, jak Schaeffle, Espinas, uważają społeczeństwo za organizm, który posiada wszystkie cechy organizmu zwierzęcego tak pod względem morfologicznym, jak i fizyologicznym, i ulega tymsamym co i on prawom biologicznym w swém powstawaniu, kształtowaniu się i rozwoju.

Spencer niejednokrotnie wypowiadał swe poglądy i zapatrywania tak na całe społeczeństwo, jak i na pojedyńcze jego zagadnienia, już to w oddzielnych artykułach, już w dziełach, obejmujących pewną całość systematycznie wyłożoną. W r. 1842 ogłosił on w jednéın z pism peryodycznych angielskich seryą listów traktujących o właściwym zakresie władzy rządowej. Listy te posłużyły mu późniéj za wątek do dzieła: *Social Statics*, wydanego w r. 1851. W dziele tém zajmuje się autor warunkami szczęścia ludzkiego. W r. 1874 wydał obszerny tom wstępu do socyologii pod tytułem *Study of sociology*. Dzieło to, pełne głębokich uwag i poglądów na różne kwestye społeczne, ma za główny przedmiot rozważanie trudności, jakie towarzyszą badaniu kwestyj społecznych, oraz wykazanie warunków, od jakich zależy skuteczność owych badań. W tym samym roku rozpoczął wydawać pojedyńczemi zeszytami olbrzymie swe dzieło o społeczeństwie, będące dalszym ciągiem jego Filozofii Syntetycznéj pod tytułem: *Principles of Socyology*. Dzieła tego, mającego składać się z trzech wielkich tomów, wyszedł dotąd zaledwie tom pierwszy i pierwsza część drugiego tomu. Z jakim nakładem pracy przystąpił autor do swego dzieła, wskazuje ta okoliczność, że na kilka lat przedtém zaczął ogłaszać zebrane przez siebie i uporządkowane ze współudziałem kilku uczonych socyologiczne fakty, które służą za empiryczny materyał dla jego socyologii. Wy-

dawnictwa tego, noszącego tytuł: *Descriptive Sociology*, wyszło osiem tomów. Przeznaczeniem jego—ułatwić czytelnikom sprawdzenie, o ile zasady, wypowiedziane przez autora w jego Socyologii, opierają się na faktach i w jakiéj mierze fakty te je stwierdzają.

Pisać obecnie o dziele, którego zaledwie mniejsza część wyszła, byłoby zawcześnie, a to tém bardziéj, że w swoim czasie, gdy dzieło zostanie ukończoném, mam zamiar podać dokładne jego streszczenie. Ograniczam się więc tą razą na pobieżnéj tylko jego charakterystyce.

Socyologia Spencera jest przeważnie etnograficzną. Autor, zbadawszy poprzednio z właściwą sobie dokładnością składowe pierwiastki organizmu społecznego, wykazawszy ogólną jego budowę i prawa rozwoju, rozpatruje po kolei wszystkie strony życia zbiorowego w najróżnorodniejszych ich objawach, jak się przedstawiają u różnych ludów i narodów, tak żyjących, jak i wymarłych, tak oświeconych, jak i znajdujących się w stanie pierwotnéj dzikości. W ten sposób stara się on zbadać naturę tych objawów, szukając ich wyjaśnienia w czynnikach biologicznych i psychologicznych. Materyał empiryczny, nagromadzony w tém dziele, użytym jest tu za rusztowanie tylko. Posługuje się nim Spencer tak tu, jak i w innych swych dziełach, o tyle; o ile potrzebném mu się zdaje do wyprowadzeuia drogą indukcyi zasad ogólnych, które następnie stosuje do wytłómaczenia szczegółowych objawów życia społecznego. Dedukcya u niego zawsze idzie w parze z indukcyą, nieprzebrana mnogość faktów stoi zawsze w odwodzie ku poparciu i stwierdzeniu teoretycznych jego wywodów. Nadaje to jego dziełu charakter systematyczności, przypominającéj niemiecką idealną filozofią z czasów Hegla, a zarazem ścisłości i gruntowności, które nie pozwalają zapomnieć, że ma się tu do czynienia nie ze sztuczną budową dyalektycznego systematyzowania, ale z umiejętném powiązaniem wywodów, opartych na pewnikach naukowych, na twierdzeniach, mających za sobą liczne szeregi faktów.

Nie chcę przez to powiedzieć, by Socyologia Spencera była już tak doskonałą, że w niéj nie ma nic do zarzucenia, by w podstawach swych była już tak ugruntowaną, iż żadne z ich założeń nie da się obalić, a przynajmniéj poprawić. I owszem, zawiera ona w sobie pewne wady i niedostatki, których téż liczni krytycy nie omieszkali mu wytknąć. Jednym z poważniejszych zarzutów, jakie robią Spencerowi jest ten, że zadaleko posuwa analogią między społeczeństwem, a organizmem zwierzęcym. Jakąkolwiek doniosłość przyznamy temu zarzutowi, musimy się zgodzić, że Spencer w porównaniu z innymi pisarzami jest jeszcze bardzo umiarkowany pod tym

względem. Alfred Espinas posuwa analogią do tego stopnia, że społeczeństwu, jako całości organicznéj, przypisuje osobną świadomość siebie, inną i oddzielną od świadomości pojedyńczych ludzi stanowiących zbiorową jednostkę. U niemieckich zaś autorów analogia ta doprowadzona jest do takich szczegółów, że w końcu zatraca się pojęcie jakiejkolwiek różnicy między społeczeństwem i zwierzęciem.

W artykule swym: *Social organism*, wykazuje Spencer następujące analogie między społeczeństwem, a zwierzęcym organizmem:

1) Społeczeństwo, zarówno jak i pojedyńczy organizm, będąc z początku małém tylko skupieniem cząstek, zwiększa się powoli i nieznacznie, tak że niektóre z nich dochodzą czasami do dziesięć tysięcy razy większéj objętości, niż ta, jaką miały pierwotnie.

2) Początkowo będąc bardzo prostéj budowy, tak, że można je uważać za bezkształtne masy, w miarę swego wzrastania stają się coraz więcéj złożonemi w wewnętrznéni ukształtowaniu się.

3) W pierwotném, nierozwiniętym ich stanie istnieje słaba zaledwie zależność między składowemi ich częściami, stopniowo atoli wzajemna ta zależność wzrasta i staje się w końcu tak wielką, że działalność i życie jednéj z nich możliwém jest wtedy tylko, gdy żyją i działają inne części.

4) Życie i rozwój społeczeństwa są niezależne i o wiele trwalsze od życia i rozwoju składowych swych jednostek, które rodzą się, wzrastają, działają, mnożą się i umierają, podczas gdy ciało polityczne, składające się z pokoleń kolejno po sobie następujących, wzrasta pod względem objętości i staje się coraz doskonalszém tak w wewnętrznéj budowie, jak i w żywotnych swych sprawach.

Obok wszakże tych podobieństw występują i różnice, które Spencer sprowadza także do czterech punktów. Są one następne:

„1) Społeczeństwo nie ma właściwéj sobie formy zewnętrznéj. Różnica ta wszakże traci swą doniosłość, gdy zważymy, że w całém królestwie roślinném, zarówno jak i w niższych działach zwierzęcego, kształty są po większéj części nieokreślone, tak że określoność ich można poczytywać raczéj za wyjątek, niż za prawo, i że są one widocznie wytworzone, przynajmniéj w części, przez zewnętrzne fizyczne okoliczności podobnie, jak i zewnętrzne formy społeczeństwa.

2) Życiowa tkanka, z któréj składa się jednostka organiczna, stanowi masę ciągłą i nieprzerwaną, gdy tym czasem żyjące pierwiastki społeczeństwa nie stanowią ciągłéj masy, lecz są mniéj lub

więcéj rozrzucone na pewnéj przestrzeni ziemi. Lecz i ta różnica traci na swém znaczeniu wobec faktu, że między niższemi gatunkami istot organicznych tak z królestwa roślinnego, jak i zwierzęcego, są takie, w których żyjące jednostki, stanowiące ich masę, rozrzucone są w bezwładnéj substancyi, którą zaledwie można nazwać żyjącą w całém znaczeniu tego wyrazu. Zresztą w najdoskonalszym organizmie żyjące jednostki, jakiemi są komórki, niestykają się bezpośrednio z sobą, lecz są przedzielone od siebie tak zwaną substancyą między-komórkową. Z drugiéj znów strony, chociaż ludzie składający społeczeństwo, są fizycznie oddzieleni od siebie i rozrzuceni na przestrzeni ziemi, przestrzeń ta wszakże nie jest pozbawiona życia i owszem życie na niéj rozwija się, jakkolwiek niższego rodzaju, ale życie, od którego zależy byt ludzi i społeczeństwa. Okrywająca ziemię roślinność jest warunkiem życia zwierzęcego; twory zaś roślinne i zwierzęce pewnego kraju służą ku utrzymaniu społeczeństwa ludzkiego.

3) Pierwiastki jednostki organicznéj życiowe są po większéj części ustalone w swém względném położeniu, gdy tymczasem pierwiastki organizmu społecznego mogą się przenosić z miejsca na miejsce z całą swobodą. Różnica ta po bliższém jéj zbadaniu okazuje się znacznie mniejszą, niż się wydaje z pierwszego wejrzenia. Przenoszenie się bowiem obywateli społeczeństwa swobodném jest tylko w zakresie życia prywatnego, w czynnościach zaś publicznych ustaje ono prawie zupełnie. Rolnik, przemysłowiec, kupiec wykonywają swe obowiązki na temsamém miejscu często przez całe życie, a jeżeli wydalają się czasowo, zostawiają innych do załatwiania spraw w ich nieobecności.

4) Ostatnią i najważniejszą różnicą jest, że gdy w organizmie zwierzęcym pewna tylko tkanka tj. nerwowa, obdarzona jest czuciem, to w społeczeństwie każdy jego członek posiada czucie. Spencer przyznaje wielką wagę téj różnicy, w każdym razie nie taką ażeby miała naruszać i znosić analogią między społeczeństwem a organizmém zwierzęcym. Albowiem jak z jednéj strony są organizmy niższego rodzaju, które nie mają systemu nerwowego i u których czucie rozlane jest w całéj masie ich ciała; tak z drugiéj znowu strony, chociaż wszystkie jednostki społeczeństwa obdarzone są czuciem, nie wszystkie przecież posiadają je w równym stopniu. Warstwy narodu wyrobnicze, zajęte uprawą roli, daleko mniéj są wrażliwe tak pod względem uczuciowym, jak i rozumowym, niż klasy społeczeństwa znajdujące się na wyższym stopniu oświaty. Z tém wszystkiém różnica ta między ciałem politycznėm, a ciałem jednostkowém jest stanowczą i nie należy jéj nigdy spuszczać z uwagi. „Przy-

pomina nam bowiem—powiada Spencer—że gdy w ciele jednostki organicznéj, dobrobyt wszystkich składowych części służy ku zapewnieniu dobrobytu systemu nerwowego, którego przykre lub przyjemne wrażenia stanowią szczęście lub nieszczęście jednostki; to w ciele politycznéin dzieje się odwrotnie. Jeżeli bowiem zwierzę jako całość posiada świadomość siebie, czyniącą je zdolném do odczuwania szczęścia i nieszczęścia; to społeczeństwo jako całość nie ma oddzielnéj świadomości siebie. Świadomemi są tylko pojedyńcze jednostki, ludzie, którzy czują, działają i myślą. Oni tylko, jako składowe cząstki społeczeństwa, zdolni są odczuwać dobrobyt całości, jéj powodzenia i klęski; dlatego też pomyślność i szczęście obywateli nigdy niepowinny być poświęcone dla przypuszczalnych korzyści państwa, gdyż właśnie państwo istnieje tylko dla korzyści obywateli. Tutaj życie ogólne musi być podporządkowane życiu części składowych."

Wszystkie więc te różnice, z wyjątkiem może ostatniéj, nie tylko nie zacierają podobieństw, jakie zachodzą między organizmem zwierzęcym, a społeczeństwem, ale przeciwnie bardziéj je jeszcze uwydatniają. Szukając dalszych podobieństw, nie trudno odkryć, że jak w zwierzęciu, tak i w społeczeństwie życie odbywa się za pomocą trzech układów organicznych, które tu i tam w jednakim do siebie zostają stosunku i w tymsamym porządku występują. Są to: układ pokarmowy, krwionośny i nerwowy w zwierzęciu; w społeczeństwie zaś—przemysłowy, handlowy i rządzący.

Wykazane analogie stwierdzają najzupełniéj, że społeczeństwo jest organizmem takim, jakim jest zwierzę, i że w swém wytwarzaniu się, kształtowaniu i rozwoju podlega tym samym co i ono prawom—prawom biologicznym. W każdym razie analogie te stwierdzają to tylko, że społeczeństwo podobném jest pod względem budowy wewnętrznéj i spraw żywotnych do organizmu zwierzęcego wogóle: ale bynajmniéj nie do jakiegoś szczególnego zwierzęcia, lub do któregoś z rodzajów zwierzęcych, a tém mniéj do człowieka. Takie więc porównania, jakich przykłady znajdujemy u Platona w jego „Rzeczypospolitéj" i u Hobbes'a w jego „Leviathanie," nie mają żadnéj podstawy logicznéj i prowadzą do wniosków o tyleż szkodliwych w zastosowaniu, o ile dziecinnych pod względem pomysłu. Plato, porównywając społeczeństwo z duszą ludzką, upatruje podobieństwo między władzami umysłu, a społecznemi klasami idealnego swego państwa i dostrzega ścisłą odpowiedniość między rządem a rozumem; między stanem wojskowym, a wolą; między klasą pracującą, a uczuciami. Hobbes znowu, nazwawszy swego Leviathana (społeczeństwo) sztucznym człowiekiem, każe uważać rząd za sztucz-

ną duszę, nadającą jego ciału ruch i życie, władze sądownicze i urzędy wykonawcze są podług niego sztucznemi wiązadłami, łączącemi oddzielne części ciała w jednę całość; nagrody zaś i kary, za pomocą których rząd pobudza członków społeczeństwa do pełnienia obowiązków,—są sztucznemi nerwami itd. Niedorzeczność tego rodzaju wywodów i porównań jest aż nadto widoczna, by potrzeba było wskazywać ją i wykazywać.

Ponieważ społeczeństwo posiada wszystkie cechy organizmu zwierzęcego; ponieważ wszystkie objawy jego życia mają ten sam charakter co i objawy życia zwierzęcego: przeto tak cały ustrój jego, jak i sprawy żywotne muszą powstawać i dokonywać się samorzutnie, tak jak się wytwarza organizm żyjący, jak się odbywają wszelkie fizyologiczne czynności. Stosunki i urządzenia tak prywatne, jak i publiczne, tak społeczne jak polityczne i religijne, są naturalnym wynikiem indywidualnéj czynności ludzi, wchodzących w skład ciała zbiorowego, jakiém jest społeczeństwo. W ukształtowaniu się swojém, zarówno jak i w rozwoju zależą one od właściwości składowych czynników społeczeństwa, tak zewnętrznych jak i wewnętrznych, od wzajemnego ich na siebie oddziaływania i są ich wypadkową. Bodźcem poruszającym jednostki do działania są naturalne ich potrzeby fizyczne i moralne, czynne w nich mimo ich woli, a często nawet wbrew ich woli. Dokonywane pod ich naciskiem działanie musi ulegać warunkom, jakie znajduje gotowe w otoczeniu swém tudzież w organizacyi swego ciała i umysłu. Czynność zbiorowa, skierowana ku pewnym celom, pociąga za sobą ustalanie się odpowiednich stosunków, odpowiedniego zachowywania się względem siebie jednostek. Stosunki te, układając się na podstawie podziału pracy, przechodzą w zwyczaj, w obyczaj, a w końcu w urządzenie uświęcone powagą bądź religii, bądź władzy prawodawczéj. W ten sposób powoli, siłą samych czynników społecznego życia działających samorzutnie, przez wzajemne ich na siebie oddziaływanie, wytwarza się cały ustrój społeczny. Nie jest on tedy ani bezpośredniém dziełem Opatrzności, układającéj ludzkie jednostki w jednę całość podług zamierzonego planu, jak zegarmistrz kółka i sprężyny; ani aktem prawodawcy, naginającego wolę jednostki do swych widoków; ani téż dowolném postanowieniem członków społeczeństwa, zgadzających sią na pewien układ z całą świadomością następstw, jakie stąd mają dla nich wyniknąć. Ustrój społeczny nie robi się, ale wytwarza się samorzutnie na gruncie charakteru narodowego. Nadawane konstytucye, przeprowadzane reformy w jakimkolwiek zakresie życia społecznego o tyle tylko są trwałe i pożyteczne, o ile odpowiadają rzeczywistym potrzebom społeczeństwa, o ile zgadzają

się z umysłowém wykształceniem jego członków, z ich moralném uobyczajeniem. W razie przeciwnym, chociażby instytucye były najlepszemi w zasadzie, nie utrzymają się długo; nie mając ugruntowania w uczuciach jednostek, muszą ustąpić miejsca innym mniéj doskonałym, ale mającym nad niemi tę wyższość, że są przykrojone do stopnia rozwoju społecznego, że są naturalnym jego wynikiem.

Zapatrując się z tego stanowiska na zagadnienia życia społecznego, potępia Spencer zarówno stronnictwo rewolucyjne, które za pomocą przewrotów chciałoby zapewnić społeczeństwu doskonalsze instytucye, jak i stronnictwo konserwatywne, które drogą represyi usiłuje powstrzymać naturalny bieg rzeczy, zmierzający do postępu. Wobec dwu tych stronnictw, rozrywających społeczeństwo i skierowywujących jego usiłowania w przeciwnych sobie dążnościach, prawdziwą oddaje usługę społeczeństwu rząd reprezentacyjny, który pod względem teoretycznym jest czystą niedorzecznością, ale który w praktyce okazuje się czynnikiem, sprowadzającym do równowagi sprzeczne żywioły. W każdym razie pożytecznym on jest wtedy tylko, gdy nie przekracza właściwego zakresu swéj władzy, jakim jest wymiar sprawiedliwości. Rząd powinien zostawić całą swobodę działania jednostce, dozwolić jéj, ażeby na własną odpowiedzialność pracowała nad swém uszczęśliwieniem i nie mieszać się w jéj sprawy, chociażby te miały pociągnąć za sobą najfatalniejsze dla niéj następstwa. Interwencya rządu konieczna jest w takich tylko razach, gdy działanie jednostki staje się naruszeniem swobody innych.

Z tém wszystkiém rząd reprezentacyjny jest formą przejściową i zawdzięcza byt swój temu tylko stanowi społeczeństwa, w którym nie zupełnie jeszcze znikły przeciw-społeczne instynkty, odziedziczone po najdawniejszych przodkach, w którym poszanowanie praw bliźniego, głębokie poczucie słuszności nie może jeszcze zapanować nad egoistycznemi popędami natury ludzkiéj. Ostatecznym celem dążności ludzkich jest społeczeństwo, w którém rząd sprowadzony będzie do jak najmniejszych granic, wolność zaś podniesioną do najwyższéj potęgi; w którém natura ludzka, przez oddziaływanie na nią społeczeństwa, tak dalece wdroży się do zadań życia społecznego, że wszelki przymus zewnętrzny stanie się niepotrzebnym, że sama będzie czuwać nad sobą i panować; w którém obywatele nie będą doznawać żadnych ścieśnień oprócz tych, jakie są konieczne dla zapewnienia równéj-że swobody innym, w którém samorzutne współdziałanie jednostek, będące główną przyczyną tak szybkiego rozwoju naszego przemysłu, wytworzy siły potrzebne do wykonywania wszystkich spraw społecznych i zostawi rządowi jedno tylko zadanie— utrzymywanie warunków, zapewniających wolność działania, umoż-

liwiających zbiorową czynność w celach społecznych, w którém nareszcie życie indywidualne będzie miało jaknajszerszy zakres, na jaki tylko pozwalają wymagania życia społecznego; życie zaś społeczne nie będzie miało innego celu nad zapewnienie życiu indywidualnemu zupełnéj swobody rozwoju.“

Taki stan społeczeństwa nastąpi wówczas, gdy jednostka przejmie się do głębi „tą zbawienną prawdą, że każdy wtedy tylko może być doskonale wolnym, gdy wszyscy są wolni; wtedy tylko może być doskonale moralnym, gdy wszyscy są moralni; wtedy tylko doskonale szczęśliwym, gdy wszyscy są szczęśliwi.“

Do téj doskonałości indywidualnéj, która będąc głównym warunkiem i podstawą rozwoju społecznego, jak zarazem i jego bezpośrednim następstwem— prowadzi droga rozwoju naturalnego, powolna i długa, ale za to pewniejsza co do swych następstw od wszelkich przewrotów. Rozwój społeczeństwa dokonywa się mocą tych samych praw, jakie przewodniczą rozwojowi jednostki organicznéj. Społeczeństwo w miarę wzrastania, przez rozmnażanie się ludności i przyłączanie się bądź dobrowolne, bądź przymusowe sąsiednich plemion, staje się coraz bardziéj zjednoczoném w swych częściach, a zarazem coraz różnorodniejszém pod tym względem, że wytwarzają się w niém oddzielne klasy i oddzielne zajęcia. Klasy te i zajęcia. z razu nieokreślone w swych atrybucyach, przybierają z czasem coraz wyraźniejszy charakter, stają się bardziéj oznaczonemi pod względem wyróżniających je cech. Jednocześnie z takiém wyszczególnianiem się klas społeczeństwa na podstawie różnicy tradycyi, zajęć, przekonań, dążności i t. d.; z ustalającym się na szerszą skalę podziałem pracy, powiększa się także wzajemna zależność tak między wyróżniającemi sie częściami społeczeństwa. jak i między oddzielnemi jego sprawami, czynnościami. Równolegle za tą stroną rozwoju dokonywa się w tym samym czasie druga jego strona, będąca podstawą postępu moralnego i umysłowego. Ustala się mianowicie coraz większa odpowiedniość między stosunkami wewnętrznemi społeczeństwa, a stosunkami zewnętrznemi i wewnętrznemi otoczenia, czyli innemi słowy: społeczeństwo coraz lepiéj, dokładniéj przystosowuje się do fizycznych warunków kraju i do stanu oświaty społeczeństw sąsiednich. W następstwie tego podwójnego rozwoju składowa jednostka społeczeństwa, jaką jest człowiek, staje się coraz indywidualniejszą, swobodniejszą w swoim rozwoju, niezależniejszą w swém działaniu, lubo tém ściśléj związaną ze społeczeństwem, im te społeczeństwo większą pozostawia jéj wolność!

Cóż stanowi podstawę tego rozwoju? Jaki jest czynnik, który pobudza jednostkę do działania, który sprowadza w społeczeństwie zmiany, a nierzadko gwałtowne nawet przewroty?

Podstawą rozwoju społecznego jest natura ludzka, posiadająca wraz z innemi tworami organicznemi zdolność zmieniania się pod wpływem otaczających warunków. Pod względem fizycznym przystosowuje się człowiek do fizycznych warunków kraju i do stanu przemysłowéj jego działalności; pod względem zaś umysłowym—do stopnia oświaty i do wewnętrznych urządzeń społeczeństwa, w którém żyje. Jednostka w całym swym bycie, ze wszystkiemi przymiotami tak cielesnemi, jak i moralnemi jest tém, czem ją zrobiła praca długich pokoleń, przekazujących potomkom drogą dziedzictwa udoskonaloną organizacyą systemu nerwowego, drogą zaś języka, nabytki wiedzy i sztuki; jest tém, czem ją zrobiło społeczeństwo, które z całym „szeregiem urządzeń, z językiem, naukami, obyczajami, sztukami, handlem i przemysłem jest wypadkową olbrzymiego skupienia sił, działających razem podczas długiego ciągu stuleci.“

Czynnikiem zaś, kierującym postępowaniem zarówno pojedyńczego człowieka, jak i działalnością społeczeństwa, są uczucia. „Nie wiedza, powiada Spencer, ale uczucia kierują postępowaniem człowieka, uczucia, bądź towarzyszące wiedzy, bądź przez nią wywołane. Nic nie znaczy dla pijaka wiedzieéć, że po dzisiejszéj hulance nastąpi jutro ból głowy, jeżeli wyobraźnia nie przedstawi mu wyraźnie kary, jaka go czeka, jeżeli w świadomości jego nie wytworzy się dokładny obraz cierpień, których będzie musiał doznać, jeżeli coś nie rozbudzi w nim dość silnego uczucia, przeciwnego jego chęci upicia się.“ W inném znów miejscu powiada: „Nie idee rządzą światem i wywołują w nim przewroty. Świat rządzonym jest i zakłócanym przez uczucia, którym idee służą tylko za przewodników. Mechanizm społeczny nie tyle opiera się na mniemaniach, ile na charakterze. Przyczyną przewrotów politycznych nie jest anarchia umysłowa, ale antagonizm moralny. Wszystkie społeczne zjawiska są bezpośredniém następstwem uczuć i wierzeń ludzkich: uczucia po większéj części wyprzedzają wierzenia, które dopiero po nich następują. Namiętności ludzkie są przedewszystkiém dziedziczne, gdy tymczasem przekonania są w ogóle nabyte i zależą od okoliczności, wśród których powstają. Otóż najważniejsze z tych okoliczności zależą od stanu społeczeństwa, który ze swéj strony zależy od panujących namiętności. Stan społeczeństwa w jakiejkolwiek bądź epoce, jest wypadkową ambicyi, interesów, obaw, niechęci, sympatyj wszystkich obywateli tak żyjących, jak i tych, którzy przed nimi żyli. Idee mające obieg w tym stanie społeczeństwa muszą w przecięciu zgadzać się z uczuciami obywateli i co za tém idzie, zgadzać się ze stanem społeczeństwa, którego podstawą są właśnie owe uczucia. Idee całkiem obce stanowi społeczeństwa nie mogą

się rozwinąć, a jeżeli zostały wniesione z zewnątrz, nie zdołają się przyjąć, gdy zaś przyjmą się nawet, to znikną wraz z uczuciami, które im drogę utorowały. Jakkolwiek więc idee postępowe, raz wprowadzone, wpływają na społeczeństwo i przyczyniają się do dalszego rozwoju, z tém wszystkiém ustalenie tych idei zależy od uzdolnienia społeczeństwa do ich przyjęcia. W praktyce charakter narodowy i stan społeczeństwa oznaczają, jakie idee mogą w niém powstać lub się przyjąć, ale nigdy idee, mające obieg w społeczeństwie, nie mogą wytworzyć charakteru narodowego lub spowodować zmiany w stanie społeczeństwa. Zmiana moralnéj natury ludzi, spowodowana powolném lub ciągłém działaniem dyscypliny życia społecznego, jest główną przyczyną postępu społeczeństwa.“

Ponieważ człowiek kieruje się w życiu nie rozumem, nie wiedzą, ale uczuciem, łatwo więc pojąć, dlaczego religia zawsze była i będzie jedną z najpotężniejszych dźwigni postępowania ludzkiego. „Gdyby można było, powiada Spencer, zastąpić od razu system przepisów, ustanowionych tradycyą i uświęconych powagą, uznawaną za nadnaturalną, innym systemem, opracowanym w sposób czysto rozumowy—system ten daleko mniéj okazałby się skutecznym... Pojęcia przyczyny i początku uległy licznym przeobrażeniom i zmieniają się ciągle; mimo to żadna zmiana, żadne, chociażby najskrajniejsze ich przeobrażenie, nie zdoła wyrugować ich z serca ludzkiego; dlatego też i odpowiednie im uczucie (religijne) trwać będzie zawsze.“

Nie jest moim zamiarem wchodzić w ocenianie wyłożonych powyżéj zasadniczych pojęć Spencera o społeczeństwie; nadmieniam więc tylko, że chociaż znalazły one licznych zwolenników między Niemcami nawet i Francuzami, zwolenników którzy w wyszukiwaniu analogii między organizmem zwierzęcym, a społeczeństwem daléj jeszcze poszli od samego Spencera, przecież, jak dotąd, nie mają jeszcze powszechnego uznania i wywołują dość ostre przeciwko sobie krytyki. Między przeciwnikami Spencera znajduje się sławny zoolog H. Huxley, który stanowczo zaprzecza, by można było porównywać społeczeństwo do organizmu zwierzęcego, i by można było—przyjąwszy w zasadzie takie porównanie—wyprowadzić podobne, co Spencer wnioski, wiodące po prostu do „administracyjnego nihilizmu.“ Utrzymuje Huxley, że jeżeli już trzeba społeczeństwo przyrównywać do czegoś, to właściwiéj byłoby przyrównać je do procesu syntezy chemicznéj, w któréj niezależne atomy układają się w oddzielne skupienia i chociaż w nich zawsze pozostają sobą, wchodzą przecież w ścisłą od niego zależność.

Są znowu inni, którzy przyjmują główniejsze założenia Spencera, odrzucając tylko drugorzędne wywody i wprowadzając pewne poprawki, które jak im się zdaje, łagodzą do pewnego stopnia czysto naturalistyczny charakter jego doktryny. Takim jest właśnie Alfred Fouillée, autor świeżo wydanéj książki pod tytułem: „La science sociale contemporaine.“ Pan Fouillée przyznaje że ustrój społeczny wytwarza się samorzutnie i wzrasta, jak zwierzę i roślina—ale utrzymuje, że ten proces nieświadomego wzrastania powoli przechodzi w dzieło czynności świadoméj, staje się układem społecznym, umową społeczną, która jest wynikiem powszechnéj zgody obywateli. Do pewnego stopnia i Spencer na to zgadza się, różni się tylko od p. Fouillée tém, że chce, ażeby ta umowa dokonywała się drogą zgody i porozumienia się między osobami interesowanemi, między samemi jednostkami, gdy tymczasem p. Fouillée żąda, ażeby ta umowa społeczna była dziełem władzy prawodawczéj, żąda, ażeby obok umowy i układów szczegółowych, była jeszcze umowa społeczna i układ, uświęcony powagą rządu, obejmujący w sobie tamte i ochraniający je od naruszeń.

Władysław Kozłowski.

SZKICE Z ANGLII.

CZĘŚĆ DRUGA.

Cóż ja mam pisać? na Boga!—gdziekolwiek wzrok obrócę, wszędzie egoizm, interes, uszanowanie dla bogactwa, podziw przed siłą, zgięty kark przed zwycięzcą!...

Ha, jeżeli to są drogi ludzkości, jeżeli to są jéj prawa, cóż mi pozostaje, jak wołać do mego narodu: Pracujmy dla zdobycia bogactwa świata całego, dopóki nam młot nie wypadnie z omdlałych rąk, dopóki ostatnie krople potu nie zastygną na czołach, wyrabiajmy siłę tytanów, aby pod jéj naprężeniem pękły nasze kajdany. Jakżeż straszną jest niewola, świat jakiż jest piękny, wolność jakiémże szczęściem, gdy nawet praca z marzeniem o zwycięztwie, staje się rozkoszą. Pracujmy, abyśmy kiedyś mogli się nareszcie wyprostować i spojrzéć dumnie, a karki sąsiadów pochylą się do ziemi,—jeżeli rządzącą potęgą, jeżeli Bogiem ludzkości, jest siła.

Tak—odpowiada mi jakiś duch zaklęty, filozof niemiecki, protestant, czy refleks mojéj myśli,—tak, siła ale siła rozumu!

Jeżeli tylko o rozum idzie, czerpmy go ze wszystkich jego składów, zbierajmy ze wszystkich czaszek ludzkich, z praw układu światów, z rządzących sił, z myśli własnych. Gromadźmy go ze wszystkich stron świata, budujmy nim fortece systematów i walczmy do skonania, albo zwycięztwa. Wolność taka rozkoszą, a niewola męczeństwem i hańbą.

Tak—odpowiada mi cicho sympatyczny, tajemniczy głos,—lecz do wywołania w narodzie siły rozumu, potrzeba wyrobionych sił—ofiary i miłości. Rozum jest rezultatem, praca drogą, a miłość i ofiara czynnikiem, spójnią, organizacyą. Praca rozpada się na cząstki, rozum zastyga w jednostkach. a naród...

„Spojrzyj przez mgłę morza i Czeskie góry na stalowane równiny kraju rodzinnego. Widzisz te jasne punkta światła, na ciemném

tle, a w ich ogniskach ruch, życie, pracę, pokrzepione nadzieją. Poszukaj pilnie, a wśród każdéj z tych gromadek znajdziesz pewno choć jedno gorące serce, bijące miłością, choć jednę duszę gotową do ofiar. Patrzaj jak serdeczne ciepło jednostki budzi, ożywia, staje się promieniem słońca, dla myśli i życia. Te to promienie kruszą kajdany dźwigającego się narodu, prostują pochylone karki, dają mu rozum i siłę.

W podróżach swych radzę ci, synu, staraj się zawsze odkopać tę tajemniczą siłę, a ona ci rozjaśni zagadkę, jak nagromadzony egoizm, praca, interes, ambicya, sprzeczność sądów i pragnień ludzkich, łączą się razem, zlewają w całość pod działaniem tego ożywczego promienia, pracy dla społeczeństwa. Szukaj, a na dnie zabiegów ludzkich, wysileń, organizacyi, potęgi, pracy—znajdziesz być może ukryte, ale zawsze potężne źródło, motor, ducha, natchnienie: miłość i ofiarę."

Oglądam się wkoło, patrzę w otwarte okno i zdaje mi się, że widzę ducha mojego kraju, po promieniach wracającego na wschód.

Ojczyzno, ty jesteś jak zdrowie! Myśl o tobie uszlachetnia, i rozjaśnia ciemne drogi w pochodzie życia i pracy.

I.

Jedenasty maja, wtorek.—Przeglądam na dzień dzisiejszy notatki. Co za przedziwna rozmaitość, która tylko w Londynie może mieć miejsce!

Godzina trzecia. Meeting w Regents—parku, którego celem ma być objawienie ludowi, jak wiele naród angielski kosztują dzieci królowéj, oraz przytoczenie uwagi, że królowa posiada ich za dużo. Rezolucya zaś, podana do parlamentu, ma żądać zniesienia pensyi, płaconéj ze skarbu państwa dzieciom królowéj, albo wypłaty podobnéj, wszystkim dzieciom obywateli angielskich.

Godzina czwarta. Połączone kluby Jockéy, wraz z Roadklubem inaczéj zwany jednoręcznym, pod przewodnictwem Duka of Beaufort, prezesa swego, będzie obradował nad uchwałą wzywającą naród angielski, do zapłacenia długów księcia Walii, z téj racyi, że następcy tronu długów mieć nie mogą, dlatego, że je mają Dżokiéj—klubiści i jednoręczni; zatém między następcą tronu, a klubistami nie byłoby żadnéj różnicy, gdyż następca tronu tak samo jeździ i robi układy, jak członkowie Dżokiej—klubu i tak samo powozi czwórką, jak jednoręczni. A jednak różnica być musi.

Godzina piąta Bradlaugh obowiązuje się w swéj sali stanowczo o statecznie okazać i udowodnić, że najniemoralniejszą, jaka istnie-

je dotychczas książką, jest Biblia na co mu jednocześnie na miejscu odpowiadać mają dżentelmeni ze stowarzyszenia rozpowszechniania Biblii, któréj dwakroć sto tysięcy egzemplarzy rocznie rozwożą i rozdają.

Godzina szósta. Miss Bromton w Wellingtonhalli przekona swoje rówienniczki o ich wyższości nad drugą połową rodu ludzkiego, zwaną powszechnie i sprawiedliwie brzydką. Oraz połowie téj, o ile się miss nie myli, noszącéj nazwę mężczyzn, ma rzucić w twarz rękawiczkę z wyzwaniem, dowodzącém ich nędzy moralnéj i umysłowéj.

Godzina szósta. W Mideltonhall (naprzeciw Wellingtonhall) mister Bullock będzie miał racyonalną prelekcyą o niedostateczności i wadliwie sformowanym mózgu u kobiét, z czego się wywiązują i powstają nieznośne wady ich charakteru, co stwierdzi licznemi przykładami. Na zakończenie szanowny dżentelmen przedstawi podług własnéj metody obliczenia, ile czasu potrzeba do uczłowieczenia się kobiéty. Mr. Bullock naznacza cyfrę pięciu tysięcy lat. Dowodzenia jego jasne i treściwe, wykład obok głębokiéj erudycyi—pełen humoru.

Godzina siódma. Przyjęcie u miss Lili. Narada nad założeniem i uorganizowaniem wzorowéj szkoły. Młode dziewczynki będą radziły nad wykształceniem młodszych; posiedzenie komitetu.

Uśmiecham się; na samę myśl przyjemniéj mi i serdeczniéj. W takiém towarzystwie można odpocząć, zdobyć wiarę, nabrać sił. Chodźmy.

Rozmarzony, ze spuszczoną na dół głową, idę przez Pemtonville-road, mijam stacyę Kings-Croos, podnoszę głowę... blado-niebieska sukienka, kołnierzyk á la Milton, a buzia przypomina „raj utracony.“

— Beautiful (piękna!)—szepnąłem. „Raj utracony“ przyśpiesza kroku; ciekawość po chwili zwycięża—ogląda się bojaźliwie...

— Beautiful!—powtarzam po cichu. „Raj utracony“ rumieni się odwraca główkę, ucieka i znika mi z oczu. Zwracam się na lewo, wchodzę na szeroką ulicę, lekko stukam pod drugim numerem. Otwierają się drzwi; pani Snape przedemną.

— Nie zapomniałeś sir o prośbie mojego dziecka.

— Czym się tylko nie spóźnił?

— O, bynajmniéj, dzieci zaledwo przyszły, rozprawiają jak zwykle w pokoju Lili.

Pani Snape wchodzi do salonu, ja za nią.

— Nie przeszkadzajmy im—mówi cicho—moja Lili przepada, za tego rodzaju rozrywkami. Niechże sobie wypowiedzą wszystko co mają do powiedzenia.

Chciałem odejść.

Zostań sir, niezadługo skończą, a ja tymczasem przyrządzę ciastka do herbaty.

Pani Snape żegnając mię ręką, cofa się na palcach. Usiadłem, aby nie podsłuchiwać, lecz nie tak daleko, aby nic nie słyszéć.

— Emma nie przyjdzie, uprzedziła mię listem, cierpi na głowę.

Jestem pod wrażeniem, jak gdybym słyszał głos Lili.

— Biedna, ona za dużo pracuje. Jak to musi być ciężko z tak wielką ilością wykończonych szczegółów obraz kopiować.

— Wszystkie prawie obrazy flamandzkie mają tęż samę trudność do kopiowania, a cóż dopiéro Teniersa.

— Odwiedzę ją jutro.

— Wyobraźcie sobie, ledwo com wyszła ze stacyi Kings—Cross—mówi pieszczony głosik—spotykam dżentelmena; zobaczywszy mię, przystanął, a nie spuszczając ze mnie oczu, w chwili, gdym go mijała, szepnął cicho, ale tak głośno, abym usłyszéć mogła...

Serce moje zaczyna kołatać.

— I cóż ci powiedział?—zapytały towarzyszki.

— Powiedział tylko jeden wyraz.

— Jaki?

— Beautiful!

— To nic nowego, wiemy o tém wszystkie.

— Jednak jest to zawsze zuchwalstwo—dodała jedna z miss.

Czuję rumieniec na twarzy.

— Dlategoteż odwróciłam się, aby zuchwalca zmierzyć od stóp do głowy, jak to my umiemy, i pokazać mu swoje oburzenie.

— Pewnie padł na ziemię ze strachu i wstydu.

— Ale gdzieżtam! Usta jego raz jeszcze mymówiły „beautiful.“ Zarumieniona, odwróciłam głowę i uciekłam.

— Brawo! nasza Lidya bohaterką!

— Bohaterką romansu, w którym nieśmiałość podbija.

— A ja spojrzałabym na niego z pogardą, i gdyby mimo to usta jego jeszcze raz poruszyły się, powiedziałabym mu, że jest impertynent.

— Ależ to przecie shocking, przemawiać pierwszéj na ulicy do dżentelmena.

— Nie widzę w tém żadnego shocking, bronić się od napaści.

— Czyż to napaść, gdy kto mimowolnie szepnie nam, że jesteśmy piękne? Czyż Lidya nie jest piękną?

Zadrżałem... znajomy głos, pełny, świeży, harmonijny.

— Jeżeli my im nie mówimy, że są piękni, mamy toż samo prawo wymagać, aby i oni nam nie objawiali swych opinij.

Mówić mężczyźnie, że jest piękny, to znaczy, albo z niego żartować, lub mu ubliżać.

— A czyż oni nam nie ubliżają gdy mówią do nas o tém?

— Przedewszystkiém mówią prawdę. Zresztą i my umiemy objawiać, jeżeli chcemy, nasze opinie, i może jesteśmy z naszą bronią niebezpieczniejsze od tych, którzy zobaczywszy Lidyą, wołają: piękna!

— Lidya jest piękną dla siebie i nie prosi przechodniów, aby jéj to przypominali.

— Lidyo, bardzo byłaś obrażoną na dżentlemena w chwili, gdy tak naturalnie uwielbiał twoję piękność?

— Moje drogie, gotowam uwierzyć, że naprawdę jestem zachwycającą.

— Filutko, czy ty o tém nie wiesz? Co do mnie, gdyby kto uznał mię za piękną, byłabym mu wdzięczną, i anibym uciekała, anibym go mierzyła od stóp do głowy.

— Wdzięczną! .. a to wybornie! ona byłaby wdzięczną za napaść!

— Owszem, pozwoliłabym nawet zbliżyć się dżentelmenowi i rozpocząć ze mną rozmowę.

— A to na co?

— Możebym mu się potrafiła podobać i pozyskać jego sympatyą...

— Jeszcze czego?

— I zostać jego żoną.

— A to okropne!... Prosić, aby się z nami żeniono!

— Chociażby; truchleję na samę myśl zostania starą panną. Dla mnie być żoną i matką—największe szczęście na ziemi.

— Ależ moja Ado—odzywa się znajomy, sympatyczny głos—eżeli ty, mając posagu dziesięć tysięcy funtów i młodość, boisz się, to cóż dopiéro my biedne?

— Oprócz Lili, która ma trzy razy tyle co Ada, a jednak Lili zostawiła swoje serce na kontynencie, i spokojna, nie pyta się ani o właściciela ani o własność.

— Iść zamąż za człowieka, którego się mało zna, a nic a nic nie kocha, niepodobna—odezwał się głos Lili.

— A jeśli się go mało zna, a mocno kocha?

— Proszę nie dokuczać Lili—zawołał sympatyczny głos.

— Iść zamąż, to obowiązek, powinność, konieczność, zresztą to tylko początek, od téj dopiéro chwili przyszłość cała w naszych rękach.

— Niekoniecznie; w każdym wypadku mąż i jego charakter decydują.

— Niekoniecznie; w każdym wypadku kobiéta i jéj usposobienie decydują. Czyż jest charakter dość szorstki, któregoby łagodnością nie można pokonać i prowadzić?

— Romantyczna Ado, nie znasz jeszcze ludzi i w téj nieznajomości, cała powiewność twych marzeń. Jeżeli nie chcesz ich stracić, dobrze szukaj, statecznie wybieraj.

— Czyż nie upatrujesz pewnéj przyjemności w walce i zwycięstwie? Wyobraź sobie, że mamy za towarzysza człowieka pewnych namiętności, gwałtownych porywów, żywego, unoszącego się; a dopiéro pod ciepłem naszego serca, namiętności jego biorą odmienny kierunek, gwałtowność jego zamienia się w szlachetny zapał.

— Nie przeczę; podobne pragnienia mogą być nawet upajające; lecz wyobraźcie sobie człowieka z charakterem obojętnym na wszelką piękność, nierozumiejącego żadnego uczucia, którego obyczajem ordynaryjność, trywializm dowcipem, a surowe instynkta kierunkiem życia.

— Czyżby za podobnego która z nas poszła?

— Nic łatwiejszego, jak się omylić, a wtedy roztaczaj przed nim wszystkie bogactwa piękności twego serca, on na nie będzie patrzał oczyma zdziwienia lub z obojętnością zwierzęcia. Wysilaj się do umęczenia i utraty sił, składając mu wszędzie i zawsze dowody twego poświęcenia, a on będzie cię za to odpychał, uciekał do ciebie, lub traktował jak niewolnicę, aby ci pokazać swoję wyższość.

— Ach, droga, nie maluj tak okropnie naszéj przyszłości, nie rozbijaj nam naszych marzeń.

— Zkąd—pomyślałem—te młode istoty mogą znać do tyla prawdziwie podstawę charakteru większéj części nas mężczyzn?... Swoboda, wolność nie zamykają przed niemi świata, nie ukazują Angielkom, jak u nas młodym dzieweczkom, ludzi przesuwających się tylko w bawialnym pokoju, którzy w wyuczonych frazesach sentymentalizują te nieokreślone charaktery tak, że w końcu wszyscy mężczyźni stają się dla nich podobni do siebie, a różnice ich wartości stanowią: kolor włosów, krawat, pozycya i ilość guldenów lub rubli w kieszeni.

— Mówię wam prawdę; nie upajajcie się marzeniami przerabiania waszych mężów, jeżeli nie chcecie zatruć sobie życia.

— Ależ droga, wiesz dobrze, że o pójściu za mąż bez sympatyi, żadna z nas nie myśli.

— Można mieć sympatyą do przystojnéj twarzy, a po dłuższém pożyciu, gardzić charakterem.

— Czyż nie wierzysz w przeczucia? Rodząca się sympatya w naszém sercu do młodego człowieka, jestem pewna, wypływa ze wzajemnéj zgodności charakterów.

— Przeciwnie, sympatyzują z sobą wprost odrębne usposobienia, a tych, których lubimy, odziewamy zwykle w takie przymioty, które radebyśmy w nich widzieć.

— Więc cóż mamy biedne robić?

— Obserwować, rozbierać, z obserwacyi robić wnioski, sądzić...

— Klara radaby uczucie traktować metodą empiryczną.

— W każdym razie rozbierać charakter człowieka sposobem indukcyjnym, a nie jak dotąd wy wszystkie zapalone idealistki, naprzód wyrabiacie sobie z góry pojęcie o pierwszym lepszym, którego spotkacie, formułujecie je, i zaślepione uczuciem, wszystkie dalsze spostrzeżenia zbieracie tylko na poświadczenie waszych uprzedzeń...

— Słuchajcie, słuchajcie! Klara przedstawia nam nowy system miłości.

— Może nie miłości, ale pewnie przywiązania, opartego na szacunku i poznaniu, które tylko systemem indukcyjnym naszego nieśmiertelnego Bacona można osięgnąć. Będę mieć odczyt w téj materyi na przyszłym meetingu w Birmingham.

— Pod jakim tytułem?

— „Konieczność indukcyi w rozwoju uczucia.“

Wy myślicie, że tylko wychowanie można traktować naukowo i z pewnym systemem, a całą waszą przyszłość zostawić na los wypadku, uśmiechu, lub téż jednego słówka: beautiful?

— Mamy nadzieję, że nam traktat swój poprzednio odczytasz i pozwolisz nad nim dyskutować?

— Nawet bardzo was proszę; za dwa tygodnie będzie skończony.

— Jakże żałuję! za dwa tygodnie muszę opuścić Londyn.

— Dora już za dwa tygodnie opuszcza Londyn, a nic nam nie wspomniała.

— Zaledwo przed dwoma dniami dowiedziałam się o tém.

— Poznaję sympatyczny głos, który z taką dobrocią bronił mię, nie znając winowajcy.

— Gdzież jedziesz? na długo? daleko?

— Okrętem na połowę drogi do Brazylii, towarzyszyć bratu przy zakładaniu liny telegrafu.

— I nie będziesz się bała? zapytała Lidya.

— Nie zastanawiałam się nad tém.

— Dlaczegóżby się miała bać, jeżeli się mężczyźni nie boją? wtrąciła Klara.

— Dlaczegóżby się miała bać, jeżeli jedzie z tym, nad którym ma czuwać—dodała Ada.

— Nie pojmuję, jak się można bać, gdy się spełnia obowiązek i jedzie z bratem, którego się kocha—rzekła cicho Lili.

— A gdy wyjdziesz za misyonarza—zapytała Ada—który będzie miał misyą do Japonii?

— Wątpię, czybym się zdecydowała—odpowiedziała spokojnie Lidya.

— A gdy pokochasz misyonarza?...

— Wątpię, czyby się to stać mogło.

— Już to żadna z nas, takie mam przekonanie, nie pokocha księdza, ani pójdzie za misyonarza—zadecydowała Lili.

— Oprócz Ady, która z bojaźni zostania starą panną, gotowa zrobić nawet tę ofiarę z siebie.

— Za księdza nie poszłabym—odpowiada Ada—z saméj opozycyi, jaką zajmujemy w stosunku do wychowania względem kleru, lecz za misyonarza, to zupełnie co innego. Misyonarz w biblii przynosi światło cywilizacyi dzikim, nie ma on nikogo na całym obszarze misyi, prócz swéj żony; kocha ją więc szczerze; ona jest dla niego całém szczęściem i nagrodą.

— Czuję, że możesz być zazdrosną.

— To pewna, że chciałabym mieć męża dla siebie, a misyonarz...

— Ada tak się zapala, jak gdyby już pokochała misyonarza—przerwała Lili.

— Jeszcze nie, ale czuję, że mogłabym go pokochać.

— Może i ja, gdybym była pewna, że nie jest hipokrytą.

— Dlaczegóż ma być zaraz hipokrytą?

— Gdyż tu w Anglii jest jeszcze tyle do zrobienia, tyle do ucywilizowania, że tych, którzy wyjeżdżają dla pracy, w tym kierunku na dzikie wyspy, słusznie posądzić można o hipokryzyą, lub apatyą względem własnego narodu.

— To tak samo, jak u nas w Irlandyi, gdzie wielkie sumy wyłudzają i wywożą dla bogatego papieża, pod pretekstem zbawienia dusz, zostawiając swych współziomków i ich dzieci w grubéj ciemnocie i demoralizacyi, z braku pieniędzy na elementarne nauczanie.

— Ada, jestem pewna, nie pójdzie za misyonarza—mówiła Lili.

— Lecz gdy się znajdzie człowiek, który w swéj ojczyznie doznał tylko boleści, rozczarowań, zawodów, i chcąc się odsunąć od ludzi i stosunków, bierze biblią w rękę i idzie na pustynię roznosić światło?...

— Ach!—zawołała Klara—jak to poetycznie ocierać łzy nieszczęśliwemu i podać mu ślicznie utoczone ramię, aby się na niém opierał w przechadzkach po dzikim kraju! Jakby to wszystko było wspaniałe, gdyby nie było zaciemnione sentymentalizmem.

— Czyż i we współczuciu upatrujesz sentymentalizm?

— Albo jesteśmy Angielkami, albo kosmopolitkami. W pierwszym wypadku nie ma nas dla dzikich, lub dla znudzonych bajronistów, jesteśmy całe dla Anglii, oddajemy jéj naszę pracę i mamy cel zostania tu. W drugim razie, znudzone nieużytecznością własnéj egzystencyi, włóczymy się po świecie, rozwożąc nie nakarmioną niczém nudę i nieugaszone fantazye.

— Brawo Klaro! zostajemy wszystkie w Anglii!

— Zapominacie o biednéj Lili.

— Proszę was, zapomnijcie o mnie zupełnie—rzekła smutnie i cicho Lili.

— Niewdzięczna! czyż ci niemiła nasza troskliwość?

— Bądźcie spokojne; Lili zanadto ma dużo siły, woli i zręczności, aby z ich pomocą nie była w stanie sprowadzić do Anglii jednego cudzoziemca,—mówiła dobra Dora. Patrzcie, nasza szanowna prezydująca uśmiecha się, radzę więc pod tą wróżbą dobroci prezesowéj rozpocząć posiedzenie.

— Zacznijmy!—zawołały różne głosiki zgromadzonych misses.

Słychać srebrny dźwięk dzwonka, szelest sukienek; poczém—cisza głęboka.

— Otwieram posiedzenie—mówi poważnie Lili, i wzywam kasyerkę do przedstawienia stanu kasy, jako sprawy najważniejszéj.

— W ostatnim dniu przeszłego miesiąca—dał się słyszéć pieszczony głos Lidyi, kasa stowarzyszenia posiadała 612 funtów, 8 szylingów. Dochód w ostatnich dwóch tygodniach następujący: Z rozprzedanéj broszurki Klary 3 ft. 2 szylingi, ze sprzedaży wspólnie dodokonanych robót ręcznych 2 ft. 15 szylingów.

— To bardzo mało—zauważyła surowo prezydująca.

— Moja Lili... ach, przepraszam szanowną prezydującą... nie robiłam rachunków od przeszłego tygodnia w sklepach na Piccadilly, lecz je z pewnością w tych dniach wykończę.

— Proszę się nie zaniedbywać!

— Jestem pewna, Lili, że żartujesz—odezwała się pojednawczo Dora—patrz, w oczach tego dziecka łzy.

— Przykro mi, bardzo przykro, że nie mogłam zadość uczynić obowiązkom, lecz żadną miarą nie mogłam tego uskutecznić.

— Ależ Lidyo, czyż pieniądze zginą w sklepach?—zawołała Lili. Przykro mi że się tłómaczysz.

— Moja droga—odpowiedziała Lidya—zawsze to zaniedbanie obowiązków... Czytam dalej: Od Lili 10 szylingów.

— Dostałam je od ojca za sprawdzenie jego osobistych rachunków. *Business businessem*, ojciec musi wynagradzać pracę, płacąc mi tyle, ileby go kosztował buhalter. Co sobotę zarabiam 10 szylingów.

— Bardzo naturalnie.

— Dora jak zawsze tajemniczego funta i 5 szylingów czytała dalej kasyerka.

— Czy powiesz nam Doro, tajemnicę owego tajemniczego funta—spytała prezydująca.

— Później... Ofiarujący prosił, aby mógł pozostać nieznanym do dnia otwarcia szkoły.

— Tajemniczy dawca!...

— Agnes 2 funty nadzwyczajne i zwykłe 5 szylingów—czyta Lidya dalej.

— Posłuchajcie—mówi Agnes—mam sentymentalnego wujaszka; troszkę już łysy, blady na twarzy i wzdycha, przytém okazuje nieprzezwyciężoną słabość do mojego czoła. Pozwalam mu pocałować je, ale za poprzedniem złożeniem funta do naszej kasy. Zdecydował się na dwa pocałunki i oto dwa funty.

— Gdybyśmy wszystkie miały podobnych wujaszków—woła Ada—szkoła jużby była otwartą.

— Ja tego rodzaju zdobywania kapitału nie chwalę; ubliża ono godności kobiety, dowodząc, że ona dotąd nie ma innéj wartości nad piękność, a przymiotów nad pociąg.

— Klara na wszystko zapatruje się ze stanowiska filozofii i emancypacyi, odpowiada Agnes—a tymczasem faktem jest, iż kasa nasza ma więcéj o dwa funty, a my bliżéj celu.

— Czek na pięć funtów—czyta Lidya—od nieznajomego dawcy z City, przysłany na moje ręce.

— Zaczynają się mnożyć nieznajomi dawcy—zauważyła jedna z misses.

— Szczęśliwy tydzień— rzekła prezydująca. Oprócz zwykłéj naszéj wkładki 45 szylingów, wiele mamy nadwyżki?

— Czternaście funtów i 7 szylingów.

— Taką-to potęgą wytrwałość!—zawołała Dora. Czyśmy mogły nawet marzyć o tak pomyślnych skutkach, otwierając pierwszą naszą sesyą?

— A jak grymasiłyśmy z początku, tracąc nadzieję! — zauważyła Lili.

— To ja głównie, ja niepoprawna—rzekła Ada.

— Mrówcza praca — odzywa się Klara — ciągłość jéj, bez najmniejszéj przerwy zdoła zapewnić pomyślne skutki.

— Czy pamiętacie—mówi prezydująca—że jutro zbieramy się u Ady, dla dokończenia naszego haftu na czerwonéj materyi? Na kupno złotych nici kasyerka wypłaci potrzebną sumę Adzie.

— Kupimy z Lidyą razem na Tottenhamcurt-Road, wracając do domu.

— Ladies — rzekła uroczyście Lili — otwieram dyskusyą nad najważniejszym przedmiotem, jaki nas wszystkie bezpośrednio obchodzi, to jest nad kwestyą wybrania z pośród siebie reprezentantek naszego kółka na zjazd pedagogiczny do Bristolu, oraz wspólne ułożenie wniosków i obrobienie mów, jakie w ich obronie mieć będziemy.

Ada: Nad kwestyą wyboru dyskusya i głosowanie niepotrzebne, gdyż żadna z nas nie może jechać, tylko Klara, Dora i Lili a ja będę wam towarzyszyć dla mojéj przyjemności.

— A może i dla poznania kogoś w drodze?

— Nie zapieram się.

— Tylko nie szukaj ani *ministra* (księdza), ani misyonarza.

— W obecnéj chwili, uprzedzam, niewolno robić żadnych wycieczek od głównego przedmiotu, z powodu jego ważności.

— Przepraszamy, błagamy o przebaczenie!—odezwały się chórem głosiki.

— Nie wiem, czy mi ojciec pozwoli brać udział w pedagogicznym zjeździe, którego charakter nie jest czysto religijny—mówiła daléj przewodnicząca.

— Bądź spokojna—odpowiada na to Klara — znamy pana Snape; nie założę się, czy nie będzie miał kazania przeciwko straszliwym bezwyznaniowcom, a jednak jestem pewna, że sam osobiście pojedzie wysłuchać mowy swéj córki, z dumą szczęśliwego ojca wobec zgromadzonych widzów, co mu wcale nie przeszkodzi zostać męczennikiem w pośród swych prezbiteryanów.

— W zbyt jaskrawych kolorach przedstawiasz mego kochanego ojca.

— To tylko dowód, że pan Snape kocha cię szczerze i że przeszkoda twego wyjazdu usunięta.

— Koszta podróży opłaca kasa komitetu — ciągnęła daléj prezydująca — oprócz mnie, bo mam nadzieję, że mi mama pomoże, a pewno ojciec nie odmówi.

— I oprócz mnie — mówi Dora. Pojadę z własnych swoich oszczędności.

— Sprzedałam, jak wiecie, ostatni rękopism, a czwarta część z odebranych pieniędzy wystarczy mi na podróż—dodała Klara.

— Wszystko się więc wybornie układa. Z kolei rzeczy należy nam rozebrać między siebie przedmioty i nad temi debatować. Dora ma głos. O czem chcesz mówić, nasza majestatyczna królowo?

Dora: Szanowna prezesowa jest dziś zbyt uprzedzającą. Co do mnie, chciałabym mówić o studyach nad edukacyą jako nauką. Czyż to nie zgroza, że dotąd w wielkiéj Anglii nie mamy katedry pedagogiki, gdy te odawna już istnieją na wielu uniwersytetach niemieckich i szwajcarskich?! W Anglii, same przyznacie, nauka elementarna pozostaje w rękach ludzi, którzy nie mają pojęcia, jak uczyć, trzymając się staréj rutyny, opartéj na przesądach i przyzwyczajeniach różnych warstw społeczeństwa. Już czas nareszcie, aby podobne zamięszanie pojęć było zmienione w naukową metodę, z jaką rozpoczniemy nauczać w naszéj szkole.

— Wszystko to wypowiedziane przez najpiękniejsze usta, ze spokojem i godnością, przekona i rozbroi najzapamiętalszych przeciwników — rzekła Lili.

— Widzę naszą Dorę wstępującą na katedrę! — woła Ada.

— Dżentelmeni usta otwierają z podziwu, starzy nauczyciele gryzą wargi ze złości, a my i nasze przyjaciółki wołamy: *Hear! hear!* (słuchajcie!).

— Nie przestraszajcie mię — rzecze Dora — gdyż już mi serce bić zaczyna na samę myśl publicznego wystąpienia.

— Moje serce — rzekła Klara — zawsze jednakowo spokojne; mało sobie robię z widzów, a mniéj z ich opinii i dlatego podniosę najdrażliwszą kwestyą, stawiając wniosek, aby niezamożnym rodzicom, potrzebującym do utrzymania i wyżywienia rodziny, pomocy i pracy rąk swych dzieci, gmina pomagała, płacąc rodzicom za tę pracę, w czasie nauki ich dzieci.

— Hear! hear! — odezwały się głosiki.

— Ostatni bill parlamentu o nauczaniu elementarném—ciągnęła daléj Klara — zawiera racyonalny, ale nie zupełnie wykończony paragraf o przymusowém posyłaniu dzieci do szkoły między 5 a 13 latami ich wieku.

— Nic łatwiejszego—rzekła Lili—jak pisać paragrafy i ustanawiać prawa; daleko trudniéj pomyślić o racyonalném i sprawiedliwém ich zastosowaniu.

— Nasi prawodawcy zwykle o tém drugiem zapominają — mówiła Klara—zostawiając wszystko radom i gminom, tak, że w samym Londynie jeszcze dziewięć tysięcy dzieci żyją jak dzicy, bez żadnéj nauki. Jeżeli nauka dziecka rocznie kosztuje 11 funtów, to w samym Londynie obdzierają cywilizacyą co roku na 190.000 funtów. Zgroza!

— Na téj podstawie będę popierać wniosek Klary — dodała Lili — stawiając zarazem nowy, aby państwo zupełnie i stanowczo wzięło narodowe nauczanie w swe ręce, i aby niewolno było nikomu uczyć, kto nie zdał egzaminu...

— Dlatego téż my wszystkie zdajemy egzamin.

— Gdy dziś ci, którzy już do niczego nie są zdolni, zajmują się uczeniem drugich. Co kościół, to szkoła, co sekta to szkoła, a uczą, jak chcą i jak im się podoba.

— Należy szczerze wyznać—ciągnęła Klara—że trudności zastosowania przymusowego nauczania są wielkie. Bo gdy nawet dzieci nic nie zarabiają w fabrykach i warsztatach, to jednak w rodzinie biednego znajduje się aż nadto dużo czynności, które wykonywają dzieci, i tym sposobem pobyt ich w domu staje się niezbędnym. Naprzykład dom biednego zwykle bywa zamiatany i uprzątany przez dzieci; starsze niańczą i wychowują młodsze, obiad na robotę ojcu zanoszą dzieci i t. d. Dla zaradzenia temu, Dora z konsekwencyi swego wystąpienia postawi wniosek zmniejszenia o połowę czasu dziennego nauczania. Lecz skrócenie czasu powinno być wynagrodzone lepszą metodą, tak, aby dziecię straciwszy połowę czasu, przeznaczonego na naukę, mogło zdać egzamin przez rząd naznaczony.

— Ja jeszcze w dalszym ciągu powiem, że wychowanie dziewczynki tyle jest potrzebne, co chłopca—rzekła Lili.

— A któraż z nas zaprzeczy—odezwała się Agnes—aby różnice wiary miały wpływać szkodliwie na uczęszczanie dzieci do szkół?

— Mnie dla samych stosunków rodzinnych nie wypada podnosić téj kwestyi — rzekła Lili.

— Pozwólcie mi podnieść ją przy krytyce bilu parlamentu i zarządu rad szkolnych — domagała się Klara. Nasi niedołężni prawodawcy wyszukują trudności, zupełnie dziś nieistniejące. Czyż znajdują się rodzice, którzyby nie chcieli posyłać swych dzieci do szkoły kościoła anglikańskiego dlatego, że są kongregacyonalistami lub anabaptystami? Pocóż więc samym sobie stawiać barykady na równych drogach? Czy z upodobania do *steeple-chase?*

— Moja droga, powtórz to wyrażenie na zjeździe — odzywa się Ada.

— Widzicie—mówi Dora—jak silnym jest wpływ rutyny. Przyzwyczajono się przed stoma laty patrzéć na trudności religijne w urządzaniu szkół i nie chcą się dziś zgodzić na prawdziwy stan rzeczy.

— To téż w naszéj szkole będziemy przyjmować dzieci, nie pytając o wyznanie.

— Wystąpienie moje i Klary na mityngu nie wymaga długich przygotowań, inne jest zadanie Dory — mówi przewodnicząca.

— Porobiłam w Britisch-Museum wyciągi, kupiłam potrzebne dzieła, wszystko to zabieram na okręt i z powrotem przy pierwszém naszém zebraniu odczytam wam gotowy już artykuł...

Na schodach zadzwoniły filiżanki, a do salonu weszła uśmiechnięta pani Snape, za nią służba z zastawą do herbaty. Chwyciłem za kapelusz, aby wobec mających nadejść misses przedstawić się, jak gdybym zaledwo próg salonu przestąpił.

— Dzieci musiały się już dosyć ubawić między sobą — rzekła dobrotliwie pani Snape—czas, aby skończyły i napiły się razem z nami herbaty.

— Dzieci o ważnych i użytecznych sprawach radziły — pośpieszyłem dodać.

Pani Snape uśmiechnęła się prawowiernym uśmiechem dobréj gospodyni, dla któréj wszystkie sprawy, niedotykające bezpośrednio kuchni, czystości w domu i apetytu męża, uważane były za drugorzędne, oprócz nieokreślonego przywiązania do córki. Zdaje mi się, że pani Snape ostatnią wojnę prusko-francuzką traktowała jako niebezpieczną igraszkę, przedstawiającą się w swych okropnościach nierównie bledziéj w porównaniu z nieszczęściem, pochodzącém z niedopieczonego puddingu.

— Jeżeli rozprawy zajmują je, a Lili robią przyjemność i rozrywkę—mówiła pani Snape, ustawiając filiżanki—i ja jestem z tego zadowolnioną. Po powrocie z kontynentu dziecko codzień więcéj mi smutnieje, codzień mniéj okazuje apetytu...

— Może to tylko zbytnia troskliwość — przerwałem.

— Oczy matki nie mylą się — rzekła pani Snape wzdychając.

Poprawiła nakrycie na stole, rzuciła ostatecznie okiem wodza na ustawione szeregi filiżanek, i nareszcie uśmiech zadowolnienia zaigrał na jéj ustach. Poczém zbliżywszy się do drzwi przyległego pokoju, lekko stuknęła.

— Kochana Lili, herbata; zaproszony dżentelman i ja czekamy; skończcie już, bo bez potrzeby główki was rozbolą.

— Natychmiast przychodzimy, kochana mamo, posiedzenie już zamknięte.

Otwierają się drzwi i sześć misses pięknych młodością, rozpłomienionych ogniem dyskusyi, z żarem w oczach, staje przedemną.

Lili wita mię po przyjacielsku, dziękuje za pamięć, a zwracając się do towarzyszek, mówi:

— Mister.

— Majestatyczna Dora pierwsza się zbliża.

— My już się znamy, sir; jakiż szczęśliwy traf sprowadza cię na naszą sesyą?

— Dobroć miss Lili—odpowiadam.

Następnie wszystkie misses jedna po drugiéj, podchodzą do mnie, wyciągają swe rączki do uścisnienia, kłaniają się, wyprostowane, z gracyą i wdziękiem nie chyląc główek. Każde uściśnienie, nowy dla mnie pocisk, a każdy błysk oczu nowy strzał! Ostatnią była Lidya; zarumieniona, przestraszona, nieśmiała, nie patrząc na mnie, zbliżała się z wyciągniętą rączką, jak ofiara.

— Czy przebaczenie jest tak ciężkie? — szepnąłem.

Nie odpowiedziano mi; zatrzymałem rączkę, czekając. Milczenie... tylko powolutku, cichutko, wysuwała się jak z obrączki kajdan z méj dłoni rączka „raju utraconego.“

— Dawno jak sir na nas czekasz? — pyta Lili.

— Przyszedłem razem z panią Snape.

— Lecz wtedy, gdym pierwszy raz wchodziła, przyprowadzając dżentelmena zaraz na początku waszych rozmów — powiedziała dobrodusznie pani Snape.

— Więc sir wszystko słyszałeś?—zawołały przestraszone misses.

— Starałem się nic nie słyszeć.

— A jednak wiele zdań naszych głośno wypowiedziałyśmy.

— Nie gniewajcie się, umyślnie zatrzymałam dżentelmena, sądząc, że nie macie tajemnic.

— Mama często nam podobne niespodzianki urządza — zawołała Lili.

— Byłam pewna, że waszą rozrywkę urozmaicę.

— Spowiadaj się sir, coś słyszał — zagadnęła Dora, siadając obok mnie, gdy Lili zajęła miejsce po drugiéj stronie.

— Wątpię, czy będę mógł być dokładnym — rzekłem.

— Bądź tylko sir wiernym sprawozdawcą.

— Jedna z pań — zaczynam — ma zamiar mówić mężczyznom, że są piękni.

Klara żywo poruszyła się, okulary na jéj nosku wysunęły się i dlatego obdarzyła żelazny ich pręcik, podwójnym prztyczkiem, aby je umieścić na właściwém miejscu.

— Na jakiéj podstawie? — zapytała.

— Na podstawie równouprawnienia.

Misses uśmiechają się.

— Czy pani—mówię zwrócony do Dory, co tak dokładnie oceniasz Teniersa, będąc w galeryi obrazów, nigdy nie zostałaś uderzona pięknością obrazu tak niespodzianie, silnie i sympatycznie, że mimowoli, stojąc w zachwyceniu, zawołałaś: beautiful!

— Nietylko to zdarza mi się w galeryi, lecz często patrząc na moję sąsiadkę, również mimowoli wylatuje z mych ust wyraz beautiful!

Rumieniec Lidyi wykradając się przez białą jéj skórkę, żartował sobie z ciepłéj, jasnéj krwi, krążącéj u Danae Tycyana; był on i żywszy i przezroczystszy. Tylko niebieskie oczy nie żartowały z głębi spójrzenia Madonny Rafaela; bławaty ich odbijały pogodę, nie odsłaniały atoli, nieprzejrzanego nieba nieskończoności, były tylko spokojne, świecące jak gwiazdy.

Misses spoglądają po sobie; Lidya zapatrzona w talerz, prztyczki Klary o pręciki okularów przyśpieszone, słodki uśmiech Dory, zdziwienie Lili — cisza...

— A przecież to ja pierwsza — odzywa się gospodyni domu — powiedziałam panu Snape, że jest piękny. Wychodziłyśmy z kościoła, u głównych drzwi na schodach stał twój ojciec, Lili, i wtedy twoja matka ujrzawszy go, rzekła półgłosem do miss Brick: Patrz moja droga jaki ładny chłopiec.

— I cóż ojciec na to?

— Usłyszał i odpowiedział mi skromnie: *thanks you* miss (dziękuję). Otóż wy dziś nad tém łamiecie sobie głowy, com ja już przed 26 laty zrobiła, poczem w pół roku zostałam panią Snape, za co dziękuję Bogu.

— Czy sir wszystkie nasze wersye tak dokładnie słyszałeś? — zwraca się do mnie Lili?

— Druga z pań z litości dla samotnika, z sympatyi dla bajronizmu, ze współczucia dla dzikich...

— Chce iść za misyonarza; to ja powiedziałam—przerywa Ada. Jeżeli mię nikt nie zechce, cóż mi pozostanie?

— Szczęśliwy będzie ten, komu pani zrobisz na seryo podobne pytanie.

— Tak, tak—rzekła pani Snape—dostanie dziesięć tysięcy funtów i dobrą gospodynię.

Ada spuszcza oczy. Miss Klara po zaaplikowaniu po jednym prztyczku pręcikom okularów zapytuje mnie:

— Pan również dobrze słyszałeś odpowiedź?

— Traktowania uczucia sposobem indukcyjnym...

— Czyli inaczéj — przerywa Klara — pokochamy człowieka wtedy tylko, gdy go dobrze poznamy.

Przy tych słowach spojrzała na mnie i na Adę badawczém spojrzeniem.

Ada, śniadawa szatynka, wesoła idealistka, zmięszana tak stanowczą wersyą, skubie paluszkami serwetkę.

— Co do dżentelmena — rzekła pani Snape — mamy dokładne relacye od Racheli. Dobra relacya lepsza jak dwuletnie poznanie.

Towarzystwo się śmieje, Lili lekko się rumieni, Lidya powoli, nieznacznie podnosi wzrok na mnie.

— Doro, powiedz nam, czy na mityngu jak zawsze wystąpisz z rozpuszczonemi włosami? — rzuciła pytanie o buzi okrągłéj młodziutka Agnes.

— Dora, mam nadzieję, wystąpi, jak jéj będzie najdogodniéj mówić dobrze i przekonywająco. Nam więcéj chodzić powinno o treść mowy, którą cała Anglia powtórzy, niż o strój nasz.

Po tém oświadczeniu okulary po prostym nosku miss Klary znacznie się zsunęły; dostały téż potężnego prztyczka i gwałtownym podskokiem wpadły na swoje miejsce. Żywość oczu, niespokojność w rysach, dobroć uśmiechu, wszystko to razem zarumieniło się dla poświadczenia zapału i energii.

— Ja — odzywa się Ada — stanowczo proszę Dorę, aby swych włosów podczas wystąpienia nie zwijała.

— O i ja także—szepnęła Lidya. Ona taka piękna, gdy jest uczesana jak dzisiaj.

— Jakie masz wyznanie wiary w tym względzie? sir—pyta Ada.

— Moje wyznanie wiary?... ja przedewszystkiém jestem Grekiem—odparłem.

— I artystą—dodała znacząco Dora.

— A przecie Grecy nie byli piękniejsi od pana Snape, gdy był młodym—dodała z czułością pani Snape.

— Panu jednak chodzi przedewszystkiém o piękność, chociażby dla niéj przyszło poświęcić uczucie — mówiła Dora.

— Czyż-to być może? — zawołała Lili.

— Zwykle tak jest; u artysty nie szukajcie panie serca, on je oddał sztuce, dla niéj poświęci wszystko, lub przestanie być sobą.

— Sir jesteś artystą? — zapytuje Ada.

— W kajdanach, pani; ani maluję, ani gram.

— Więc Dora wystąpi z rozpuszczonemi włosami?—interpeluje Agnes.

— Podług mnie, należy przekonywać treścią, zachwycać pięknością, podbijać wymową i melodyą głosu.

— A jednak z tego wszystkiego treść tylko zostanie nieśmiertelną — wtrąciła Klara.

— I wrażenie na tysiącu słuchaczach, którzy je zabiorą z sobą i rozniosą po Anglii — dodałem.

— Korzystając z nieprzedawnionych mych praw prezydującéj — rzecze Lili—podaję pod głosowanie, czy Dora ma wystąpić z rozpuszczonemi włosami na mityngu?

Cztery rączki pokazały się w górze.

— Sir nie głosujesz z nami?

— Nie mam prawa, nie jestem dotąd członkiem.

— Możesz nim zaraz zostać! — zawołała Lili; wstała i pobiegła do drugiego pokoju, przynosząc książkę rachunkową.

— Jak się te dzieci wybornie bawią! — mówiła szczęśliwa pani Snape, patrząc na córkę.

— Możesz się sir zapisać na liście protektorów, albo w poczet członków czynnych—rzekła Lili.

— Jakież są obowiązki członków czynnych?

— Pomagać radą, pracować wspólnie, jeżeli tego okaże się potrzeba.

— Czyż sir ma czas bawić się z wami, moje dzieci? — mówiła pani Snape.

— My go zapraszamy do pracy, kochana mamo — zawołała Lili.

Pani Snape uśmiechnęła się.

Zapisałem moje nazwisko na liście pod numerem jedenastym z kolei, a dołączywszy papierek pięciofuntowy, który wsunąłem między kartki, oddałem książkę Lili.

— A teraz — rzekłem — stanowczo głosuję za rozpuszczonemi włosami miss Dory tak zawsze jako i na mityngu, dziękując wypadkowi, który mi pozwolił głos zabrać w tak ważnéj kwestyi.

— Zapraszamy cię sir na ostatnie posiedzenie przed mityngiem, abyś krytykował nasze mowy.

— To będzie trudniejsze, jak decyzya o rozpuszczonych włosach — szepnęła Klara.

— Jeszcze jedno pytanie, sir, które mi cięży na sercu — rzekła Lili. Czy podzielasz opinie Klary co do charakteru mężczyzn?

— Drogie panie, to tylko powiem: strzeżcie się wasze sny złote, wasze marzenia, nadzieje, oddawać w ręce, powierzać ludziom, których nie znacie, aby tym sposobem nie zabić w sobie najszlachetniejszych instynktów, nie sponiewierać przyszłości. Indukcya jest

konieczną i dlatego podaję z uznaniem rekę téj, która pierwsza wymówiła ten wyraz.

Prztyczek jak błyskawica i wyciągnięta ręka tryumfującéj Klary!

Zwróciwszy się następnie do Lili, dodałem:

— Daleko lepiéj poznawać długo, aby pokochać mocno.

Milczenie, zarumienionéj Lili słychać bicie serca, pani Snape spogląda zdumiona na mnie i na Lili, jak gdyby zaczynala wierzyć w skuteczność dobrych relacyj Racheli, gdy przed mojemi oczyma przesuwają się z kraju rodzinnego rozmarzone idealistki, dziś męczennice, terroryzowane bezdusznością, apatyą, ograniczeniem i nizkiemi instynktami swych opiekunów i panów.

Towarzystwo powstaje, misses wdziewają kapelusiki, przeglądając się w lustrach; zabierają swe małe teczki i parasolki, pozwalają się pocałować pani Snape, do mnie wyciągają rączki — odchodzą. Miss Klara zgubiła rękawiczki, parasol ledwie się znalazł i dlatego kapelusz jéj z pośpiechu pochylił się nieco na bakier, Lili przywiodła go do równowagi. Nareszcie wszyscy odprowadzamy Dorę na stacyą Kings-Cross.

Dora odjechała, Klara wsiadła do omnibusu, Ada z Lidyą udały się w stronę Totenhamcurtroad, Agnes uwiózł tramwaj.

Chciałem odprowadzić Dorę, Lidia spojrzała nieśmiało, a Ada uśmiechała się. Chciałem odprowadzić Lidyę, Lili rozmawiała ze mną—i zostałem sam, niezdecydowany, przygnębiony.

Z piękności tych rozumnych dzieci, skleiły się w méj wyobraźni rysy oddawna mi znane, zaczarowane w murach Warszawy. Jakież urocze chwile! Tak często mówiliśmy o cichych pracach, wyglądając gorączkowo nadejścia burzy—aby jak najprędzéj przyszła, jaknajkrócéj trwała—a po niéj pogoda jasnego dnia i mozolne trudy budowania szczęścia w rodzinie... Dziwne losy!... zniknęłaś jako sen, a ja patrzę na rzeczywistość naszych marzeń w Londynie.

Wszystko to razem nudne. Ho, ho! inaczéj byłoby u nas w Galicyi, gdyby naszym młodym misses zagnieździła się w główkach idea założenia wzorowéj szkoły. Najprzód opowiadanoby o samym projekcie bardzo długo i obszernie, późniéj żadna Galicyanka nie miałaby odwagi być pierwszą, biada, gdyby została ostatnią.

Nareszcie nasze misses zgromadzają się, oglądają swoje toalety, jedne noskami kręcą, drugie zazdroszczą. Sprawa wyboru prezesowéj zajmuje pięć posiedzeń. Wreszcie prezesowa obrana — niezadowolnienie ogólne.

Przychodzą kwestye do rozbioru, w których ścierają się nie opinie, lecz wzajemna niechęć. Misses przycinają sobie z daleka, delikatnie, niemniéj przez to dotkliwie.

I tak całe dzieło szczęśliwie się układa do pierwszego tańczącego wieczorku. Wieczorek rozstrzyga o losach szkoły wzorowéj, prowadzonéj przez nasze młodziutkie bohaterki. Wszystkie są obecne, wszystkie mają świetnie wystąpić i każda musi być królową.

Jedna z misses nie tańczy kadryla i dlatego postanowiła się zemścić i wystąpić z komitetu. Z drugą Władeczek tańczył walca trzy razy, a raz tylko z Belunią. Franio zanadto uśmiechał się do Miluni, Stasia zbyt sentymentalnie śpiewała, gdy doktór botaniki prażył ją mordeczym ogniem z po za osłony swych niebieskich okularów. Tadzio był dowcipny, a rozmarzona Marynia zamyślona. Przy kolacyi pary tak się pomieszały, że już dłużéj nie można było wytrzymać.

Nazajutrz posiedzenie; wszystkie są obrażone i żadna nie przyszła. Za to częste wizyty, rozprawy, opowiadania, intrygi, tajemnice... burza i ogień... dewotki do ognia leją oliwę...

Stowarzyszenie upada, komitet się rozwiązuje, ale za to macie życie, rozmaitość, wesołość. Niektóre dzienniki miejscowe napiszą artykuły, radząc niewieście wytrwale stać tylko na straży ogniska rodziny, jeden z młodych talentów przygotuje powieść, która zmaltretować ma emancypacyą jako obcą naleciałość, czyhającą na sposobność zagaszenia narodowego znicza pamiątek i tradycyj.

— Obmawiasz nas, spotwarzasz i kłamiesz!—zawoła chór dziewic z nad Dniestru, Sanu, Wisłoki i Raby—mścisz się, potworze!

— Obmawiam?... czyż powiedziałem, że jesteście brzydkie? Gdzież więc jest obmowa, a tém więcéj potwarz?

Kłamię?... być może; wytoczcie mi proces przed sądem z najpiękniejszych, a ja na swą obronę odpowiem wam jedném pytaniem: Gdzież jest szkoła? gdzie są szkółki wzorowe, prowadzone waszym milutkim rozumkiem, energią i hartem duszy?

Zresztą ukarzcie mię; błagam was, „o najpiękniejsze kwiaty naszych łąk i najwonniejsze z naszych gór;“ ukarzcie mię; założcie szkołę wzorową, a potém pogardźcie mną, błagam was. Ja pewno z rozpaczy umrę; szkoła wzorowa zostanie świadkiem waszego tryumfu, a méj nikczemności...

(c. d. n.) *Sewer.*

STALOWSKIE WESELE.

Wieś Stale leży na prawym brzegu Wisły w odległości pół mili od miasteczka powiatowego Tarnobrzega (Dzikowa), a dwie mile od Sandomierza. Mieszkańcy jéj są wszyscy Polakami, czego dowodzi ich język i nazwiska czysto polskie. Jakkolwiek dbali o gospodarstwo, nader pracowici i trzeźwi są oni po większéj części ubodzy z powodu nieurodzajności gleby, którą uprawiają. Jako Mazury najczystszéj krwi nie tracą w biedzie właściwéj sobie wesołości, bo przywykli do niedostatku i nauczyli się z nim walczyć. Pieśń zawsze u nich na ustach: czy w szczęściu, czy nieszczęściu, przy pracy, czy wypoczynku; czy przy kieliszku w „gospodzie" (karczmie), czy przy ognisku w dymnéj chałupie, pieśń zawsze, wesoła lub rzewna, jest miłą towarzyszką Stalowiaka: przy niéj i łzy obficiéj płyną i radość wydaje się słodszą. Charakterem ujmującym, zwyczajami i obyczajami dawnemi, które zachowują z niezwykłą dbałością, ubiorem, nie ulegającym zmianie, a przedewszystkiém językiem (1) wyróżniają się od mieszkańców sąsiednich wiosek, z wyjątkiem Jeziórka i Żupawy.

---

(1) O języku Stalowiaków, Jeziorzan i Żupawców napisałem osobną rozprawę, zamieszczoną w VIII t. „Sprawozdań i Rozpraw" wydziału filolog. Akademii Umiejętności w Krakowie 1880.

W ciągu opowiadania będziemy co krok spotykali się z tym językiem, dla tego pozwolę sobie nadużyć cierpliwości czytelnika i podam krótką charakterystykę „Gwary lasowskiéj," bo tak nazywa się język trzech owych wiosek u sąsiadów. W gw. las. żadna samogłoska, rozpoczynająca wyraz nie wymawia się czysto: *a* i *e* wymawia się ze słabym głosem *h* — o z wargowem *u*, daléj *i* prócz spójnika *i*, zawsze ze spółgłoską j; *u* ma głębokie brzmienie (uu), *a* zwane w gramatyce otwartém, ulega wpływowi następującego po niem *m* i *n* i brzmi jak *e* (ae). Samogłoski *i* i *y* zamieniają się bardzo często na é pochylone. *a* pochylone t. j. takie, które w ustach ludu brzmi prawie jak o, oznaczymy przez à z kreską, ó pochylone jest dwugłoską i wymawia się jak uó. Samogłoski nosowe ą i ę zaginęły. Na końcu wyrazów brzmią one jak samogłoski czyste *e* i *o*; w środku wyrazów mają brzmienie odmienne, grube, głębokie. Spółgłoska ń zamienia się na końcu wyrazów i zgłosek na *j*, a przed takiem *j* pochylają się samogłoski *e* i o na *é* i uó.

Wesele stalowskie już z tego względu zasługuje na uwagę, że odbywa się podług ściśle określonego i uświęconego zwyczajem rytuału, formalności, podług „postępu“ jak się Stalowiacy wyrażają, którego ani ominąć, ani zmienić nie godzi się żadną miarą. Dziewczęta i parobczaki muszą tego postępu uczyć się od starszych i przypatrywać się po weselach, aby w danym razie uczynić zadość wymaganiom bez zgorszenia starszych. Urodzony i wychowany w Stalach, jako syn chłopski, przebywałem tamże prawie do 14 roku życia. We wszystkie zabobony wierzyłem, obawiałem się złych duchów, pieśni wszelkiego rodzaju śpiewałem, a całego obrzędu weselnego, który tu zamierzam podać, uczyłem się na pamięć od świadomych rzeczy i umiałem go jak pacierz. Późniéj, jako uczeń uniwersytetu, miałem nawet sposobność okazać swoję biegłość w tym względzie praktycznie: byłem zaproszony do rodzinnéj wioski za najstarszego drużbę czyli marszałka, kierowałem całem weselem i dokonałem zadania, dzięki owéj nauce, z zadowoleniem uczestników wesela i nie małą radością swoich rodziców, którzy nie potrzebowali wstydzić się za syna.

Wesele stalowskie składa się z pięciu aktów, które kolejno po sobie następują: 1) Zmówiny, 2) Dziewosłęby, 3) Rózgowiny, 4) Ślub, 5) Czepiny.

I. Zmówiny.

Kiedy „kawalér“ upatrzył sobie „dziewcyne“ i chce się ożenić, staje przed rodzicami w „niedzielném ubreniu,“ „chytá“ ich za nogi (obejmuje rękami ich kolana) na znak szacunku i „podziekowenia za wychowenie“ i wtedy między nim a rodzicami toczy się rozmowa zawsze w tych, a nie innych słowach:

— Kocheni rodzice, ja sie chce teráz ozenić.

— Dobrze, kocheny synu, my ci nie zbreniámy, ale gdzie sie chces zenić? Syn odpowiada na pytanie, a w końcu dodaje: „ w tém miéjscu chce sie zenić, bo my sie ta dziewcyna podobá.“

— Dobrze, kocheny synu, ze ci sie podobá, ale cy cie bedo chcieli?

— Nie wiem pewności, ale sie spodziéwám, ze mie przymno.

— Tak, dobrze, kocheny synu, my ci dajemy tyla majotku (następuje wyszczególnienie), jdze teráz, posukáj sobie modrego gospodárza i powiédz mu, ze my ci dajemy tyla majotku (następuje powtórne wyszczególnienie tegoż) i niechze on jidzie w to miéjsce, gdzie

ty, kocheny synu, más zamiár sie zenić i niech sie dowić, hyla (ile) bedo swoji córce majotku dajáć.

Po téj rozmowie syn powtórnie „chytá“ rodziców i naradza się z nimi, kto ma być tym mądrym gospodarzem. Wybór pada zwykle na krewnego, człowieka w poważnym wieku, a w braku takiego, na kogoś obcego. Ten wybrany, mądry gospodarz zwie sie „tłomac“ albo „poseł.“ Do niego udaje się teraz parobczak, „chytá“ go i opowiada rzecz całą. Odmówić nie wypada, więc poseł ubiera sie w „niedzielne saty“ i idzie do domu wskazanego. Dzieje sie to, według zwyczaju, w środę lub niedzielę wieczór. Wszedłszy tam, rzeknie: „Pokwálony Jezus Krystus,“ odpowiedzą mu: „na wieki wieków, ámen“ i zapytują: „Co nám nowego powiécie?“ „Jezdem posłeny, odpowiada tłómacz, od kawaléra (jego imię i nazwisko) i zapytuje sie wás, cy bedziecie mieli wolo i ochote dać swoje córke (jéj imię) jemu za zone.“ Następuje narada wobec posła między rodzicami dziewczyny, rozpoczyna ją ojciec: „Jakze, matka, wydámy nase córke za tego kawaléra, czy nie?“ „Tyś przeciek ociec dzieciom i na ciebie lezy fudement, to ty powiédz, jak myślis, a já sie na wszyćko zgodze.“ Tu ojciec pomyśli chwilę, a jeżeli tego kawalera uważa za dobrą partyą dla swéj córki, powie: „Widać taká juz jest wolá boská;“ zwracając się zaś do córki zapytuje: „Jakze, kochaná córko, más wolo i ochote póść za tego kawaléra?“ Wspomnieć tu należy, że nie ma w Stalach zwyczaju, aby parobczak przed zmówinami porozumiewáł sie z dziewczyną. Wszelkie romanse przedślubne są źle widziane i nigdy téż na ten krok nie odważy się ani syn ani córka dobrych rodziców, czyli po stalowsku „dobrego chowenia.“ Widzieli się oni nie raz przy pracy, na weselu, tańczyli lub rozmawiali z sobą o rzeczach obojętnych, ale do wyznań miłosnych nigdy między nimi nie przyszło. To zapewne jest przyczyną, że objawy miłości prawdziwéj, wewnętrznéj, tłumionéj, są w Stalach częściejsze, aniżeli wogóle po naszych wioskach; że wreszcie częstokroć kawaler dostaje kosza „odprawe“ i nie może przebaczyć dziewczynie, którą tajemnie kochał, nie wiedząc o jéj obojętności dla siebie.

Jeżeli tedy dziewczynie podoba się ów kawaler „chytá“ rodziców i posła i mówi: „Lácegobym, kocheni rodzice, nie chciała póść za niego, przeciek do śmierci pennom przy wás być nimoge.“ „No to jest wszystko dobrze — przemawia następnie ojciec—ale jaki majotek ten nas swat daje swojemu synowi, a nasemu zieciowi?“ Poseł wyłuszcza rzecz następującemi słowy: „Tak on dostaje od swojéch rodziców (wyszczególnienie majątku), ale chce tez wiedzieć, hyla wy dajecie swoji córce.“ „No jeźli swat swojemu synowi, a mojemu

zieciowi daje tyla majotku, to i já nie bede odmowny, przemawia ojciec, jeno niech przyśle dziewosłeby, a wnet bedzie zgoda,“ Po tych słowach tłómacz opuszcza dom dziewczyny i żegna wszystkich słowy: No, to bywájcie témcasem zdrowi i ostajcie z Bogiem,“ a oni mu odpowiadają: „a jidzcie z Bogiem, tylko sie predko spieście.“

Na tém kończą się zmówiny, a rozpoczynają dziewosłęby.

2. Dziewosłęby.

Poseł powraca ze zmówin wprost do domu kawalera, a wszedłszy tam i powitawszy wszystkich przemawia do niego: „No, mój kochany, już jest wszyćko dobrze, tylko posukáj sobie modry kobiéty i przynieś kwárte wódki i pudziemy skutku dobijać.“ Mądrą kobiétą jest zwykle krewna, podeszła w latach kobiéta. Przybywszy do niéj, „chyta“ ją kawaler i mówi: „Mojiście wy kocheni, prose wás bardzo ślicznie, zebyście pośli odemie w dziéwosłeby,“ podaje nazwisko dziewczyny i mądrego gospodarza, któremu ma towarzyszyć w celu dopełnienia drugiego aktu weselnego. „Tak, dobrze mój kocheny, odpowiada kobiéta, ale zeby sie nám choć posceściéło“. „Za wolom Pána Boga bedzie wszyćko dobrze,“ twierdzi kawaler. Mądra kobiéta zapytuje daléj: „A kupiéłeś ty piekno stozke do flaszki, zeby já nimiała za tobom wstydu?“—„kupiéłem, odpowiada zapytany, bardzok piekno stozke za dwa ryjskie i tak wstydu za mnom mieć nie bedziecie“. „No to dobrze, kiedy tak, to juz pudziemy“, kończy kobieta i udaje się z kawalerem do domu jego rodziców, gdzie czeka na nią poseł. Rodzice kawalera przyjmują mądrą kobietę, jak mogą najgrzeczniéj, poczém wszyscy wypiją sobie wódki „na śmiałość.“ Wreszcie mądra kobieta obwięzuje flaszkę wstęgą czerwoną, za ktorą wkłada do koła rutę i udaje się z mądrym gospodarzem, jako „dziéwosłeby,“ do domu dziewczyny. Za ich przybyciem zapytują rodzice: „Cegóz wy zodácie?“ „Nic ciekawego nie zodámy, jenośmy pobłodziéli i uprásámy wás o nocnig“ (o przenocowanie).

— „A coście wy zajedni i za cém chodzicie?“

— „My jezdeśmy kupce, co sie nam nadá, to kupujemy. I tak, gdyśmy béli na ulicy mówiéł nam jeden człowiek, ze mácie jałówecke na przedáj, a mámy tu w ty wasy wsi dobrego kupca, coby jo od nás odkupiéł.“

— „Jeźli mácie dobrego kupca, to zawołajcie go i niech on sám nase jałówecke oberzi, bo my wám nie wierzymy.“

Po tych słowach jedno z dziewosłębów wychodzi z izby po mniemanego kupca. Jest nim oczywiście kawaler, który w czasie rozmowy dziewosłębów z rodzicami dziewczyny stał za oknem i przypatrywał się całéj ostatniéj scenie. Wprowadzony przez mą-

drego gospodarza lub mądrą gospodynią, wita dom zwykłym: „Pokwálony Jezus Krystus,“ odpowiedzą mu „na wieki wieków“ i zaraz przystępują do dalszego ceremoniału.

Rodzice dziewczyny zapytują dziewosłębów: „Cy to jest ten kupiec, co chce nase jałówecke kupić?“ „Tak jest, ten sám, o chtórémześmy wám mówiéli“, brzmi odpowiedź. Kawaler podchwytuje: „Ja nie chce kupić wasy jałówecki, ale wase córke.“ „Dobrze, mój kocheny, odpowiada mu ojciec, más ty dać odstepne kilka ryjskie tém ludziom nieznajomém, to racy sobie sám od nás kup.“

Wtedy kawaler, a za nim dziewczyna „pochytajo“ wszystkich w domu, poczem kawaler tak mówi: „Tak, dobrze, já jezdem gotów kupić wase córke sobie za zone, tylko trzeba piérwy wypić litkup i przeprosić téch dwojga ludzi, zeby sie na mie nie gniéwali.“ Ojciec wzywa natenczas córkę po imieniu: „Zacynáj, bo na tobie fudement.“ Dziewczyna „prawi“ do kieliszka wódkę i pije zdrowie „narzeconego“; on odbiera od niéj nalany kieliszek i pije jej zdrowie; dziewczyna stawia flaszkę na stole, gdzie przed tem stała, a „narzecony“ odejmuje od flaszki wstążkę i podaje dziewczynie, jako „podarunek przedślubny.“ Mądry gospodarz bierze teraz flaszkę do ręki i mówi: „Tak kiedy sie młodzi pocestowali, pocestujemy sie i my“— nalewa kieliszek i pije do gospodarza domu, gospodarz do mądréj kobiety, a ta do matki dziewczyny. Gdy tak wszyscy kolejno wypili „zdrowie“, robią „zgode.“

Ojciec narzeczonéj dowiedział się już na zmówinach od mądrego gospodarza, jaki majątek przyszły jego zięć otrzyma od swego ojca, więc teraz w te słowa przemawia do niego: „Jeźli tobie, mój kocheny, twój ociec, a nas swat, tyle majotku daje, to i já swoji córce udziélám, co moge“ i określa drobiazgowo posag swéj córki. Jeżeli kawaler widzi, że „na tém obstoji“, odpowiada: „Niech już bedzie zgoda,“ posyła po swoich rodziców i krewnych, krewnych i przyjaciół zapraszają także rodzice dziewczyny; „obie strony“ posyłają do „gospody“ po „nápitek“ i zabawiają się gwarno do „świtenia,“ poczém „śpiéwajecy“ rozchodzą się do domów.

Zmówiny i dziewosłęby odbyły się w ciągu jednéj nocy, teraz następują sprawy kościelne i urzędowe, wreszcie przygotowania do samego wesela.

Po dziewosłębach idą „pejstwo młodzi“ do „páciérza“ w towarzystwie mądréj kobiety. Po złożeniu egzaminu z pacierza i „katefi-

su“ (1), dają na „zápowiedzi“, a na drugi dzień udają się ich rodzice do „metateusa“ (2), dla sporządzenia aktu urzędowego na ów majątek, który swoim dzieciom wzajemnie „deklarowali.“

Panna młoda robi następnie przygotowania, „przycyniá się do weselá“; zamożna nie wiele ma zachodu, bo jéj rodzice „swojém kostem“ sprawiają wesele, uboga musi iść po wsi „po spomozeniu od domu do domu.“ W tym celu obiera sobie kobietę, która ma być u niéj na weselu za kucharkę, za towarzyszkę: kobiety takie zwykle w podeszłym wieku, ubogie, znane są już we wsi z tego powołania. Gdziekolwiek wstąpią „kucharka“ zawsze powtarza te same słowa: „Pokwalony Jezus Krystus—peni młodá prosi o spomozenie,“ a panna młoda „chytá“ obecnych, każdy jej mówi: „Niech ci Bóg sceści błogosławi“ i obdarza ją, czem może.

W przeddzień drugiéj zapowiedzi poszuka sobie panna młoda „zdatny dziewczyny,“ która ma być na jej weselu starszą drużką i z nią chodzi do kościoła w dniach dwu ostatnich zapowiedzi. Obiedwie jednakowo, świątecznie przystrojone: włosy splecione, ubrane rutą i barwinkiem; do warkoczy przypięte długie wstęgi różnokolorowe, spadają na plecy. Idąc do kościoła i powracając „chytajo“ po drodze, kogo spotkają, nie w tym celu bynajmniéj, aby otrzymać datek, co się praktykuje po wielu wsiach, ale aby otrzymać błogosławieństwo: każdy téż świadomy tego zwyczaju winien odpowiedzieć na ukłon panny młodéj: „Niech ci Bóg sceści błogosławi.“

W ostatnim tygodniu przed weselem zamawia pan młody muzykę weselną; zamożny dwóch skrzypków, klarnecistę, basy i bęben; ubogiemu wystarczą jedne skrzypce, basy i bęben, bez którego wesele nie miałoby uroku, byłoby zbyt „ciche i smutne.“

Ojcowie młodych myślą tymczasem, w którym browarze najlepsze piwo i w któréj gorzelni najtańsza wódka. Panna młoda zaś ze starszą drużką zapraszają na wesele znajomych i krewnych za starostów, starościny, za drużbów i drużki. W poniedziałek o zmroku rozpoczynają się rózgowiny.

3. Rózgowiny.

Pan młody w towarzystwie starszego drużby, który zwie się także marszałkiem, sprowadza muzykę przed dom rodziców i ta gra tak długo przed domem, aż wyjdzie ojciec i słowami: „Witájcie do nás“ wprowadzi ją do siebie. Pan młody „pocestuje“ muzykantów

(1) Katechizm.
(2) Notaryusz.

„nápitkiem“ a matka da im „kolacyjom.“ Tymczasem naschodzi się kawalerów i dziewczyn w towarzystwie starszych osób, wkrótce zagra muzyka i rozpocznie się taniec. W tém wchodzi panna młoda ze starszą drużką; począwszy od rodziców pana młodego wszystkim oddają ukłony zwyczajnym sposobem i proszą za „sobom“ tj. do domu panny młodéj,—lecz zanim wyjdą, prosi panna młoda, pana młodego o rózgę.

Już kilka dni temu, jak pan młody prosił kawalera, biegłego w sztuce, aby mu zrobił rózgę. Ten udał się do lasu, uciął „młodego dobka“ na łokieć długiego, a około dwóch cali grubego; w długości pół łokcia rozszczepił tego dąbka na siedm „odnóg,“ sześć po boku, a jedna w środku. Teraz oddaje on tę rózgę panu młodemu, a ten pannie młodéj. Muzykanci grają „wiwat,“ następnie „marsia“ i wesele z panną młodą i starszą drużką na czele postępuje poważnie do domu panny młodéj. Tam państwo młodzi oddają ukłony rodzicom, a oni przyjmują wszystkich słowy: „Witajcie do nás;“ muzykanci siadają na przeznaczoném miejscu, rozpoczyna się granie i taniec. Ale wkrótce nastaje cisza, bo panna młoda ustawia stół przy świetle obok kominka, na stole kładzie dzieżę; w dzieży leży bochen chleba, w nim wykrawa „ducke,“ (1) gdzie wstawia rózgę trzonkiem; starsza drużka zaś przynosi w koszyku barwinek i składa tuż obok. Na środku izby stoją rzędem drużki, do nich zbliża się panna młoda, oddaje im zwykłe ukłony i siedem z nich zaprasza do wicia rózgi. Wybrane zbliżają się do stołu i wraz ze starszą drużką zaśpiewają „jedném tonem“ (naraz):

„Zacnijże nám, nádobná Zosiejku, o ze środka, ze środka,
Boześ ty jest u swoji matusie o sierotka, sierotka“

Na to wezwanie panna młoda bierze równiakę barwinku i przywija środkową odnogę rózgi, a gdy te „rumianke przywije“ podaje drugą starszéj drużce, która kończy wić środkową odnogę, a inne tymczasem śpiewają:

Przywieziono nám zielá
Z tureckiego Podolá,
Przez Dunaj sie plawiélo
U matusie zálélo (2)
Z mego ogródecka
Wypadła zerdecka,
Juz tem zielá nie będzie;

---

(1) ducka oznacza wyżłobienie.
(2) zalélo się—żaliło się.

Jak Jasiéjko (1) przyjedzie,
Z cegóz já se wiánecek uwije?

Przyjechál do mie „ubrál sie w słome i stoji, kieby (2) sowa,
Ni z niém pogádać, ni pozartować, jaz mie boli głowa.
Przyjechál do mie—ubrál sie w suknie—pod muroweny domek,
Pieknie mie prosi i obsermuje (3) o rucieny wiánek.

Tymczasem starsza drużka skończyła przywijać środkową odnogę, więc reszta drużek bierze się do przywijania pozostałych odnóg, każda do swojéj, i śpiewa:

Przyjezdzáj nadobny Jasiéjku, o przyjezdzáj, przyjezdzáj,
Stoji rózecka prosto okienecka, o kieby gáj, kieby gáj.
Juz sie nasa rózecka o dowijá, dowijá,
Bo ona sie cegoś o spodziéwá, spodziéwá,
So na boru biáłe kwiecie,
Uwije sie wiánek (4) w lecie,—
Cyś ty Jasiéjku głuchy,
Wije sie wiánek suchy,
Cyś ty Zosiéjku głuchy,
Wije sie rózga suchy.

Gdy przywijanie rózgi skończone, śpiewają wszystkie drużki:

Matusiu, serce moje, dej do rózecki stroje,
Chustecke, krajecke, (5) do wiánecka stozecke.

Matka panny młodéj przynosi żądane stroje: białą chustkę „kartenowo", (z białego perkalu) krajkę żółtego koloru, wstążkę czerwoną i oddaje to wszystko starszéj drużce. Ta wkłada chustkę między odnogi rózgi i owija nią spód odnóg tak długo, aż oba końce chustki zrównają się z końcem trzonka. Na chustkę wkłada krajkę i w ten sam sposób z nią postępuje, jak z chustką. Tuż pod odnogami umieszcza wianek z ruty osobno ku temu celowi uwity, a na nim zawiązuje wstążkę. Gdy rózga przystrojona, śpiewają wszystkie drużki razem:

O nas miéły penie młody,
Przynieśze nám konew wody,

---

(1) Jasiéjko—Jasieńko. Przyjmujemy, że imię narzeczonego Jan, a narzeczonéj Zofia, bo to ulubione imiona stalowskie.

(2) kieby—jakby, jak gdyby.

(3) obsermować, wyraz przyswojony z łaciny, znaczy przymilać się komuś, robić grzeczności.

(4) wianek znaczy tutaj tyle co rózga.

(5) krajka, pasek kobiecy.

A my tobie za te wode
Zosienecke jak jagode.

Wtedy ojciec pana młodego przynosi piwo w konewce lub dzbanku i częstuje drużki, poczem te śpiewają:

Piweckośmy wypiéły
I rózecke wystrojéły,
I pudziemy wszystkie w koło,
A zagrájcie nám wesoło.

Po prześpiewaniu, bierze starsza drużka rózgę w prawą rękę, a lewą podaje jednéj z drużek, za niemi ustawiają się inne drużki parami, a ponieważ jedna nie ma pary, więc sobie wybiera którąkolwiek z dziewczyn, znajdujących się na weselu. Tak parami, ze starszą drużką na czele, stają przed muzykantami i mówią: „Niech bedzie pokwalony Jezus Krystus,“ muzykanci odpowiadają: „Na wieki wieków Amen.“ Drużki pytają: „Cy sie wam podoba cy nie podoba ta nasa robota?“ Muzycy dają na to potwierdzającą odpowiedź, a one śpiewają:

„Niechze bedzie pokwálony, tájcować jidziemy,
Nózki się nám pokurcéły, prostować bedziemy,
Niechze będzie pokwálony Jezus Krystus nas
A na wieki wieków amen, witájcie do nás.

Jeżeli im ciasno tańczyć, wzywają obecnych, aby się im usunęli:

Nasi dobrzy ludzie, ustopcie sie z izby,
Zebyśmy nimiały z tém wiáneckiem cizby.

Zgromadzeni usuwają się chętnie, a drużki przetańczą raz w koło izby, stają przed muzyką i śpiewają:

Z tom tánek, z tom tánek, co rutke równała,
Z tom drugi, z tom drugi, co wiánecek dała.

Znowu przetańczą w koło, stają na tém samém miejscu i śpiewają:

So na boru fijáłecki, pudziemy ne nie,
Urwiemy se po jednemu na zalecenie.
Jeden z ruty, drugi z miety, trzeci z powoju,
Napase já śtéry wolki na jedném staju.
Jeden my zdech, drugi my zdech, trzeci utonon,
Cwartego my pan starosta do dworu zajon.
A já borem, a já borem za sadém wolem,
Zasadziéł mie pán starosta za nowém stołem,
Daje my jeść, daje my pić, a mie główka boli,
Bo ześ ty mój Jasiéjku nie po moji woli.

Nasieje já se jary rutecki, o za sienio, za sienio
Przyjézdzájże mój nádobny Jasiejku z rodzinecko poćciwo.
Nasieje já se jary rutecki, o za chlewem za chlewem,
Przyjézdzáj do mie nádobny Jasiejku na koniku siwém.
A cóześ my za trzewicki kupiéł?
Jeden my sie zdar, a drugi wyspóciéł (1).
A cóześ my za chustecke dała,
Coześ my ji trzy lata nie prała?
Prałam ci jo o miesiocku w zimie,
A susélam na poledni (2) w dymie.

Wreszcie kończą:

Kázajo nám śpiéwać, nimozemy ziéwać
Trzebaby śklánecki garłecko przeléwać.

Na to wezwanie pan młody przynosi dzban piwa i poczęstuje wszystkie, poczém one znowu śpiewają:

Nasa jizba z cisowego drzewa,
Nie takiego nám tu parobecka trzeba;
Trzebaby nám, trzeba, z pod Krakowa miasta,
Bo nasa Zosiéjka z pszenicnego ciasta.
Rozleciały sie siwe gołobecki, o po pniáckach, po pniáckach,
Zgeniájze jéch, zgeniáj, nádobná Zosiéjku, o w chodáckach w chodáckach.

U matki na debie
Ucały (3) gołebie,
Tylko ten nie ucáł,
Co my sie zalécáł.

Da moja matusiu, rajo (4) my piérsego:
Piérsy robi wiersy (5)—nie pude zá niego.
Da moja matusiu, rajo my drugiego:
Drugi robi długi—nie pude za niego,
Da moja matusiu, rajo my trzeciego:
Trzeci má duzo dzieci – nie pude zá niego.
Da moja matusiu, rajo my cwártego:
Cwárty mierzy kwárty—nie pude zá niego,
Da moja matusiu, rajo my piotego:
Pioty bardzo skopy—nie pude zá niego,
Da moja matusiu, rajo my szóstego:
Szósty bardzo tłusty—nie pude zá niego,
Da moja matusiu, rajo my siódmego:
Siódmy jest obłudny—nie pude zá niego,

(1) wykrzywił się.
(2) belka w dymnéj chałupie do suszenia bielizny.
(3) huczały.
(4) radzą, zalecają.
(5) wiersa albo wierska jest przyrząd do łowienia ryb.

Da moja matusiu, rajo my ósmego:
Ósmy chłopiec słusny—już pude za niego.
A já sobie sema stála w gumnie,
Przyjechali kawalérzy do mnie.
Piersego zem pieknie przywitała,
A drugiemu prawo rocke dała,
A trzeciemu śrebny pierzcionecek,
A cwártemu rucieny wiánecek.
A piotemu bolenie w kolenie,
A szóstemu wielgie utrápienie,
A siódmemu gorzálecki z kusa (1),
Ledwo ucick do chałupy z duso,
A ósmemu słowecko za uchem,
Zeby przysed do mie z gorzáleckom duchem (2).
W mojem ogródecku tráwka nie goździki,
Przyjezdzáj Jasiejku, napasies koniki.

Drużki kończą na tém śpiew, a pan młody i panna młoda obmyślili tymczasem kto ma być starostą wesela, przystępują więc teraz oboje do niego, „chytają" go i proszą, aby przyjął tę godność i usiadł obok muzykantów. Gdy starosta zasiędzie na przeznaczoném miejscu, zbliżają się do niego drużki z rózgą i mówią razem: „Tak nas penie starosta prosimy o uzwolenie, nas wiánecek kwitnocy, rodzocy, pełny i pewny" (podnoszą rózgę do góry i potrząsają nią). Starosta odpowiada: „Jesceście mało, tójcély (3), zebym wám uzwálał," a drużki śpiewają:

Nas starosta nie dusy (4)
Do wiánecka się nie rusy,
Woláłby się nie obzywać,
Posed za piec portki zsywać.

Następnie powtarzają przytoczone już słowa: „Tak nas penie starostą prosimy o uzwolenie, nas wiánecek kwitnocy, rodzocy, pełny i pewny, potrzośnijcie workiem nad nasem podełkiem;" równocześnie najstarsza drużka nadstawia zapaskę, a starosta wrzuca jej skorup z rozbitego garnka, czem drużki niby oburzone wołają: „My takiéch piniedzy nieznámy i brać nie chcemy." Starosta z poważną miną twierdzi: „Właśnie ze nie znácie, bo to piniodze są z pod jinsego króla." Według przepisanego obrzędu wszyscy na te słowa winni się rozśmiać, a przynajmniéj śmiech udawać, drużki zaś śpiewają:

(1) kusz jest przyrząd kosiarzy.
(2) duchem—natychmiast.
(3) tańczyły.
(4) co znaczy „nie dusy," nikt nie wie. (*Nie dusy*, może—nie duży, nie zdążający, nie pochopny do ruszenia się. *Przyp. red.*).

Nas starosta grajcarecka nimiáł,
Posed na dwór skorupek nazbiérał,
Nas starosta nie bogaty,
Bo má port... seme łaty.
Nas starosta zyje pokryjomu,
Sám wyjád, sám wypiéł, a nie dáł nikomu.
Wiwat, wiwat, starsy druśce nasy,
Jak to pán starosta za wiáneckiem patrzy.

Prześpiewawszy to, po trzeci raz zwracają się do starosty słowy. „Nas penie starosta prosimy o uzwolenie, nas wiánecek kwitnocy, rodzocy, pełny i pewny, trzośnijcie workiem nad nasem podełkiem.“ Starsza drużka nadstawia zapaski, a starosta wrzuci kilka centów i chce wziąć rózgę. Daremnie, bo jakkolwiek starsza drużka przyjęła pieniądze, rózgi nie oddaje, ale śpiewa wraz z innemi:

„Nie wydám, nie wydám wiánka rucienego,
Bośmy nie widziały kieliska zádnego.“

Na to wezwanie podaje pan młody dzbanek piwa staroście, który „pocestuje“ drużki i prosi o oddanie rózgi, one jednak śpiewają:

„Nie wydám, nie wydam rozecki zielony,
Jaz sie nám Zosiéjka do nózek ukłoni,“

Panna młoda czyni to w téj chwili, a starosta otrzymuje rózgę i kroczy z nią poważnie w koło, podczas gdy drużki śpiewają:

Nas starosta w tánek jidzie, starostowi grajcie,
A wy chłopcy i dziewcyny troche pocekajcie.“

Obszedłszy w koło, bierze starszą drużkę do tańca, inne śpiewają:

„Nas starosta w tánek jidzie—zielona rózecka,
Jidzie pod nim jidzie grzecná penienecka.“

Przetańczywszy ze starszą, bierze starosta pokolei każdą następną drużkę i tańczy, pozostałe zaś prześpiewują ostatni dwuwiersz. Gdy się ukończy ten taniec, należy według zwyczaju „wyprowadzić“ rózgę do komory, gdzie ma pozostać aż do dnia następnego, więc też drużki śpiewają:

„Za bory rucieny wiánecku, o za bory za bory,
Do tatusiowy, do matusiny, o kumory, kumory.
Otwórz matko kumorecke,
Schowájze nam te rózecke,
Otwórz matko nowy dwór,
Schowájze my wiánek mój.

Wśród tego śpiewu wyrusza całe wesele z izby, aby odnieść rózgę do komory, na czele idzie starosta z rózgą, za nim muzykanci, a za tymi drużki. W komorze oddaje starosta rózgę matce panny młodéj, sam zaś częstuje obecnych piwem i wódką, a następnie odprowadza wesele do izby. Tu muzykanci zajmują swoje miejsce i grają, a młodzież tańcuje do późnéj nocy, poczém wszyscy rozchodzą się do domów i na tém kończą się rózgowiny.

4. Ślub.

Starsza drużka tylko nie opuściła panny młodéj, obydwie razem udały się na spoczynek, bo następnego dnia czeka ich obowiązek zgromadzenia wszystkich „weselników,“ inaczéj niktby nie przyszedł, choć brał udział w rózgowinach. Gdy zawita poranek budzą się słowy:

„Siostruś kochená (dziewczęta w Stalach nazywają się zwykle między sobą siostrami) zaspałyśmy i tak trzeba sie nám predko zwijać, abyśmy zawcasu mogły posprásać.“ Spieszą więc do krewnych i przyjaciół panny młodéj i pana młodego zapraszając starsze osoby na „starostów“ i „starościny“ czyli „swaski,“ a młodych na drużbów i drużki. Są to rozumie się wszyscy ci sami, którzy byli na rózgowinach, zwyczajowi tylko należało zadość uczynić i powtórnie prosić. Na téj ceremonii nie koniec, bo na ich prośby stawili się w domu panny młodéj tylko drużbowie, przyjął ich „napitkiem“ pan młody i prosił, aby sprowadzili zaproszonych przez pannę młodą i starszą drużskę. Drużbowie podają sobie ręce, krzyczą „wiwat,“ i zawierają ugodę: „Chto nie przyprowadzi, kogo má przyprowadzić, ten zapłaci garniec wódki.“ Wśród śpiewów, które nie są obowiązujące, każdy może sobie śpiewać, co mu się podoba, rozchodzą się po wsi. Świetna to chwila dla każdego drużby, gdzie bowiem przyjdzie po drużkę, wszędzie częstują i raczą go tém, co mają w domu najlepszego, „aby sie mu nie przykrzéło cekać, kiedy oni wybierają się na wesele,“ mówimy oni, gdyż drużka, „jako młodá dziewczyna“ nie może być bez opieki na weselu, musi jej ktoś towarzyszyć, zwykle ojciec i matka, ojciec jako starosta, a matka jako starościna wesela.

Skoro drużbowie wszystkich posprowadzali, to musimy sobie zrobić przegląd hierarchii weselnéj. Drużek powinno być siedem, jakto zauważyliśmy na rózgowinach, lecz jak wiemy, wtedy przybrano jeszcze jednę, jest ich zatém osiem, a na czele stoi „starsá druzka.“ Drużbom w liczbie dziewięciu przewodzi „nástarsy,“ czyli „marsáłek.“ „Starościn“ czyli „swasek,“ jest siedem, starostów sie-

dmiu, a między nimi wodzą rej „nástarsá swaska“ i „nástarsy starosta“ w osobie mądréj kobiéty i mądrego gospodarza, który tę godność przyjął jeszcze na rózgowinach.

Zebranych gości, wśród których nie brak i rodziców pana młodego, przyjmują rodzice panny młodéj jak najuprzejmiéj i częstują czém mogą.

Ale właśnie zajeżdżają przed wrota wozy starostów, które mają powieść wesele do kościoła parafialnego. Nie czynionoby tych „ceregielów,“ bo „skoda śkáp,“ lecz do kościoła milę drogi. Czas wybierać się do ślubu, wszystkie więc drużki ubrane świątecznie, z wieńcami na głowach, stają na środku izby i śpiewają:

„Wybierajmy sie reno,
Żeby nam ślub deno,
Jak reno nie pudziemy,
To ślubu nie weźniemy.“

Na to hasło pan młody i panna młoda idą do komory, aby się ubrać. Ubranie pana młodego jest zwykłym ubiorem świątecznym, różni się tylko tém, że zawiązał sobie teraz pod szyją u koszuli „załobno stozke“ tj. wstążkę fiołkowego koloru, a przez pas przewiesił z przodu „prosto smatke,“ białą chustkę, „kartenowo“ dwa łokcie długą, a prostą nazwano ją zapewne dla tego, że jest wzdłuż poskładana; szerokość jéj nie wynosi więcéj, jak szerokość dłoni. Ubranie też drużbów różni się od ubrania pana młodego tylko brakiem owéj wstążki i chustki, a nadto bukietem u czapki, czego pan młody nie posiada. Panna młoda przedstawia się nam tak, jak w dzień pierwszéj zapowiedzi z tą różnicą, że wyszedłszy z komory ma „żałobną“ wstążkę u szyi, a u warkoczy, jak wtedy splecionych, nie ma już połyskujących jeszcze na rózgowinach wstęg różnobarwnych.

Gdy państwo młodzi powrócą, starsza drużka stawia stołek na środku izby, drużki stają do koła i śpiewają:

„Przyjechaliśmy na rozpleciny—co Zosiejka cyni?
Wije wiánecki z jary rutecki na zielony skrzyni.
Jak jéch uwiéła, tak roztocéła po cynowém stole,
Ty (tej) swoji matusi, swoji kocheny robi wielgie zale.
Rozplatájcie sie, rozcesujcie się moje ślicne włosy,
Nie upiéłyście, nie uzełyście u matusie rozkosy.“

Wśród ostatnich słów panna młoda siada na stołku, starsza drużka rozpoczyna jéj rozplatać warkocze, a potem wszystkie kolejno. Gdy warkocz rozpleciony, wtedy matka panny młodéj przynosi „stroje“ i oddaje „starséj swasce,“ a swaska kładzie je pannie młodéj na główie. Stroje te stanowi „prostá smatka“ z białego per-

kalu, taka sama, jaką ma u pasa pan młody i zapina się pod włosami, które spadając na plecy zakrywają jéj końce w znacznéj części, do téj chustki przypięte są wstęgi, ruta i barwinek. Dalszą czynność zapowiadają drużki śpiewem:

„Ładuj matko podwicke —
Zawijá brat siostrzycke,
Brat siostrzycke zawijá,
Ona sie łzemy zaléwá.“

Matka podaje żądaną „podwikę,“ chustkę z białego perkalu na sążeń długości, podobnie jak tamte poskładaną, brat zaś jeżeli jest kawalerem, lub starszy drużba, zakłada ją na szyję panny młodéj zwięzuje „żałobną“ wstążką na piersiach, a końce wyszyte czarnym jedwabiem spadają ku ziemi. Tak ubrana panna młoda wstaje ze stołka, dziękuje drużkom „chytając“ je, a one śpiewają:

„Otwórz matko komorecke,
Wydajże nám te rózecke
Otwórz matko nowy dwór,
Wydajze mi wiánek mój.“

Matka idzie do komory, za nią starosta, potém muzykanci drużki jak w dzień rózgowin, rozumie się, że zawsze przy odgłosie muzyki. Starosta zabrawszy rózgę, prowadzi wesele do izby, a drużki śpiewają:

„Jidzie starosta przez mostek,
Má sukmenke do kostek,
Jidzie starosta do sieni,
Rózecka się mu zieleni.“

Gdy wejdą do izby, drużki rozpoczynają śpiewem.

„Do rzedu, ojcowie, do rzedu,
Błogosławcie swoje dzieci do ślubu.“

Rodzice państwa młodych zasiadają za stołem, starosta staje przy nich z rózgą w ręku i wzywa państwa młodych:

„Penie młody i peni młodá prose do siebie.“ Młodzi stają obok siebie naprzeciw rodziców, a on „przeprásá“ tj. ma przemowę, która brzmi, jak następuje:

„Niech bedzie pokwálony Jezus Krystus“

Wszyscy odpowiadają: „Na wieki wieków ámen.“

Péjstwo modzi!
Rodzice wasi siedli za stołém;
O losie waju dumajo społem;
Oni wás strzegli, jak oka w głowie,
Jak wás chowali, każdy z nás powie,

Wszyscyśmy béli tego świadkemy,
Boześmy zéli z niémy i z wemy.
Zasiedli terá wás błogosławić,
Ze łzemy w ocach z domu wyprawić.
Wieta oboje, jak sie starali,
Jak waju zawsze pielęgnowali;
Niech kazde za to u nóg jéch kleknie,
Za dobrodziejstwa dziekuje pieknie.

Państwo młodzi „chytają" rodziców, rodzice przemawiają: „Niech waju Bóg sceści, błogosławi"—a mówca ciągnie dalej;

Zrosłaś penlenko, kieby kwiátecek,
Kieby na wiesne brwny (1) fiołecek,
Pscółka, jakby cie jeno urziała,
Miodek, jak z kwiatka, wyssaćby chciała,
Schylze sie do nóg matce za stołem.
Oboje przed niom schylcie sie społem."

Państwo młodzi „chytają" matkę panny młodéj, ona do nich przemawia. Niech waju itd. a mówca:

„Ty penie młody piekny urody,
Kieby dob stojis wcasie pogody:
Pieknie cie ociec wypielegnował,
Naucéł prácy, ludziom wychował.
Schylze się do nóg ojcu za stołem,
Oboje przed niém schylcie sie społem.

Państwo młodzi oddają cześć ojcu pana młodego, jak poprzednio i te same słyszą słowa błogosławieństwa. Mówca:

„Kiedy wás Pámbóg złocy oboje,
Różne was w życiu cekajo znoje,
Cekajo znoje, rózne kłopoty,
Ale nie trzeba tracić ochoty,
Byśta sie jino obsermowała,
Zawsze kochała i senowała,
A bieda wema nic juz nie zrobi—
Miélość, sacunek, małzejstwo zdobi—
A Bóg takiego miewa w opiece,
Co sie do Niego kiedy uciece,
A przytém dobry w domu, na dworze,
Dobry na polu, dobry w oborze,—
Co świete Imie Jego senuje,
Zone i dzieci swoje miéluje,
Senuje zawse, miéluje scerze,
Takiemu sceścia nicht nie zabierze.

(1) barwny, mający jeden wybitny kolor.

Ha— kiedy mámy jiść do kościoła,
Zbliście sie jesce razem do stoła,
Niech was rodzice pobłogosławio
I w Imie boskie z domu wyprawio.“

Państwo młodzi padają znowu do nóg rodzicom, ci powtarzają: „Niech waju Bóg sceści, błogosławi.“ Starosta kończy słowy: „Wiwat pejstwo młodzi,“ wszyscy wołają „wiwat“ wśród odgłosu muzyki. Wkrótce nastaje cisza, bo starosta zbliża się do państwa młodych; powitany ukłonem zapytuje: „chto má być pod rózgom“ t. j. marszałkiem, czyli najstarszym drużbą. Państwo młodzi oddają ukłon najstarszemu drużbie i odpowiadają staroście: „On bedzie marsáłkiem.“ Starosta zwraca się do wybranego i tak do niego przemawia: „Słucháj, mój kocheny, ten wiánek oddaje pod twoje opieke i tak cie napominám, abyś go miał w obsermacyi (1), bojinacy źle z tobom bedzie; jesce cie napominám, zebyś bél trzeźwém i oddaje ci całe wesele pod twoje opieke, abyś my w porzodku prowadziéł.“ Wreszcie zapytuje: „Podymujes sie ty na to wszystko?“ Marszałek odpowiada: „Podymuje,“ starosta: „No to dobrze,“ i pyta drużbów: „No, chłopcy, przystajecie na niego?“—odpowiadają: „przystajemy.“ „Tak dobrze, kończy starosta do marszałka, teráz weź sobie jednego do pomocy, czyli podmarsáłka.“ Marszałek wybiera sobie pomocnika i tak przemawia do niego: „Słucháj bracie, ty bedzies do pomocy, gdyby já przypádkowo sie upiéł, albo gdyby padła, co nie dej Boze, na mie jaká niedolegliwość, to ty más moje jinteresa za mnie prowadzić.“ Na co odpowiada podmarszałek: „Dobrze mój, bracie, jile moji mozności, to sie bede starál, abym ci móg wiernie słuzyć.“ Wtedy starosta oddaje rózge marszałkowi, a drużki śpiewają:

Zagráj muzyka rześko, zagráj muzyka rześko,
Kłeniáj sie Jasiu nisko,
Zagráj muzyka rześko, zagráj muzyka rześko,
Kłeniáj sie Zosiu nisko.

Państwo młodzi idą trzy razy koło stołu, przy którym siedzą rodzice i starsze osoby i „chytajo“ pan młody naprzód, a panna młoda za nim, rodziców i wszystkich przy stole siedzących, poczém wychodzą z izby: panna młoda staje przy progu izby w sieni, a pan młody przy progu sieni na dworze. Drużki dają hasło do pochodu śpiewem:

Kołem wiánecku kołem, za tatusiowém stołém,
Jakze nimám kołować, kiej mie tu nie chco chować.

(1) obsermacyja—łać. observatio.

Marszałek woła: „prose za sobom“ i trzy razy obchodzi stół z całem weselem, a kucharka kropi idących święconą wodą. Na stole leżał bochen chléba pokrajany, każdy brał po kawałku, a kiedy wychodził z izby, dał dziadowi, stojącemu przed sienią.

Gdy całe wesele wyszło przed dom, muzykanci grają krakowiaka, a ojciec panny młodéj przynosi napoje i oddaje marszałkowi; marszałek podaje rózgę swemu zastępcy, a sam częstuje drużbów i drużki, poczém rzuca próżną flaszkę i kieliszek przez dach izby. Muzykanci grają „wiwat,“ marszałek odbiera rózgę, przystępuje do niego starsza drużka, wbija na każdą odnogę rózki jabłko, przypina mu do czapki bukiet, a pod szyją zawięzuje czerwoną wstążkę. Wreszcie marszałek daje znak drużkom, a te śpiewają na „odchodne:“

Krzyzu święty prowádźze nás,
Sceśliwo nám godzine dás;
Prowádźze nás Maryjá,
Nie duzá nás kompenijá.

Marszałek mówi: „prose za mnom“ i całe wesele rusza z miejsca, wśród odgłosu muzyki i śpiewu drużek:

Kolejo rucieny wiánecku, o kolejo, kolejo,
Niechze sie z nás dobrzy ludkowie nie śmiejo, nie śmiejo.
Opadly śniegi, opadły mrozy, o na lesie, na lesie,
Umrozo nam pena marsałecka, chtóz wianecek poniesie?
Chwiejo sie lasy, chwiejo,
Bo wiatry po niéch wiejo,
Chwieje sie brzezlna,
Bo jidzie przez nio druzyna.

Na czele téj drużyny postępuje marszałek, za nim muzykanci, a daléj drużki i drużbowie z państwem młodemi; cały orszak zamykają starostowie, swaski i rodzice państwa młodych. Za wsią siadają wszyscy na wozy. Na pierwszym zajmują miejsce państwo młodzi, marszałek, starosta najstarszy i najstarsza swaska. Marszałek śpiewa:

Siadaj Zosiu na woz
Warkocyk se załóz,
Załóz do kółecka,
Juześ nie dziewecka,

a panna młoda musi przejechać „trzy staja“ (koło 180 kroków) stojąc na wozie, i rzucać garściami siano lub słomę. Na co? po co? nikt nie wie. Na innych wozach siedzą drużbowie i drużki ze starszemi osobami. Pędzą „co tylko konie mogą wyskoczyć,“ bo cere-

monie wiele czasu zabrały, a jeżeli za późno przybędą, ksiądz nie da w tym dniu ślubu, a stąd wiele kłopotu. Jeżeli przejeżdżają obok „figury,“ drużki ostrzegają śpiewem:

Druzbowie starostowie zdymujcie magierecki,
Bo tu meka Krystusa Pena i Naświetszy Panienecki.

Po ślubie marszałek zdejmuje jabłka z rózgi, bo według zwyczaju, do niego należą, tylko jabłko ze średniéj odnogi winien oddać „peni młody.“ Potém wszyscy siadają na wozy i jadą do miasta (Tarnobrzeg), gdzie zajeżdżają przed szynk. Tam oczekuje ich „harendárz;“ zastawił stoły i winien wszystkich przyjąć kieliszkiem „nápitku bezpłatnie.“ Czyni on to chętnie, gdyż zaraz potém całe wesele zarządza ogólną składkę na napoje, na czém, rzecz naturalna, gościnny gospodarz wynagrodzi sobie bezinteresowność, z jaką przyjął weselnych gości. Swaski rozkładają na stołach przywiezione ze sobą kiełbasy, słoninę, sér, masło, chleb i tak odbywa się śniadanie, poczém zagra muzyka, potańczą, a wreszcie jadą do domu. Gdy zajeżdżają przed dom pani młodéj, drużki śpiewają:

Wyglodaś ci mie moja matusicku o z koscioła z koscioła,
Juz ci já moja matusicku o nie twoja, nie twoja,
Tylko tego pena, com mu ślubowała,
Com mu przy ontárzu prawo roczke dała.

Przybyłych gości przyjmują napitkiem rodzice pani młodéj, muzykańci siadają na przeznaczoném miejscu i grają poloneza. Wszyscy usuwają się, tworząc wielkie koło, którém idzie marszałek na czele drużbów z rózgą w ręku, drużki mu śpiewają:

Nas marsałek w tánek jidzie, marsałkowi grájcie,
A wy strojne, podstarzałe (1) troche pocekájcie.

Na takie uboczne przymówienie się, bierze marszałek starszą drużkę, obejdzie z nią w koło i znowu oddaje podmarszałkowi, a ten biorąc tę, oddaje swoję następnemu. W ten sposob marszałek „wyprowádzá wszyćkie druzki do tańca,“ przyczém te, które jeszcze nie wyprowadził, przyśpiewują mu przy każdéj zmianie:

Nas marsałek w tánek jidzie—zielona rózecka,
Jidzie pod niém jidzie grzecná panienecka.

---

(1) Odnosi się to do swasek.

Wyprowadziwszy do tańca drużki, wyprowadza potém swaski, ale śpiewu już nie słychać, bo drużki pozostają zawsze ze swaskami w pewnego rodzaju antagoniźmie i docinają im nawet w śpiewie, jak to widzieliśmy i jeszcze zobaczymy.

Ale muzykańci przestali grać, więc marszałek wie, że według zwyczaju, trzeba złożyć rózgę na przeznaczoném miejscu i ustawiać stoły do obiadu. Na przygotowanych stołach zastawia kucharka, co mogła zgotować najlepszego, państwu młodym jednakże kaszę jaglaną bez soli, „aby wiedzieli, jak sie majo o sól starać!“ Rodzice pani młodéj proszą do obiadu, a drużki śpiewają:

Przystrojéła sie nasa peni młodá we stroje
I roztocéła nowe obruse po stole:
Chto prosony, to za stół
Chto postronny to na dwór.

Gdy już wszyscy obiadują, drużki znowu śpiewają:

Gruby barzc (1) moja Zosiu, gruby bárzc —
Czemuś reno nic wstajała,
Na bárzc miałko nie mlélała?
Wstydź sie nás.

Przy końcu obiadu:

A cóz to tem za swachnięki, co siedzo od sáfy,
Co nie zjadły, co nie spiéły, zabrały pod páchy,

Po obiedzie dają rodzice pani młodéj napitek gościom weselnym, a drużki wzywają śpiewem marszałka:

A nas miéły marsałecku wyprowádźże druzki,
Bo sobie pomieny za stołem fartuski.
Nas miéły marsalecku wyprowádźze swaski,
Bo sobie pomieny za stołem zápaski.

Marszałek więc wynosi stoły i wyprowadza z drużbami do tańca najpierw drużki, potém swaski tak, jak to uczynił przed obiadem. Odtąd trwają tańce aż do późnéj nocy, poczém weselni goście rozchodzą się do domów, prócz drużbów, którzy według zwyczaju nocują u rodziców pani młodéj, aby na drugi dzień, skoro świt, rozejść się po wsi i pospraszać na wesele. Całe rano dnia następnego trwa zabawa, tańce i pijatyka u rodziców pani młodéj, koło południa

(1) Barszcz jest zwykle pierwszą potrawą.

jest obiad z temi samemi śpiewami i wyprowadzaniem potém do tańca, co i dnia poprzedniego. Po południu zabiera starsza drużka całe wesele do domu swych rodziców i daje „podwieczorek.“ Na tańcu i gwarnéj rozmowie schodzi tu do wieczora, potém zaś wracają wszyscy do domu pani młodéj na „kolacyjom,“ po któréj ma się odbyć ostatni akt weselny t. j. czepiny.

5. Czepiny.

Pierwszą sceną czepin są „odprowadziny“ pani młodéj do domu pana młodego. Zaraz po wspomnianéj dopiéro kolacyi ukryła się pani młoda a drużki śpiewają:

Wina, drużbowie, wina,
Njma Zosiejki nima;
Posła ona do lasa,
Zginie Zosiejka nasa.

Po krótkiéj pauzie:

Nie trzeba Zosiejki sukać,
W okieniecko pukać,
Przydzie ona tu sema,
Jak owiecka do siena.

Drużbowie nie zważają na takie zapewnienie, ale rozbiegają się po wszystkich zabudowaniach i kątach za panią młodą. Przy téj sposobności, co który napotka ze sprzętów domowych, zabiera ze sobą i zachowuje w dogodném miejscu, aby potém mógł zabrać do domu pana młodego na „zápomoge“ dla młodéj gospodyni. Pani młodéj skutkiem tego trudno znaleść, bo zresztą ukryła się w domu sąsiada. Dopiéro gdy każdy z drużbów obmyślił już coś dla niéj, rozpoczyna się szukanie w sąsiedztwie. Wreszcie znalazł ją jeden na piecu u sąsiada, przyprowadził i oddał marszałkowi; jego zastępca trzyma już stołek, na którym ma być zaczepiona. Rodzice pani młodéj idą do komory: matka przynosi poduszki i oddaje najstarszemu staroście, aby je zaniósł dla młodéj pary; ojciec resztki napojów, którymi obdziela uczestników wesela, dziękując za „przysługe.“ Wreszcie drużki śpiewają:

Zostaj z Bogiem piec, powała,
Bo ja sie tu wychowała,
Zostaj z Bogiem piec i progi,
Chodziéły tu moje nogi.

Marszałek trzyma panią młodą pod rękę z lewéj strony, w prawéj ręce podniósł rózgę do góry i woła: „Penowie muzykenci i całe

wesele, prose za sobom." Drużbowie rozpierzchnęli się, aby zabrać ukryte graty, a drużki śpiewają:

Weder, Zosiejku, weder,
Od tatusiowéch wegieł.
Jakże nimam wedrować,
Kiej mie tu nie chco chować.

Skoro wesele wyszło przed sień, zjawiają się drużbowie i jeden dzwoni w zabrany kocieł, inny bije w konewki, inny miądli w miądlicę (1) i t. d. Przeraźliwy ten hałas przerywają drużki śpiewem:

Zasmuciéły sie, zasmuciełу sie matusine scieny,
Bo z niech wyleciál, bo z niech wyleciál ptásek maloweny,
O zaświéciéły, o zaświéciéły wszystkie gwiázdy na niebie,
Prowadzi Jasio, prowadzi Jasio o Zosiéjke do siebie.

Wesele wśród tego śpiewu wyruszyło z miejsca: marszałek nie mało musi się naforsować, bo pani młoda chce się koniecznie wyrwać i wrócić do domu rodziców. Napróżno, bo marszałek silniejszy od niéj i przyprowadził ją już na czele wesela przed wrota pana młodego i drużki śpiewają:

Zatocone wrotka
Pierzcionkiem ze złotka,
A chtóz jéch nám odtocy—
Niech Jasiéjko wyskocy.

Pan młody wychodzi, otwiera wrota, bierze pod rękę swoją żonę i prowadzi przed sień domu. Drużki śpiewają:

Otwórz matko nowy dwór,
Niesiemy ci plewów wór.

Matka pana młodego otwiera drzwi, młodzi padają jéj do nóg i przestępują progi, a drużki zawodzą:

Wysokie Jasiéjku porobiéłeś progi,
Bede uciekała połámie se nogi.

Gdy wszyscy weszli do izby, drużki śpiewają daléj.

Uciesély sie, uciesiély sie Jasiéjkowe ścieny,
Bo do niéch wleciál, bo do niéch wleciál ptásek maloweny.

Matka pani młodéj złożyła tymczasem przyniesiony ze sobą bochenek chléba na stole. Pan młody oprowadza żonę trzy razy

---

(1) Miądlica, przyrząd do wybijania ze lnu lub konopi paździerzy, czyli do miądlenia.

koło stołu, a potém oddaje marszałkowi, który staje z nią przed muzykantami i udaje, jakoby nie wiedział, co ma śpiewać, a wreście nuci:

„Stolárz ci ja stolárz z wysoki górecki,
Bedzies chłopca miała, to ci zrobie niecki;
Stolárz ci ja stolárz, z cisowego lasu
Zrobie ci kolebke Zosiéjku zawcasu."

Przetańczy raz koło i znowu śpiewa:

„Nima ci to nima, jak to chłopu zona
Zaprzogá do wozu, nie potrzeba konia,
Pojedzie do lasu i drzewa nakładzie,
Jeszce sie ji pytá, cy juz prawie bedzie.
Wyprzogá jo z wozu, zaprzogá do brony,
Tak to trzeba ucyć ladajakie zony;
Wykładá jo z brony, zaprzegá do sochy,
Tak trza ucyć robić matcyne piescochy,
Wyłozéł jo z sochy załozéł do radła —
Ty moja Zosiéjku mozebyś co jadła?
Wykładá jo z radła pusca jo na ugór (1),
Mas ci tu Zosiéjku tráwisie na wybór" (2).

Znowu przetańczy raz koło z panią młodą i oddaje ją podmarszałkowi, a ona „chyta" go i staje z nowym drużbą przed muzykantami, ten śpiewa:

„Z góry woda jidzie do doliny schodzi,
Zádná to niewiasta (3) matce nie wygodzi.
Chociazby niewiasta złote kwiaty séła,
Matka sie ji pytá: Gdzieś ty suko béła?
Ja bede robiéła, a ty bedzies spała?
Pokáz my tọ bydło, coś my go przygnała.
— Wiedziałaś ty matko, zem bydła nimiała,
Po cóześ ty do mie syna przysélała.
— Cicho bodź, niewiasto, nie otwiéraj geby,
Jak wezne kemienia, wybije ci zeby.
— Nie na twojém já sie chlebie wychowała,
Zebyś ty mie matko zeby wybijała."

(1) Ugór, pole leżące odłogiem.

(2) Pożycie małżeńskie Stalowiaków jest wogóle wzorowe, małżonków wiąże zawsze miłość wzajemna i szacunek—złe obchodzenie się męża z żoną należy do wyjątków, źle widzianych i potępianych. Pieśń ta widocznie stara się allegorycznie przedstawić tylko trudy rozmaite, jakie czekają młodą małżonkę, albo też jest reminiscencyą gorszych czasów.

(3) Młoda synowa nazywa się niewiastą; niewiasta zwykle wiele musi wycierpieć od matki męża, jeżeli z nią mieszka.

Przetańczy w koło i oddaje następnemu drużbie, a ten śpiewa:

„Nie chciałaś Zosiéjku suchéch drewek robać,
Teráz ci sie bedo o twój łébek łámać;
Nie chciałaś Zosiejku cebrem wody nosić,
Teraz je bedzies mieć pod océma dosyć."

Czwarty drużba:

„Do boru, do lasu wołaski gnała,
Wybity, wysyty fartusek miała
Chto ci go wysywał? semi dworzenie,
Cerwoném jedwabiem do koła ziemie."

Piąty: „Da moja Zosiéjku, moje siwe ocy,
Pocałuj mie w gebe, jaz ci łeb odskocy,
Da moja Zosiéjku, co ci u mie bedzie?
Bedzies ty siádała z kuremy na grzedzie."

Szósty: „~~Pragnołeś~~ Jasiéjku na bogato zone,
A teráz se uwás, cem pojedzies po nie?
Pozyc se Jasiéjku koweuego wozu,
U Záka (1) użdzienic u Pázia (1) powrozu,
Zaprzezes goslora i goske siodłato,
Pojedzies Jasiéjku po zonke bogato:
Goslor bedzie gegáł, goska gegotała,
Bedzie se Zosiéjka w paradzie jechała."

Siódmy udaje, że nie umie śpiewać, wreszcie tak nuci:

„O sieno, sieno, koso siecone,
Przewróć go Zosiéjku na drugo strone.
O sieno, sieno, bedzie sie siekło,
Bedzie sie grabiélo, jak bedzie cieplo.
O sieno, sieno, pod sienem woda,
Nasa Zosiéjka, kieby jagoda."

Ósmy: „A juz to jest po weselu, juz jest i po ślubie,
Chto se złapáł przepiórecke, niechze se jo skubie.
Da moja Zosiéjku juz to po weselu,
Schowaj se wianecek w ogródecku w zielu.
Siáłaś rutke, siála, nie wiedziałaś na co,
Jábym ci powiedziáł, zebyś my dała co.
Siáłaś rutke, siála, nie bedzies ji zbiérać,
Tylko ci sie bedzie w polu poniewierać."

Dziewiąty: „Proś Boga Zosiéjku, kiedyś sie wydała,
Zebyś za rok chłopca, jak barena miała.

(1) Nazwiska wieśniaków w Stalach.

Jak siedzies na stołku (1) porzij do powały,
Zeby twoje dziátki bure ocy miały.
Porachuj Zosiéjku te dziury na dachu,
Nie bedzies ty miała ty nocéjki strachu."

Skoro drużbowie ukończyli śpiewy i taniec z panią młodą, czynią to samo kolejno drużki, a pani młoda podobnież każdéj po przetańczeniu dziękuje „chyteniem za nogi."

Starsza drużka śpiewa:

„Kolegácka za moz jidzie
Kolegácki juz odydzie,
Kolegácka za moz posła,
Kolegácek juz odesła.
Da moja Zosiéjku kontrowałaś (2) z nemy,
Juz terá nie bedzies, jino z kobiétemy.
Juz sie rozerwała na przystawie groblá,
Chtóredy chodziéła Zosiéjka nadobná."

Druga drużka:

„Siadła se Zosiéjka na biáłém kemieniu
Cese se warkocyk po prawém remieniu,
Cesała, cesała i tak se gádała:
Rucieny wiánecku, nie bede cie miała.
Ty moja Zosiéjku nie rozmyśláj wiele,
Juz ci twój wiánecek w Michockiém (3) kościele;
W Michockiém kościele pod wielgiém ontárzem—
Bedzies ty Jasiéjku dobrém gospodárzém.
Leciały zórawie jeden nimiáł páry,
Lepsy gdowiec młody, niz kawaler stáry."

Trzecia: „Objecháłeś Jasiu po Krakowski stronie,
Nie chciała cie zádná wróciéłeś do mie.
Pojechał Jasiéjko na polowenie,
Zdybał se Zosiéjke jak malowenie.
Kupze my Jasiéjku chustecke z kwiátkemy,
Zebym sie zgadzała z twojemy brátemy;
Kupze my Jasiéjku chustecke z cerecko (4),
Zebym sie zgádzała z twojo rodzinecko;
Kupze my Jasiéjku chustecke z lelijo,
Zebym sie zgádzała z twojo feniel ljo." (5)

(1) stołek, na którym będzie zaczepiona.
(2) obcowałaś.
(3) Miechocin, wieś, w której znajduje się kościół parafialny.
(4) cerecka, wyszywanie, desenie.
(5) feniella, familia.

Czwarta: „Zalecalo my sie sterech kocbenecków,
Kazdemu zem dała po podarunecku:
Jednemu zem dała jedwabno chustecke,
Drugiemu zem dała piórko za cápecke,
Trzeciemu zem dała śrebny pierzcionecek,
A cwartemu rucieny wiánecek.
Da moja matusia trzy córecki miała,
I tak ci nám kazdy majotecek dała:
Jedny dała konie, štery sade woły,
Drugi dała pole na rogu studoły,
Mie tylko namłodsy jigłe, náparztecek,
Dałaś mie matusiu w ciezki wyrobecek.“

Piąta: „Zapłaces Zosiéjku, zaplaces niebogo,
Boś se polubiéła, niewiedziala kogo;
Ulubiéłaś ci se Jasiéjka ładnego,
Nie bedzies ty miała gospodárza z niego.
Płynie gosior biały i gosecka siwa,
Da moja Zosiéjku juześ ty sceśliwá.
Juześ ty sceśliwá do zgonu semego,
Boześ ty dostala Jasiéjka ładnego;
Dostaś Jasiéjka kieby malowenie,
Pewnie sie nám zadny taki nie dostenie.
Nie płac Zosiu nie płac, wiánecka nie załuj,
Dej ty na Mso świeto, Bogu sie okfiaruj,
Bogu sie okfiaruj i Matuchnie Jego,
To pewnie nie doznás nic na świecie złego.“

Szósta: „Wienuj mie matusiu, wienuj mie, wienuj mie,
Dej my štery krowy, dwa woły, dwa konie.
Pojmnijze mie pojmnij, mój Jasiéjku pojmnij,
Bo mie wywiénuje peni matka kójmy;
Peni matka kójmy, a pán ociec wozem,
Bedzies ty Jasiéjku dobrém gospodárzem.“

Siódma: „Płynie cyrenecka od lodu do lodu (1),
Nauc sie Zosiéjku u matusie rzodu,
U matusie rzodu takze i roboty,
Zebyś ty nimiała od ludzi sromoty.“

Ósma: „Jedna ci ja jedna u swoji matusie,
Nie pude ja za cie Jasiu wytrybusie (2);
Nie pude za ciebie Jasiéjku nie pude,
Bo mas chałupine, jak na rzepie bude.
Płynie łódka płynie i dzieli sie z wodom
Pierse i ostatnie me śpiewenie z tobom“.

---

(1) lod—ląd.
(2) wytrybus—hultaj.

Ostatnia drużka oddaje panią młodę marszałkowi, jego zastępca stawia stołek na środku izby pod belkiem, gdzie wyrznięty krzyż; na stołku siada marszałek z rózgą w ręku, a pani młoda na jego kolanach; z tyłu przytrzymuje marszałka podmarszałek, bo pani młoda się wyrywa i łatwo mogłaby go wywrócić. Trudno jéj dać rady przychodzi zatém dwóch drużbów w pomoc; jeden trzyma jéj ręce drugi nogi. Drużki stanąwszy kołem przed panią młodą, śpiewają:

„Już to prec, moja Zosiu, już to prec,
Uplotecki do skrzynecki wzioć cepiec.
Zakukała kukułecka na kołku,
Zapłakała Zosienecka na stołku,
Zakukała kukułecka na ślewie,
Zapłakała Zosienecka sceśliwie.
Zakukała kukułecka, przestała,
Cegoś się ty mocny Boze dockała?
Dockałam sie ślicny sławy dockała,
Jako ptasek leśny trawy dockała.“

Skoro drużki przestały śpiewać, przystępuje do pani młodéj starsza swaska, owa mądra kobiéta, zdejmuje jéj z głowy stroje i wkłada „chemełkę“ (1), pani młoda prosi drużbów, aby jéj ręce puścili, poczem łamie chemełkę i rzuca na ludzi, łamie drugą i trzecią a gdy swaska ma w ręku ostatnią, prosi drużbów, aby przytrzymali ręce pani młodéj, podnosi jej włosy i wkłada chemełkę, następnie czepek, sporządzony z „siwych“ nici i wiąże białą chustkę. Marszałek przypatruje się pani młodéj i śpiewa:

„Nasa starościno pilibyście piwo,
Aleście Zosiéjke zacepiéli krzywo.“

Starościna bierze panią młodą od marszałka, a on wyrzuca stołek do sieni. Starościna stanęła z panią młodą przed muzykantami i śpiewa:

„Wyleciał ptasek z graba,
Juześ Zosiéjku baba,
Wyleciał ptasek z wiśni,
Juz sie Zosiéjka pyśni;
Wyleciał ptasek z trzasek
Juześ Jasiéjsku ojcasek.
Wcoraj béla u pszenice, dzisiáj u zyta,
Wcoraj béla penienecka, dzisiáj kobiéta.
Miała matka štery jabka, a córusia pieć,
Kupiéły se Jasienéjka za wszyćkie dziewieć.

(1) Chemełka jest to obrączka z cienkiéj gałązki dębowéj.

W poniedziałek na Majdenie (1)
Mámy bydle na sprzedenie,
Cy chto kupi, cy nie kupi,
Pogonimy do chałupy."

Pan młody rozumie, że on jest kupcem, przychodzi tedy do swaski i chce „to bydle kupić," swaska mu oddaje, „aby je wpierw przeprowadziéł." Pan młody idzie w taniec z panią młodą, ale ta udaje kulawą, wraca więc do swaski i mówi: „Já koślawego bydlecia kupować nie chce." Swaska odbiera panią młodą, tańczy z nią i śpiewa:

„Ani kulá ani ślepá,
Przypatrzcie sie, jak to cieká."

W istocie pani młoda tańczy doskonale, więc pan młody bierze ją od swaski, przetańczy kilka razy w koło, a widząc, że nie kuleje, przychodzi do swaski i mówi: „Teráz wám ze nio zapłace." Przynosi piwa i wódkę, oddaje swasce, która wszystkich obecnych częstuje. Marszałek tymczasem chodzi z rózgą po izbie, omiata wszystkie kąty, wreszcie odwięzuje od niéj krajkę i stążkę, krajkę zabiera dla siebie na pamiątkę, wstążkę oddaje podmarszałkowi. Państwo młodzi zbliżają się do marszałka, „chytają" go i proszą o rózgę, którą następnie przechowują w komorze. W końcu panna młoda przystępuję do stołu, na którym jéj matka nakrajała chleba, a potém kiełbas i sera, zabiera to wszystko w zapaskę, chodzi po izbie i rozdaje obecnym. „Má sie to nazywać, ze juz po weselu." To też muzykanci grają „na pośratenie" (na pożegnanie), i odjeżdżają bo to już dzień się zbliża. Reszta wesela bawi się jeszcze ku południowi; „swaski kójco kiełbáski, druzki—okraski, starostowie ogryzają kości po krowie, a drużbowie majo dość w głowie."

Taki jest przebieg stalowskiego wesela, które starałem się wiernie, ze wszyskiemi szczegółami przedstawić. Nie trzeba zbyt wielkiego znawcy starożytności słowiańskich, aby poznać, w jak odległe czasy sięga początek tego obrzędu, mianowicie do owéj epoki pogaństwa, kiedy u Słowian jak i u innych narodów, kupowano żony wszak wyraźna reminiscencya tego faktu tutaj widoczna. Jaka postać była tego obrzędu, nie mówię już w owych zbyt odległych czasach, ale w późniejszych, przed wprowadzeniem Chrześciaństwa, któż to

(1) Majdan, miastecko pobliskie.

dziś odgadnąć zdoła? Należałoby jednak zbierać takie okruszyny weselne po różnych stronach Polski, badać i spisywać te obrzędy niemal w każdéj wsi, a może udałoby się jeszcze komu z nagromadzonego materyału i z porównania otrzymanych rezultatów, z podobnemi rezultatami badań u pokrewnych nam narodów, skreślić umiejętny obraz téj strony życia przodków naszych i rzucić iskierkę światła na owe odległe, tak mało znane czasy. Pracę niniejszą przedsiewziąłem z namowy zacnego Prof. Dr. L. Malinowskiego, jeżeli więc stanie się ona taką okruszyną materyału, z jakiego ma powstać umiejętne dzieło, nie mnie, ale Jemu należy się zasługa.

Szymon Matusiak.

Z DZIEDZINY PRZYRODY.

Badania profesora Radziszewskiego nad fosforescencyą ciał organicznych i istot żywych.

Śród dokładnie rozwiniętych i teoretycznie uzasadnionych rozdziałów nauki o świetle, mało znaleść można ustępów równie zagadkowych i tajemniczych, jak odwiecznie znane zjawisko *fosforescencyi*, pod którą to nazwą rozumie się własność wielu ciał słabego świecenia w niskiéj temperaturze. Nazwa pochodzi zapewne od fosforu, świecącego w ciemności, ale już na wiele wieków przed odkryciem tego ciała wiedziano, że własność podobną posiada wiele zwierząt morskich, robaczek świętojański, drzewo gnijące i zgniłe ryby. Trudność wytłómaczenia tego zjawiska powiększa to, że można je wywołać różnemi bardzo sposobami; niekiedy wystarcza wstrząśnienie ciała, uderzenie elektryczne,—tak np. niektóre odmiany krzemionki świecą przy rozbijaniu ich, mika przy łupaniu, cukier wstrząśnięty wyładowaniem butelki lejdejskiéj; niektóre znów inne ciała fosforyzują po lekkiem ogrzaniu, ale najlepiéj poznaném było dotąd świecenie przez insolacyę, tj. przez wystawienie ciał na działanie promieni słonecznych. Do téj kategoryi należą tak zwane fosfory, jak spat boloński, daléj fosfór Balduina, otrzymywany przez wyżarzenie kredy z białkiem, fosfór Cantona—przez wyżarzenie skoróp ostryg z proszkiem siarkowym. W nowszych już czasach poznano znaczną liczbę takich fosforów, wspanialéj jeszcze świecących, mianowicie związki siarki z metalami alkalicznemi i ziem alkanicznych, a przedewszystkiém siarki strontu, baru i wapnia. Zresztą i owe dawne fosfory tym samym związkom własność świecenia zawdzięczają, skorupy bowiem ostryg żarzone z siarką tracą najpierw części swe organiczne a następnie zawarty w nich wapień łączy się z siarką. Substancye te zamykają się zwykle w rurki szklane,—jeżeli je wystawi-

my przez czas jakiś na działanie promieni słonecznych, a następnie przeniesiemy do ciemnego miejsca, to wydają one światło wprawdzie słabe, ale połyskujące pięknemi i rozmaitemi barwami. Barwa zależy nietylko od natury substancyi, ale téż od jéj temperatury i od sposobu jéj przyrządzenia. Od roku zresztą ogół więcéj zapoznał się z tém pięknéin zjawiskiem, ukazały się bowiem w handlu różne przedmioty pokryte przetworem fosforyzującym, a zwanym farbą świecącą Balmaina, zwykłe światło dzienne, padając na nie w ciągu dnia, wystarcza do wywołania w nich fosforescencyi trwającéj przez całą noc. Pudełka od zapałek, tarcze zegarów itp. przedmioty, materyałem tym powleczone, oddają drobne ale istotne usługi; czy jak sądzi wynalazca, farba ta świecąca nabierze znaczenia donioślejszego, np. do pokrywania nią okrętów, przez coby się znacznie zmniejszyła liczba starć statków na morzu, powiedzićć dotąd nie można.

Dział ten zjawisk fosforescyjnych najlepiéj, a przynajmniéj najobszerniéj zbadanym został przez zmarłego przed kilku laty Becquerela; przekonał się on, że prawie wszystkie ciała własność tę okazują, wprawdzie bardzo krótko i to jedynie po nader silném oświetleniu; do badań tych obmyślił on przyrząd bardzo stosowny, fosforyskop, w którym ciało badane umieszcza się między dwiema obracającemi się tarczami, posiadającemi wycinki umieszczone nie wprost jeden naprzeciwko drugiego; przez jeden z tych otworów pada światło, przez drugi obserwuje się ciało badane. Okazało się w ten sposób, że najdłuższy czas, przez jaki ciało po usunięciu oświetlenia fosforyzuje, wynosi 35 godzin, gdy są ciała świecące zaledwie przez $\frac{1}{10.000}$ sekundy.

Nietylko zresztą promienie słoneczne wywoływać mogą fosforescencyę; skutek ten wywiera też światło płonącego magnezu oraz elektryczne, napróżno jednak chcielibyśmy go wywołać światłem świecy, lampy lub też gazowem. Łatwo stąd wnieść, że zjawisko świecenia wywołują głównie promienie fijoletowe i pozafijoletowe, których te ostatnie światła nie posiadają; domysł ten potwierdzają w zupełności badania spektralne, jeżeli bowiem światło słoneczne rozszczepimy na widmo, to ciała fosforyzujące pozostają ciemnemi w barwie czerwonéj, żółtéj i zielonéj, najsilniéj zaś pobudzone zostają w niewidzialnéj pozafijoletowéj części widma.

Rodzaj ten fosforescencyi, to jest wywoływanéj przez insolacyę, jest niewątpliwie blisko spokrewnionym z innym działem zjawisk świetlnych, obejmowanym nazwą fluorescencyi. Ale przy fluorescencyi ciała wydają blask wtedy, gdy na nie padają promienie świą-

tła, i świecenie to ustaje wraz z oświetleniem, przy fosforescencyi zaś świecenie występuje dopiéro, gdy oświetlenie trwało już przez pewien czas i kończy się dopiéro po upływie krótszego lub dłuższego czasu po przerwaniu oświetlenia. Jakkolwiek wszakże dwie te kategorye zjawisk wydają się tak zbliżone, to jednak pomiędzy znajomością naszą jednych a drugich zachodzi wielka różnica. Dzięki dawniejszym pracom Stokesa i nowszym Lommela objaśniamy zjawiska fluorescencyi w ten sposób, że fale eteru, którego drgania objawiają się jako światło, udzielają ruch swój cząsteczkom ciał, co daje początek nowym falowaniom świetlnym. Chcąc pod tęż zasadę teoretyczną podciągnąć i objawy fosforescencyi, trzeba przypuścić, że w jednych ciałach drgania te łatwo mogą być wywoływane, ale téż i szybko ustają, w innych zaś trzeba dłuższego czasu, aby drgania te nabrały dostatecznéj siły, ale téż raz wywołane trwać mogą dłużéj; pierwsze z tych ciał fluoryzują, drugie fosforyzują.

Jakkolwiek w obecnym stanie nauki przypuszczenie to ma jeszcze cechę dowolności, widzimy wszakże, że nasuwa się ono bez zbytniego naciągania, nie łatwo jednak dałoby się tłómaczenie to zastosować do objaśnienia innych rodzajów fosforescencyi.

Co najsilniéj uderza nas w całém tém zjawisku, jest to, że mamy tu do czynienia ze światłem występującém bez współczesnego objawu ciepła. Przywykliśmy bowiem do poglądu, że ciała świecą dopiéro wtedy, gdy temperatura ich dostatecznie wysoko jest posuniętą; badania dokładniejsze nauczyły, że każde ciało zaczyna świecić barwą czerwoną wtedy, gdy temperatura jego dochodzi 500°, i że kolor ten coraz bardziéj przechodzi w biały, w miarę jak temperatura ciała wzrasta; jakże przeto pojąć owo światło, któremu ciepło nie towarzyszy, jak zrozumieć ciało, które świeci, nie grzejąc,—zkąd zwłaszcza pochodzi blask istot organizowanych, żyjących, których życie przecież ustaje w temperaturze nieco wyższéj nad średnią?

Wiadomo już oddawna, że niektóre ciała organiczne, dostatecznie ogrzane, świecą, zanim jeszcze następuje właściwe palenie,—w ten sposób według Pelletiera zachowają się oleje eteryczne i tłuste, wosk, cukier, drzewo, prof. zaś Radziszewski okazał, że znaczna liczba innych ciał organicznych podobnąż posiada własność, i że zjawisko to w ogóle występuje dopiéro w temperaturze 150—170°,—nadto niezbędnym jego warunkiem jest obecność tlenu. Do objaśnienia jednak światła wydawanego przez istoty żywe spostrzeżenia te zgoła się nie nadają, powyższe bowiem substancye organiczne świecą dopiéro w temperaturze niszczącéj wszelkie objawy życia.

Dla tego to silny rozgłos znalazła praca prof. Radziszewskiego ogłoszona w r. 1877, a ucząca, że są ciała organiczne, które świecić

mogą i w temperaturze bardzo niskiéj. Pierwszém ciałem, na którém prof. Radziszewski zjawisko to dostrzegł, była lofina; niezbędnemi warunkami jéj świecenia, które następuje już w temperaturze nie dochodzącéj nawet 10°, są: obecność tlenu, oddziaływanie alkaliczne i powolne działanie chemiczne; a przetwory, będące następstwem tego działania, poprowadziły do wniosku, że świecenie to jest następstwem powolnego utleniania lofiny, a raczéj substancyi wytwarzających się w niéj pod wpływem alkalijów. Uwaga ta posłużyła uczonemu profesorowi lwowskiemu za punkt wyjścia do odkrycia całéj grupy ciał analogicznie się zachowujących.

Z doświadczeń jego wypływa, że przy pewnych, oznaczonych warunkach, wszystkie prawie olejki eteryczne fosforyzują, jak np. olejek terpentynowy, cytrynowy, kajeputowy, lawendowy, rozmarynowy itd. Niektóre z nich świecą bez żadnych dodatków, w temperaturze wrzenia, po prostu przez zetknięcie ich par z powietrzem atmosferycznym, w ogólności jednak świecą one daleko silniéj, jeżeli się je ogrzewa z roztworem wodanu potażu, a przytém silnie wstrząsa naczynie, w którem się znajdują. W dalszym ciągu wykazuje prof. Radziszewski, że do ciał świecących zaliczyć należy węglowodory aromatyczne, tłuszcze, zwłaszcza oleje tłuste, oraz alkohole.

W ogólności różne ciała organiczne świecą wtedy, gdy przy oddziaływaniu alkaliczném łączą się z tlenem, mianowicie téż z tlenem będącym w stanie czynnym, a powolne utlenianie dla tego tak sprzyja fosforyzacyi, że przy niém wytwarza się tlen czynny. Powstaje on wprawdzie i przy utlenianiu gwałtownem, wtedy jednak zachodzi istotne, właściwe palenie. Ale właśnie przez to zestawienie dwu zjawisk—fosforescencyi i palenia znajdujemy drogę wiodącą do objaśnienia istoty pierwszego z nich. Palenie, jak wiemy, jest objawem łączenia się atomów tlenu i w ogóle atomów ciał z częściami składowemi ciała palnego; tam gdzie łączące się atomy spotykają się, uderzają o siebie nawzajem, powstaje w ogólności takie podwyższenie temperatury, że wywołuje świecenie, a stosownie do tego, czy zachodzi ono tylko w punktach odosobnionych, czy też w wielu na raz miejscach, nazywamy zjawisko to fosforescencyą lub też paleniem.

Winniśmy tu wszakże wytłómaczyć, co rozumiemy pod nazwą tlenu w stanie czynnym, lub po prostu tlenu czynnego. Według dzisiejszych pojęć chemicznych o budowie ciał, przyjmuje się, że najdrobniejsza cząstka tlenu (i w ogólności każdego pierwiastku) będąca w stanie swobodnym, składa się z dwu atomów ze sobą związanych;

w tak złączonych między sobą atomach część działalności chemicznéj, czyli ruchu chemicznego, przechodzi na utrzymanie wzajemnéj ich równowagi, ale skoro atom tlenu oswobodzony zostanie od tak ścisłego sąsiedztwa ze swym towarzyszem, działalność jego, energija jego ruchu wzrasta i objawia się tém, że przy uderzeniu o cząsteczkę ciała organicznego, a w szczególności o atom węgla, wytwarza się tak wysoki stopień ciepła, że powoduje to świecenie w miejscach, gdzie połączenie chemiczne zachodzi. Taką podwyższoną działalność chemiczną pierwiastków znała dobrze i chemija dawniejsza, ale nie tłómacząc jéj teoretycznie, poprzestawała na objaśnieniu, że występuje ona *in statu nascendi*.

Oddziaływanie alkaliczne, które według prof. Radziszewskiego, stanowi tak ważny warunek fosforescencyi, objaśnia się tém, że ułatwia ono oswabadzanie się tlenu czynnego, jako też i tém, że ilość ciepła, wywiązująca się przy połączeniu tlenu z węglem jest, jak się zdaje, większa w roztworze alkalicznym aniżeli w kwaśnym.

Teorya ta przeto fosforescencyi polega na tém, że według niéj fosforyzuje nie cała powierzchnia ciała, ale jedynie tylko oddzielne jéj punkta; oku nieuzbrojonemu cała wprawdzie massa wydaje się świecącą, ale za pośrednictwem mikroskopu dostrzedz można, że to rzeczywiście świecą tylko rozrzucone jej punkta, a to też tłómaczy, dla czego działanie cieplikowe jest przy tém tak słabe, że uchodzi bardzo nawet czułym termometrom; ale wiadomo, że grzyb fosforyzujący *Agaricus olearius* wydaje podczas świecenia daleko więcéj kwasu węglanego niż w innym czasie, w pierwszym zatém razie utlenianie zachodzi żywiéj, a tém samém rozwija się wtedy i więcéj ciepła.

Według tego przeto poglądu, ciała fosforyzujące posiadają różną bardzo temperaturę w różnych swych punktach; przypuszczenie to wszakże nie przedstawia istotnych trudności. Maxwell bowiem okazał dla gazów, że cząsteczki ich posiadają różną prędkość, różną zatém siłę żywą, a tém samém i rozmaitą temperaturę.

Ruchy cząsteczek ciał stałych i ciekłych są odmienne aniżeli w gazach, ale zasada Maxwella może i co do nich znaleść zastosowanie. Ogólna temperatura ciała może być niską, ale to nie przeszkadza zgoła temu, iżby niektóre jego cząstki posiadały temperaturę bardzo wysoką. Fosforescencya nie jest zatém, jak to sądzono wogóle dotąd, świeceniem bez ciepła, ale polega na świeceniu oddzielnych cząsteczek rozgrzanych do temperatury odpowiednio wysokiéj, mamy tu do czynienia jedynie ze szczególnym przypadkiem, z odrębnym rodzajem gorenia ciał.

Uwagi powyższe posłużyć też mogą wybornie do wyjaśnienia najbardziéj zagadkowych objawów fosforescencyi t. j. świecenia ciał

organizowanych, żywych. Prof. Radziszewski wykazuje przedewszystkiém, że światło to wydawane przez istoty żywe jest podobne do światła badanych przez niego związków fosforyzujących. W ogóle światło ciał organizowanych jest białe, jak u drzewa butwiejącego, niekiedy też posiada odcień zielonawo-żółty, jak u wielu zwierząt morskich, najczęściéj jednak przeważa zabarwienie zielone jak u robaczka świętojańskiego. Ale i światło przytoczonych wyżéj związków organicznych także jest wogólności białém z odcieniem zielonawo-żółtym.

W organizmie zwierząt i roślin napotykamy daléj mnóstwo ciał które w pewnych warunkach fosforyzują; do ciał takich należą: lecytyna, tłuszcze, cholesteryna, olbrot, wosk, olejki eteryczne, kwasy tłuszczowe, cukier gronowy. Wprawdzie ani w organizmach żywych ani też zmarłych nie napotykamy zasad nieorganicznych, potażu, sody, wapna, magnezyi, przynajmniéj w większéj ilości, a widzieliśmy wyżéj, że obecność tych zasad jest niezbędnym warunkiem fosforescencyi; ale też prof. Radziszewski wykazał, że niektóre zasady organiczne, jak np. cholina i neuryna, występujące często w ciałach żywych, wybornie zastąpić mogą wspomniane wyżéj alkalija i ziemie alkaliczne. Zestawienie tych faktów uczy, że teorya świecenia związków organicznych, podana przez prof. Radziszewskiego, rozjaśnić może i zagadkę świecenia istot żywych.

Dla usunięcia niektórych nasuwających się tu wątpliwości bardzo ważną jest okoliczność, że przy świeceniu ciał organicznych niesłychanie drobne ich ilości działaniom chemicznym ulegają. Tak np. ilość mniejsza niż dwa gramy lofiny, polana 25 centymetrami sześciennemi stężonego alkoholowego roztworu potażu, świeciła bezustannie przez 20 dni i nocy, co znaczy, że świecenie 25 centymetrów sześc. cieczy wymagało na godzinę zaledwie 0,00379 grama lofiny i 0,000607 grama tlenu. W zastosowaniu do ciał żywych zwrócić należy też uwagę na to, że wszelkie wstrząsanie i mięszanie cieczy, jako ułatwiające zetknięcie się z nią tlenu, korzystnie wpływa na fosforescencyę; wiadomo zaś, że podobnyż skutek wywołuje drażnienie istot żywych, fosforyzujących. Ale właśnie to drażnienie powoduje mniéj lub więcéj gwałtowne ruchy zwierząt, a tém samém znajdujący się w ich ciele tlen czynny, łatwiéj ulega zetknięciu z substancyami świecącemi; w ten sposób tłómaczą się spostrzeżenia dokonane na meduzach, które bezustannie rozciągają się i wyginają i świecą silnie podczas zginania. Niektórzy naturaliści podają, że zwierzęta długo drażnione nagle przestają świecić i własność tę odzyskują dopiéro po upływie pewnego czasu; tego jednak nie należy tłómaczyć zależnością świecenia od woli zwierzęcia, ale po prostu tém, że przez długą fos-

forescencyę zużytym został zasób czynnego tlenu, a odtworzenie nowéj jego ilości w ciele zwierzęcia wymaga pewnego czasu.

Nie mogliśmy tu przytaczać pięknych i licznych doświadczeń prof. Radziszewskiego, któremi popiera swą teoryę, tłómaczącą zagadkę, co od tak dawna zarówno fizyków, jak chemików i fizyologów zajmowała. Tą drogą zapewne da się téż wyjaśnić i fosforescencya wywoływana przez tarcie, uderzanie, ogrzewanie lub wreszcie przez działania elektryczne. Czy zaś pod tęż samą kategoryę podciągniętą zostanie i fosforescencya sprowadzana przez oświetlenie, jak sądzi prof. Radziszewski, czy téż raczéj da się do niéj rozciągnąć teorya fluorescencyi, przyszłość dopiéro będzie mogła rozstrzygnąć.

Dalsze badania nad istotą chorób zaraźliwych.

W jednym z ostatnich sprawozdań podaliśmy wiadomość o ciekawych i ważnych badaniach *Pasteura* nad zarazkiem mikroskopowym, powodującym chorobę ptactwa domowego, zwaną cholerą kurzą. Pracom tym przyznano tak doniosłe znaczenie, że rząd francuzki sowitym zasiłkiem umożebnił Pasteurowi dalsze ich prowadzenie.

Pierwotne badania Pasteura nauczyły go (1), że zarazek wywołujący cholerę kurzą jest pasorzytem mikroskopowym, dającym się łatwo hodować i na zewnątrz ciała zwierzęcego; zarazek ten okazuje różny stopień jadowitości, który sprowadzać można odmiennemi warunkami jego hodowli, a nakoniec, co najważniejsza, cholera kurza nie ulega recydywie, tak, że zaszczepienie zarazka osłabionego stanowi ochronę przeciw istotnéj chorobie.

Osobliwy ten fakt rozmaitéj jadowistości jednego i tego samego żyjątka pasorzytnego, przypomina ten objaw powszechny, że wogólności choroby zaraźliwe okazują różne natężenie, a epidemie występują z rozmaitą gwałtownością i po pewnym czasie słabną i giną. Otóż Pasteur założył sobie przebieg tych różnych stopni jadowitości zbadać na zarazku cholery kurzéj, aby wnioski z doświadczeń tych osiągnięte odnieść do chorób epidemicznych w ogólności.

Badania rozpoczęte zostały od najgroźniejszego stopnia jadowitości cholery kurzéj; zarazek wydobyty z kury świeżo zmarłéj poddany został hodowli sztucznéj w rosole z mięsa kurzego; hodowla ta stała się punktem wyjścia następnych upraw czyli kultur, tak że wy-

---

(1) ob. *Ateneum* r. 1880 T. IV str. 174.

siew do każdéj następnéj uprawy zarazka brany był z poprzedniéj a jadowitość każdéj oceniano przez szczepienie jéj kurom.

Próby te okazały, że nie jest zgoła rzeczą obojętną, w jakich odstępach czasu kolejne uprawy po sobie następują. Jeżeli wysiew kultury następnéj brany był po upływie jednego do ośmiu dni od czasu rozpoczęcia poprzedniéj, to w natężeniu jadowitości zmiany żadnéj dostrzedz nie można było, tenże sam rezultat zachodzi i przy przerwach dłuższych, dochodzących jednego lub dwu miesięcy. W miarę wszakże, jak odstępy te stają się dłuższemi, dostrzegać się daje pewne osłabienie zaszczepionego zarazka; stosunek śmiertelności nie ulega wprawdzie zmniejszeniu, ale szybkość śmierci maleje, zarazek traci swą zabójczość błyskawiczną. Ale jeżeli przerwy między kulturami są jeszcze dłuższe, jeśli wynoszą od trzech do ośmiu miesięcy i więcéj, obraz zmienia się zupełnie.

Gdy zaszczepienie uprawy pierwotnéj było bezwzględnie śmiertelném, to jest, gdy na dziesięć kur poddanych zaszczepieniu umierało dziesięć, dalsze uprawy powodują śmiertelność zmniejszoną, tak, że z dziesięciu kur umiera dziewięć, ośm, jedna, lub téż wreszcie wszystkie pomyślnie z choroby wychodzą. Tak więc przez prostą zmianę sposobu hodowli pasorzytów, przez to jedynie, że epoki wysiewów bardziéj się od siebie oddalają, otrzymać można zarazki coraz mniéj jadowite, a nakoniec powstaje prawdziwa szczepionka ochronna zarazy, która nie zabija, ale owszem — jak to wiemy z poprzedniego sprawozdania,—tworzy chorobę przyjazną, chroniącą od istotnéj.

Jeżeli przed rozpoczęciem nowéj uprawy upływa czas dosyć długi, staje się ona już niemożliwą; znaczy to, że pasorzyt ulega śmierci. Im zarazek jest jadowitszy, tém dłuższego potrzeba czasu do jego zabicia, w przerwie, która powoduje śmierć zarazka osłabionego, pasorzyt jadowity słabnie, ale żyje dłużéj. Podczas przebiegu tych zjawisk żadnéj zmiany morfologicznéj, to jest przeobrażenia postaci, dostrzedz nie można; jeżeli istnieją, to są tak nieznaczne, że przy drobności żyjątka, uchodzą najdzielniejszemu mikroskopowi; oceniać możemy jedynie malenie stopnia jadowitości.

Ale jakaż być może przyczyna tego słabnięcia? Pytanie to zapewne łatwiéj postawić, niż na nie odpowiedzieć i tu wszakże doświadczenie okazać się może pomocném, decyduje bowiem o zasadności przypuszczenia, do jakiego się uciekamy dla wytłómaczenia tego zjawiska.

Pierwsze przypuszczenie, jakie tu postawić można, odnosi się do powietrza, bez powietrza bowiem zarazek ten żyć nie może. Czy przeto być nie może, że drobny ten organizm właśnie pod wpływem

powietrza, a raczéj jego tlenu, doznaje pewnych zmian, którychby nie było, gdyby pasorzyt z pod tego wpływu usunięty został?

Dla rozstrzygnięcia téj wątpliwości, Pasteur wysiał dostateczną ilość rosołu kurzego cieczą bardzo zaraźliwą i napełnił nią rurki szklane w $^2/_3$ lub $^3/_4$ częściach ich objętości, następnie rurki te zalutował. Rozwój zarazka objawił się wzrastającém mętnieniem cieczy; ale w miarę jak życie pasorzytów zużywało niewielką ilość tlenu, znajdującą się w rurce, mętnienie zaczynało słabnąć, zarazek zbierał się na ścianach, a ciecz nakoniec zupełnie się rozjaśniała; działanie to następuje po dwu lub trzech dniach, a dopóki rurka jest zalutowaną, żyjątko nie ulega wpływowi tlenu.

Ze znacznéj liczby rurek w ten sposób przygotowanych, Pasteur otwierał jedne po upływie miesiąca, drugie po dwu, trzech lub po dziesięciu miesiącach i przygotowawszy przez wysiew tych cieczy dalsze kultury, dochodził ich jadowitości. Próby te okazały, że jadowitość każdéj z tych cieczy równą była początkowéj, to jest tego zarazka, który został uwięziony w rurce zamkniętéj. Uprawy, przygotowane wspólnie z poprzedniemi, ale pozostawione we flaszeczkach otwartych, uległy osłabieniu lub wymarły zupełnie.

Tak więc zarazek cholery kurzéj, który poddać możemy badaniu doświadczalnemu, słabnie i ginie pod wpływem tlenu, który stanowi zarazem niezbędny warunek jego istnienia. Co do innych chorób epidemicznych, zaraźliwych, nie znamy w ogólności wywołujących je żyjątek, ale być może, że i one ulegają podobnemu wpływowi powietrza, tlenu. Toby nam tłómaczyło stopniowe słabnięcie groźnych epidemij, zarówno teraźniejszych, jak i tych, o których dzieje tak ponure pozostawiły obrazy.

Na tym zajmującym punkcie zostają w obecnéj chwili badania Pasteura nad istotą chorób zaraźliwych, którym i kilku innych badaczy pracę swą poświęca; rezultaty tych poszukiwań stanowią niewątpliwie potwierdzenie wywodów Pasteura.

Tak np. p. Paweł *Grawitz* przeprowadził podobną sztuczną hodowlę pewnych grzybków pleśniowych, które stanowią istoty daleko wyższéj organizacyi, aniżeli żyjątka cholery kurzéj. Grawitz poznał mianowicie, że niektóre choroby skórne sprowadzane są przez grzybki, identyczne częścią z grzybkiem drożdżowym *(Mycoderma vini)*, częścią z pleśnią mléka (*Oidium lactis*); choroby można było wywołać przez wysiew tych grzybków na skórze. Natomiast nie udawało się wstrzykiwanie ich zarodków w krew, nie rozwijały się one zgoła, lubo w r. 1870 Grohe wstrzykiwał w krew zarodniki innych gatunków podobnych grzybków, *Penicillium* i *Eurotium*, a zwierzęta ginęły w skutek rozwoju pleśni we wszystkich ich organach.

Spostrzeżenie jednak Grohego, niepotwierdzone przez innych badaczy, nie zwróciło na siebie uwagi, a grzybki pleśniowe, były uważane, jak dawniéj, za nieszkodliwe dla organizmu zwierzęcego.

Otóż Grawitz powtórzył z powodzeniem badania Grohego, ale okazał zarazem, że pleśnie, aby mogły się w organizmie zwierzęcym rozwijać, muszą być do tego przyzwyczajone, a raczéj wyhodowane.

Grzybki pleśniowe wegietują zwykle na materyałach stałych, w temperaturze nie przenoszącéj 10—20°, a tych właśnie warunków nie ma w organizmach zwierzęcych. Przez sztuczną przeto hodowlę tych grzybków, przez ciąg kilku pokoleń, należało je przystosować do odmiennych zgoła warunków bytu. Zamiast materyałów pokarmowych stałych i kwaśnych trzeba było je przyzwyczaić do płynnych i alkalicznych, oraz do temperatury znacznie wyższéj, 39° C. Nadto przez uprawę systematyczną należało osiągnąć taką szybkość ich kiełkowania, aby odnieść mogły w walce o byt zwycięstwo nad bakteryami, powodującemi gnicie ciał organicznych, a mnożącemi się szybko na powierzchniach cieczy organicznych.

Grawitz rozpoczął od zmiany temperatury, grzybki pleśniowe w rodzaju *Penicillium* i *Eurotium* rozsiał na chlebie zwilgoconym, który utrzymywał w temperaturze 38—40°; zarodniki grzybków zielonych, na pokładzie tym rozwiniętych, rozsiał następnie na chlebie zarobionym z wodą na papkę. Gdy po dwu lub trzech dniach i ta generacya dojrzała, zarodniki jéj uprawiał najpierw na słabo kwaśnym roztworze peptonu z dodatkiem 1 odsetki cukru trzcinowego, a w podobny sposób dalsze generacye na roztworze peptonu mniéj kwaśnym, obojętnym, słabo alkalicznym z dodatkiem cukru a następnie i bez niego, tak, że nakoniec grzybki tak wyhodowane rozwijają się i na świeżéj krwi.

Stopień ten otrzymuje się po dwu lub trzech tygodniach; grzybek pleśniowy w warunkach tych rozwinięty nie różni się od pierwszego wysiewu postacią, wielkością, ani téż sposobem rozradzania, co do formy jest tu tożsamość zupełna, ale pod względem fizyologicznym różnice są niezmierne; mamy tu do czynienia z nową odmianą wspomnianych grzybków, zarodniki téj odmiany są-to owe złośliwe pleśnie, które poznał Grohe, tak groźne, że żadne zwierzę im nie uchodzi, skoro się dostaną w jego krew, w tkanki lub jamę brzuszną, powstają ztąd zawsze choroby, bądź ostre, zabijające zwierzęta, bądź téż chroniczne, z których uleczyć się mogą. W nerkach, wątrobie, mięśniach i innych organach tych zwierząt dają się dostrzedz i gołém okiem kępki tych pleśni, nie różniące się zgoła od zwykłych grzybków tychże rodzajów, ale przyrządy ich owocowe są

słabo wykształcone, a zarodniki nie rozwijają się w tych warunkach, tak odrębnych od tych, w których grzybki pleśniowe zwykle żyją.

Z badań przeto Grawitza, okazuje się, że tenże sam gatunek wegietować może jako niewinna pleśń, a w odmianie złośliwéj niszczy organizmy zwierzęce. A pamiętać należy, że przeobrażenie to tyczy się grzybków dosyć wysoko już uorganizowanych, pleśnie owe bowiem składają się z szypułki, na któréj opiera się pęcherzyk wypełniony zarodnikami. Żyjątko cholery kurzéj, badane przez Pasteura, stoi na najniższych szczeblach drabiny tworów uorganizowanych.

I inny jeszcze badacz *Greenfield* przekonał się, że przez sztuczną hodowlę zarazek karbunkułowy *Bacillus antracis* traci swe groźne własności, a po 19 kulturach w wodnistéj cieczy oka otrzymuje się forma łagodna, któréj zaszczepienie chroni od zarazy prawdziwéj.

Jak Pasteur ochronność tę tłómaczy, wspomnieliśmy w poprzedniém sprawozdaniu o jego pracach.

S. K.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA
LITERACKIE.

Artykuły w kwestyach matematycznych, pomieszczone w pierwszych siedmiu zeszytach „Encyklopedyi Wychowawczéj.“

W pierwszych siedmiu zeszytach „Encyklopedyi wychowawczéj“ znajduje się kilka artykułów w całości poświęconych gałęziom matematyki, jako téż kilka innych, pośrednio się do niéj odnoszących, albo téż do kwestyj nauczania matematyki. Przejrzymy je w porządku alfabetycznym. Niechaj nam wolno będzie przytém się powołać na wydrukowane oddzielnie przez redakcyą tego wydawnictwa „Objaśnienia, wraz z uzupełnionym spisem wyrazów.“

„*Algebra*“ przez *Wł. G.* (str. 191—199). Znaczenie podobnego artykułu w téj „Encyklopedyi“ polega (takby się przynajmniéj zdawało) na historycznem sprawozdaniu z rozwoju głównych jéj kwestyj, oraz sposobów jej nauczania, na krytycznem rozpatrzeniu poglądów na nauczanie algebry obecnie i wyczerpującém zbadaniu ustosunkowania oddzielnych części przedmiotu przy jego wykładzie, jakotéż na wskazówkach najdogodniejszego kombinowania wykładu tego działu matematyki, ze spółczesnym wykładem innych jéj gałęzi. Nadto przy przeglądzie literatury przedmiotu należało choćby wskazać, które ustępy i w których podręcznikach mogą nauczycielowi służyć do pomocy przy wykładzie. Całkiem inaczéj autor pojął swe zadanie. — O ustępach, w których autor mówi o algebrze wyższéj (czytelnik, na podstawie tego, co w artykule znajdzie, nie potrafi sobie wytworzyć pojęcia, czém ma być owa algebra wyższa) wspominać tu nie będziemy. Choćby bowiem artykuł pod tym względem szwankował, to z uwagi, iż głównném jego założeniem w tém wydawnictwie ma być algebra elementarna, mógłby on mimo tego miéć swoją wartość. — Na początku autor chce jakoby wykładać zasady saméj nauki; dużo tedy poświęca miejsca regestrowaniu tego, co na

pierwszych stronicach każdego podręcznika się znajduje. Równanie autor pojmuje, jako równość „gdy obok ilości wiadomych wchodzą także niewiadome.“ Autor zadawala się określeniem ilości ujemnych „jako mniejszych od zera.“ O ilościach niewymiernych ani słowa, jak gdyby one nie występowały w charakterze oddzielnego pojęcia, wprowadzanego do nauki właśnie przez algebrę. Ilości urojone określone formalnie (wszystko to na str. 192), bez żadnego wyjaśnienia nietylko ich natury, ale nawet ich nazwy. Czytelnik więc nie dowie się o rozpowszechniającém się od lat tylu systematyczném, jednostajném, jedynie trafiającém do przekonania uczniów, wprowadzaniu pojęć ilości ujemnych, ułamkowych, niewymiernych, urojonych, oraz logarytmów, jako rezultatu uogólnienia działań odwrotnych dodawaniu, mnożeniu, podnoszeniu do potęgi. — Przy uwagach o wykładnikach ujemnych i ułamkowych (str. 193) autor nie mówi, że to są symbole, a jednocześnie ani słówka nie poświęca wykazaniu potrzeby udowodnienia tego, że na takie wykładniki można rozciągnąć twierdzenia, odnoszące się do wykładników całkowitych. — To co autor mówi (str. 193—196) o rozwiązywaniu równań (wraz ze wzmianką o wyznacznikach), jest dogmatyczném, nie zawsze dość jasném, wypowiedzeniem pewnych zdań ogólnikowych, z pominięciem wszelkich praktycznych, a tak ważnych uwag, choćby np. o prowadzeniu roztrząsania rozwiązań równania, o zależności między pierwiastkami i spółczynnikami równania, wyświetlającéj jego pojmowanie, i t. d. Nadto autor nie zwraca całkiem uwagi czytelnika na rzecz najważniejszą dla rozwijania samodzielnego myślenia przy uczeniu algebry, mianowicie na układanie równań z warunków zadania, a tém samém nie daje pedagogom najmniejszéj choćby ku temu wskazówki, pomijając tę kwestyę w całym artykule absolutném milczeniem. — Daléj autor podaje „treść algebry elementarnéj, porządkując ją, o ile można, najracyonalniéj“ (str. 196). Tu tedy wyrażeniami algebraicznemi niewymiernemi autor zaleca się zajmować przed tém, niż wyciąganiem pierwiastku kwadratowego. Równań zaś stopnia pierwszego z jedną niewiadomą uczyć należy po ułamkach ciągłych, po „działaniach z wyrażeniami“ niewymiernemi, po wykładnikach ułamkowych, po wyciąganiu pierwiastku kwadratowego i sześciennego (str. 196). Wielką jest nasza wątpliwość, czy taki porządek wykładu posiada istotne cechy „najracyonalniejszego;“ sądzimy nawet, że wielu pedagogów podzieli z nami tę wątpliwość.— Autor powiada: „jest pożądaném, aby wykładający algebrę i geometryą traktowali te nauki za spólném porozumieniem się, w celu rozwijania treści w porządku racyonalnym“ (str. 197). Ależ owi wykładający radziby co do tego znaleźć właśnie racyonalną wskazówkę w „Encyklopedyi Wychowawczéj.“

„*Ameryka północna* (*Stany Zjednoczone*)“ przez *E. St.* (str. 221—238). „*Ameryka południowa*“ (str. 238—243). W przytoczonych wyżéj „Objaśnieniach“ na str. XII czytamy, iż „w artykułach o krajach nowożytnych“ „powinien stanąć dokładny obraz teraźniejszego stanu edukacyi i instrukcyi publicznéj,“ oraz, że wypadnie zwrócić w nich uwagę „na sposób przyjmowania uczniów do zakładów średnich i wyższych... na stosunek przedmiotów klasycznych do realnych, na sposób wykładu, czyli metodę, na sposób egzaminowania, na ćwiczenia piśmienne... koncentracyą nauk... przyczém podany być może program czyli rozkład wykładanych nauk... przepisy instrukcyjne.“ Gdzież bowiem, jeśli nie w „Encyklopedyi Wychowawczéj,“ znaleźć powinniśmy w tak właśnie zatytułowanych artykułach możność zaspokojenia niepustéj bynajmniéj ciekawości co do ogólnych rysów nauczania np. matematyki w szkołach początkowych i średnich, co do rozkładu tego przedmiotu na lata, co do grupowania w tych samych (oddzielnie uważanych) latach różnych rozdziałów poszczególnych gałęzi matematyki, co do stosunku zadań do teoryi, co do metod uczenia, które muszą tam cechować się pewną odrębnością, co do wymagań na egzaminach wstępnych, przejściowych i ostatecznych i t. d. — Tymczasem w tym względzie z pierwszego z tych artykułów dowiadujemy się, iż w *primary school* uczą rachunków, w *secundary school* arytmetyki, geometryi, trygonometryi, algebry, początków astronomii (str. 227); ale jak i ile? Daléj „że rozdwojenie kierunku realnego i filologicznego zaczyna się dopiéro z końcem zakresu szkolnego, w szkole, głównie przygotowującéj do wstępu uniwersyteckiego“ (str. 228); ale na czem ono polega, oraz jak pojmować, iż ono zaczyna się przy końcu? Następnie, że w szkołach kolorowych „organizacye, metody są takie same, jak we wszystkich innych“ (str. 229); ale jakież są metody w owych innych? Pod zagłówkiem „Metody nauczania w szkołach niższych“ autor mówi: „Dają się różne przedmioty do kopiowania, jednocześnie litery i wyrazu (tak). Po nabyciu pewnéj wprawy, nauczyciel dyktuje wyrazy. Ta sama metoda zastosowania jest (?) do nauki arytmetyki. Wprzód praktyczna nauka liczenia; potém dopiéro definicye, reguły i aksiomata“ (str. 230). Na całym świecie dzieci naprzód liczą na palcach, orzechach i t. d., a potém dopiéro dowiadują się reguł. Ale jak ich się dowiadują w Ameryce, w jakim porządku one się dzieciom podają, kiedy się do nich przystępuje, jakiemi zastosowaniami się je tam objaśnia? Nie wiele więc dowiedzieliśmy się o metodach uczenia arytmetyki w szkołach niższych. Pod zagłówkiem zaś „Wychowanie wyższe“ podaje autor, iż w kolegium Harvard'a wykłady obejmują matematykę (str. 233), oraz, że w zakładach wyższych amerykań-

skich dają różne tytuły naukowe, których autor wylicza aż dwadzieścia jeden (str. 234), ale za co? Kilkanaście zaś z tych tytułów widocznie wymagają od ubiegających się o nie wiadomości z matematyki, ale w jakim zakresie? W całym tym obszernym artykule znajdujemy jednę tylko określoną wskazówkę i to taką mianowicie, iż od panien, wstępujących do *Vassar College* w Paughkcepsie wymagają znajomości algebry, aż do równań stopnia drugiego (str. 235).—Podobnież z artykułu „Ameryka południowa" dowiadujemy się wielu nieznanych zaprawdę rzeczy: w Mexiku w zakładach średnich przedmiotem wykładu jest matematyka (str. 240); w Brazylii w zakładach średnich wykłada się arytmetyka, początki geometryi i mechaniki (str. 241); w Chili zaś w szkołach elementarnych udzielane są początki arytmetyki praktycznéj, w wyższych zaś „wyższéj arytmetyki" oraz, że na uniwersytecie „chilijskim" jest wydział nauk przyrodzonych i matematyki (str. 242)...

„*Analiza i synteza, jako metody nauczania*" przez *K. K.* (str. 259—262). Autor, potrącając o rolę analizy i syntezy w matematyce, nie rozróżnia powstawania, rozwijania się nauki, od sposobów uważanych za najdogodniejsze przy jéj wykładzie. Temu pomieszaniu rzeczy przypisać należy, iż autor feruje nieumotywowany następujący o matematyce ogólny wyrok: „matematyka jest tak przeważnie umiejętnością dedukcyjną, wynikłą z definicyj lub oczywistych pewników postawionych z góry, iż nawet analiza w niéj jest tylko pewną formą syntezy dedukcyjnéj, zastosowanéj do rozwiązywania niektórych zagadnień" (str. 260). Takie wyrzeczenie, sprzeczne z historyą najważniejszych dorobków na téj niwie naukowéj, autor uważa za właściwe poprzeć nie zupełnie ścisłą uwagą o uczeniu dodawania i odejmowania ułamków. Jakiż związek jednego z drugiem? Autor jeszcze twierdzi, że „matematyka powstaje drogą syntetyczną" (str. 260). — Byłoby bardzo do życzenia, aby pod artykułem „Matematyka" pedagogowie znaleźli gruntowne i należycie opracowane przedstawienie kierunku syntetycznego lub analitycznego w rozwoju historycznym poszczególnych gałęzi matematyki; na tém tylko tle bowiem rola syntezy i analizy w obecném nauczaniu matematyki, nawet w zakładach średnich, może być jedynie pojętą właściwie.

„*Analiza algebraiczna*" (str. 262). Redakcya pisze: (patrz) *Algebra*. Ale czytelnik darmo się będzie wracać do artykułu Algebra. Tam o przedmiocie, którego ważność tak wyraźnie zaznaczyli pierwszemi znakomitemi podręcznikami Euler (Introductio in Analysin) i Cauchy (Analyse algébrique), mającym swoją literaturę oddzielną, będącym podstawą wyższych studyów matematycznych, nic, mimo najuważniejszego przeglądania, nie znajdzie.

„*Armiński*“ (str. 311—312). Artykuł ten bardzo pobieżny. Nic tu bowiem niema o działalności Armińskiego, jako profesora (nie można przecież za to uważać suchéj wzmianki, że wykładał rachunki wyższe), ani o jego stanowisku w ówczesnym królewsko-warszawskim uniwersytecie. Dodamy jeszcze, iż widocznie śpieszący się autor, zapomniał zaznaczyć, iż Armiński dawno już umarł.

„*Arytmetyka*“ przez *Wincentego Trybulskiego* (str. 329—435). Autor zajmuje się naprzód powstawaniem pierwszych pojęć o liczbach, wraz z obszernym wykładem sposobów ich wyrażania i symbolizowania u różnych ludów. Następnie wykłada historyą arytmetyki, słusznie traktując drobiazgowo rozwój ważniejszych jéj kwestyj. Nie pominął przytém objaśnienia przejściowych metod, bez znajomości których trudno wyrobić sobie należyte pojęcie o naturze i wartości metod obecnych. Te zaś kwestye znakomicie illustruje przytaczaniem wyjątków z ważniejszych dawnych dzieł arytmetycznych. Następnie podaje powstanie i rozwój najnowszych metod początkowego nauczania arytmetyki na zachodzie, wraz z krytyczném ich zestawieniem; troskliwie bada ich uwzględnianie w wychowywaniu u nas i w podręcznikach naszych nowszych, które pod tym względem szczegółowo roztrząsa. Po tém zaś następuje nader wyczerpujący i systematyczny zbiór szczegółowych wskazówek co do racyonalnego uczenia arytmetyki Z tego krótkiego przedstawienia treści bezpośrednio wypada, że poważna ta praca zasługiwałaby na szczegółowy przegląd, którym w tém piśmie zająć się nie możemy. Wymagałoby to bowiem wiele miejsca i tém więcéj, że należałoby uzasadnić każdy z punktów, w których co do poglądu na oddzielne kwestye w nauczaniu arytmetyki różnimy się z autorem. Ograniczymy się tu pod tym względem do paru tylko uwag. Tak np. nacisk, jaki autor kładzie na tak zwany podział liczb na klasy (str. 419), wydaje nam się niewłaściwy; podział ten nie ma związku z naturą liczby, a jest tylko zjawiskiem językowem (dowód: liczenie starogreckie). Również, co do odejmowania, niepotrzebne rutyniczne zachowywanie „pożyczania“ (str. 420), a brak wszelkiéj wzmianki o odpowiednim rozkładzie odjemnéj na części, umożebniającym wykonywanie częściowych odejmowań (por. Arytmetykę J. Bertrand'a). Najsilniéj zaś protestujemy co do wprowadzania w dzieleniu liczb oderwanych rozróżniania: „właściwego dzielenia i mieszczenia się“ (str. 421). Dzielenie bowiem liczb oderwanych jest jedno tylko, a przytoczone dwa pojmowania jego są synonimami. Co innego dzielenie liczb mianowanych. Tych jest dwa, całkiem odrębne działania, zależnie od tego, czy dzielnik odpowiada mnożnéj (mianowanéj—wtedy: mieszczenie się), czy też mnożnikowi (oderwanemu—wtedy: rozkład na równe części, który

autor zapewne pojmuje przez: właściwe dzielenie). O tych dwu rodzajach dzielenia liczb mianowanych autor nie wspomina, choć, jak wiemy z własnéj praktyki, systematyczne zwracanie uwagi dzieci na to, bardzo je rozwija i daje im właściwe pojęcie o ścisłém znaczeniu liczby. Wprowadzenie niemieckiego zwyczaju w szykowaniu liczb w dzieleniu (str. 421)—wątpimy, czy pożyteczne. Za ważną również lukę we wskazówkach przy uczeniu arytmetyki uważamy to, że autor, choćby w ustępie o uczeniu ułamków, nie zwrócił uwagi czytelnika, iż wyrażenia: mnożyć, dzielić, tyle razy większy—tylko początkowo są w arytmetyce tegoż znaczenia, co w życiu codzienném; wyraźny nacisk nauczyciela na ten szczegół przyczynia się znakomicie do rozproszenia pewnych wątpliwości, jakie powstają w głowach uczniów, choć oni się nie zawsze mogą zdobyć na ich wypowiedzenie. — W każdym jednak razie ten artykuł stanowi wyjątkowe w literaturze naszéj matematycznéj studyum. Autor umiał zgromadzić obszerny materyał, gruntownie go opracować i trafnie w wykładzie swéj rzeczy zużytkować. Wytrawny nawet pedagog wiele się z téj sumiennéj pracy nauczy. Wiele bowiem w niéj cennych szczegółów, odnoszących się do ważnych kwestyj, a prawie zawsze podanych z pierwszéj ręki. Nie możemy się powstrzymać od zwrócenia uwagi na przytoczenie nader światłego, choć na swój czas dość śmiałego, zapatrywania się Komisyi Edukacyjnéj na nauczanie arytmetyki (str. 382), oraz na ciekawą historyą różnych późniejszych wydań wywołanego przez tę Komisyą podręcznika Lhuiller'a (str. 380—382, 396—397). W ogóle ten artykuł, jest ważnym przyczynkiem do historyi matematyki u nas. Byłoby do życzenia, aby p. Trybulski, posiadając taki obszerny materyał pod ręką, zechciał specyalnie opracować historyą nauczania arytmetyki w Polsce.

„*Astronomia*“ przez *J. Kowalczyka* (str. 436—492). W tym dość obszernym artykule właściwie pedagogiczny interes przedstawia tylko ustęp, zatytułowany „Znaczenie astronomii pod względem umysłowego rozwoju człowieka“ (str. 436—438), który się kończy takiém zdaniem: „Do wykładu zaś głównych zasad astronomii nie potrzeba ani długiego czasu, ani wielkich przygotowań; zaraz bowiem na wstępie do nauki geografii można uczniom podać niektóre wiadomości o układzie słonecznym, o ruchu ziemi i zjawiskach od niego zależnych; starszym zaś uczniom wystarczy treściwa i krótka kosmografia.“ Wydaje się nam, że jak na „Encyklopedyą wychowawczą,“ to nieco za mało. Według „Objaśnień,“ kosmografia zostanie opracowaną oddzielnie; artykułu zaś: geografia matematyczna nie będzie. Byłoby więc bardzo do życzenia, aby pod kosmografią znaleźli pedagodzy także wskazówki, jak wykładać najtrafniéj owe wiadomości o układzie

świata i o ziemi w początkach geografii. Zwykle bowiem jestto część najtrudniéj przyswajana przez dzieci nasze. Może dlatego, że według zwyczaju u nas filolodzy lub historycy są jednocześnie nauczycielami geografii. Pożądanemby więc było, aby właśnie astronom szczegółowo podał uwagi o wykładzie tych pojęć dzieciom, o sposobach, nie wykraczających przeciw ścisłości naukowéj, ich uprzystępnienia, o najlepszych ku temu pomocach w literaturze zagranicznéj. Początkowe bowiem, tym kwestyom powięcone, kartki podręczników geografii, będących w użyciu, są narzędziami tortury dla dzieci w ręku większości nauczycieli tego przedmiotu u nas. Czy to jednak będzie zrobione pod wyrazem: kosmografia, wątpimy, a wątpienie nasze wywołał dalszy przegląd tego artykułu p. Kowalczyka. Po historycznym bowiem rysie ogólnego postępu astronomii, autor zajmuje się opisem obszernym ciał niebieskich (str. 442—490), ze szczególnem uwzględnieniem ziemi, czyli wykłada krótki, bardzo starannie opracowany, kurs kosmografii właściwéj. — Późniéj autor podaje bardzo szczegółowy, jak na to wydawnictwo, rys historyczny uprawiania astronomii u nas (str. 461—477), kończy zaś rzecz swą podaniem opisu stanu i prac dokonanych na obserwatoryach w Wilnie Krakowie i Warszawie, oraz wiadomością o obserwatoryach prywatnych ś. p. Rulikowskiego w Świtarzowie, p. K. Kraszewskiego w Romanowie, p. Jędrzejewicza w Płońsku, jakotéż o zawiązkach obserwatoryów p. Lewickiego w Częstochowie i Instytutu technicznego we Lwowie.

„*Atlasy*" (geograficzne) przez *Adolfa Dygasińskiego* (str. 495—520). Z naszego specyalnego stanowiska mielibyśmy do zarzucenia autorowi, iż, po podaniu obszernéj wzmianki historycznéj o dawnych mapach, choć mówi ogólnie, iż mapy są „bądź co bądź, karykaturami rzeczywistości" (str. 500), nie wzmiankuje o nierozwijalności na płaszczyźnie tak powierzchni kuli, jak i jéj części jakiejkolwiek, nie podaje objaśnienia kreślenia siatki według metody rzutów prostokreślnych na płaszczyznę równika, lub według metody rzutów stereograficznych na płaszczyznę południka, choć takie mapy znajdują się (bez objaśnienia metody) w wielu atlasach, nie zastanawia się nad tém, że mapy oddzielnych państw lub prowincyj, przy pomocy rozwinięć ostrokręgowych odniesione do średniego ich południka i średniego ich równoleżnika, dają lepszy obraz tego państwa lub prowincyi, niż mapy kreślone według innych sposobów, oraz nie wzmiankuje o mapach morskich, rysowanych według systemu Mercator'a, które bywają niekiedy podawane w atlasach geograficznych. Szczegóły te są nie mniéj, w każdym razie, ważne od tych, które autor podaje w wiadomościach o dawnych mapach. Ten brak jed-

nak jest w zupełności pokryty innemi zaletami artykułu; wielka jego doniosłość pedagogiczna sprawia, iż on do najcenniejszych i najsumienniéj w „Encyklopedyi" opracowanych zaliczonym zostanie. Podanie jednak szczegółowego sprawozdania z téj pracy p. Dygasińskiego nie do nas należy.

„*Austrya*" przez *S. Z.* (str. 534—560). Jestto dopiéro początek artykułu, opracowanego z pewną erudycyą. Życzyćby należało, aby on zadosyć uczynił wymaganiom, postawionym przez redakcyą „Encyklopedyi" w ogłoszonych przez nią „Objaśnieniach."

— Na zarzut, jaki nas spotkać może, iż w tych uwagach byliśmy nadto wymagającymi, odpowiemy: niechaj to właśnie służy za dowód, iż gorąco pragniemy, aby jaknajwiększą była pożyteczność tak ważnego dla nas wydawnictwa, jakiem ma być „Encyklopedya Wychowawcza."

Maryan A. Baraniecki.

PRZEGLĄD DRAMATYCZNY.

Ze wszystkich nowości, jakie obecna dyrekcya, dbając o urozmaicenie repertoaru, na scenach teatrów warszawskich od początku roku wystawiła, najwięcéj zajęcia obudził i najwięcéj rozpraw, pogadanek zarówno w zebraniach towarzyskich jak i w publicystyce wywołał pięcio-aktowy dramat p. Henryka Sienkiewicza p. n. „Na jednę kartę." Już ta jedna okoliczność nadawałaby sztuce ulubionego nowellisty znaczenie niepospolite, bo jeżeli według Monteskiusza zadaniem książki nie jest pociągnąć do czytania ale zmusić do myślenia; to zadanie to dramat odegrany po raz pierwszy 24 lutego spełnił wybornie; a najlepszym tego dowodem może być to, iż tak w prasie jak i wśród ogółu myślącego sprawił dosyć silnie zaznaczone rozdwojenie. Jeżeli zaraz po ukazaniu się jakiegoś utworu następuje wśród publiczności mówiącéj czy piszącéj zgoda zupełna co do jego wartości, to bywa nim wprawdzie niekiedy arcydzieło, które sobie szturmem pozyskuje uznanie, ale daleko częściéj bywa-to miernota, która w nikim silniejszego uczucia nie budząc, nie może się tém samém przyczynić do *zaniepokojenia* spokojnego procesu myśli. Każde natomiast dzieło, mające w sobie ziarno myśli niepowszedniéj albo talentu nietuzinkowego, działa zapładniająco na umysły: albo sympatyzujemy z niém gorąco, albo téż oburzamy się na nie namiętnie: i w jednym i w drugim razie czujemy silniéj, myślimy szybciéj i w jednym i w drugim razie musimy się zwrócić z pewném po-

ważaniem ku owemu źródłu, z którego nowy dopływ do nurtu myślenia naszego nastąpił.

Skutek taki objawia się tém doraźniéj i tém dobitniéj, im bardziéj okoliczności, wśród których myśl pewna powstaje, jéj szerzeniu się sprzyjają. Możnaby twierdzić prawie napewno, że dramat „Na jednę kartę“ mniejby wywołał dyskusyi, gdyby się był ukazał np. przed laty pięciu lub czterema. Nie ulega-to bowiem wątpliwości żadnéj, że nie zalety lub wady artystyczne, nie psychologia wyprowadzonych na scenę postaci, nie prawda lub nieprawda w nich tkwiąca stała się głównym przedmiotem sporu, ale prawie wyłącznie dążność czy tendencya, jakiéj się w całości sztuki dopatrywano. Dążność ta przed laty kilku ledwieby na siebie uwagę zwróciła, tak np. jak powieść p. Elizy Orzeszkowéj p. n. „Pompalińscy;“ ale teraz, kiedy się tyle mówi i pisze o „nieobecnych,“ kiedy się spory toczą o znaczeniu, wartości i doniosłości zasady arystokratycznéj i demokratycznéj; kiedy pod tym względem nie ma właściwie z téj lub owéj strony jasno sformułowanych poglądów, lecz panuje pewien wcale niepochlebny dla umysłowości naszéj chaos wyobrażeń; wśród takich okoliczności dramat Sienkiewicza musiał z konieczności stać się powodem nieporozumień.

Jedni—w prasie stanowili oni mniejszość — z ostentacyą starali się wykazać, że sztuka Sienkiewicza jest utworem partyi, że autor wszystkie światła skupił na głowach, nad któremi unosi się świetna aureola tradycyi, a wszystkie cienieześrodkował w téj stronie, gdzie stoi szczupła gromadka ludzi dobijających się w społeczeństwie stanowiska dorobkiem własnéj ręki i głowy. Twierdzili oni daléj, że gromadka ta jest jeszcze tak słabo zorganizowaną i na takie niebezpieczeństwa ze strony groźnych przeciwników narażona, iż nie wypada inteligencyi przeciwko niéj pociski swe kierować, ale przeciwnie wzmacniać ją na duchu i do wielkich przeznaczeń słowem rozumném a gorącém przygotowywać.

Drudzy, stanowiący większość, nie wzięli za złe autorowi przedstawienia ujemnego typu z łona demokracyi a w rozumieniu całości sztuki objawili różne domniemania, już to przyjmując przeciwstawienie arystokracyi i demokracyi, utrzymywali, że demokracya bynajmniéj pokrzywdzoną nie została; już-to pomijając wszelką umyślną stronniczą tendencyą, starali się oprzeć znaczenie sztuki na trafném odmalowaniu charakterów; już-to widzieli typowe upostaciowanie trzech kolejnych generacyj z ostatnich lat kilkudziesięciu u nas i na wyborném uchwyceniu tych typów, zasadzali doniosłość utworu.

Nie myślę występować w roli pojednawcy, któryby zarozumiale przyznawał jednemu taką cząsteczkę prawdy, jakiéjby odmawiał

drugiemu; ale korzystając z prawa rzeczypospolitéj literackiéj do wypowiadania swego jednostkowego zdania, wypowiem je w całości bez obawy, ażeby mię posądzono albo o łączenie się z towarzystwem wzajemnéj admiracyi lub téż o wrogie względem demokracyi usposobienie.

Przedewszystkiém muszę zauważyć w ogólności i nie stosując tego wcale do sztuki p. Sienkiewicza, że złym byłoby znakiem, gdyby demokracya okazywała się zbyt drażliwą na krytykę jéj wad lub zdrożności. Dowodziłoby to bowiem, że pragnęłaby tę swobodę, w imię któréj zawsze walczyła i walczy, tylko dla siebie saméj zachować, tylko dla własnych korzyści zużytkowywać, ograniczając prawo posługiwania się nią tym, którzy wyznają inne *credo* społeczne. Cła ochronne mogą się wprawdzie przyczynić do podniesienia przemysłu miejscowego, ale gdy ten już do pewnego stopnia się rozwinął, mogą go na tym stopniu zatrzymać, a nawet i poniżéj niego zepchnąć, gdyż usuną ważny bodziec konkurencyi. Podobnież cła ochronne w zakresie rozwoju umysłowego praktykowane były wtedy, gdy jakaś klasa czy warstwa społeczna doszedłszy do przeważnego znaczenia, zaczynała samowolną niczém niekrępowaną gospodarkę. Hierarchia nie znosiła najlżejszéj krytyki i srogo karała tych, co przeciw niéj i temu, czego ona nauczała, ośmielili się głos podnieść. Arystokracya nowożytna lubiła tylko kadzidła i to w sposób zręczny administrowane; stąd autorowie dramatyczni długie wieki nie odważyli się wystawiać na scenie spółczesnych sobie przedstawicieli arystokracyi inaczéj jak pod poważnym ubiorem bohaterów greckich lub rzymskich. Tęż samę drażliwość okazywała u nas i szlachta, dobiwszy się wielkiego znaczenia politycznego, a gdy to straciła, na swojém stanowisku społeczném pragnęła być nietykalną. Burżuazya francuska za czasów swojego władztwa miała także owe arystokratyczne zachcianki i uwielbiała tych, co jéj pochlebiać choćby w sposób gruby potrafili. Żydzi pozyskawszy równouprawnienie i mając silne plecy w kapitale, stali się niemniéj łaskotliwi na wszelkiego rodzaju satyrę i krytykę, nie pomnąc, że jeżeli tylko krytyka jest trafna, to nie pozostaje nic innego do zrobienia jak z zarzucanych wad się poprawić.

Czyżby demokracya dzisiejsza, zdobywszy sobie obecne stanowisko między innemi także za pośrednictwem krytyki słownéj i krytyki faktycznéj, przez którą wykazywała niedobory dawnego porządku rzeczy, chciała już spocząć na różach bez kolców a znaczenie swoje umacniać nie pracą dalszą i doskonaleniem się ciągłem, ale cłem ochronném nietykalności?... Nie sądzę. Zdaje mi się, że idea demokratyczna na tak silnych spoczywa podstawach, iż może bez

niepokoju i obawy przysłuchiwać się najzjadliwszym nawet pomysłom starych czy młodych Arystofanesów.

Ale to wszystko mimochodem tylko z powodu zarzutów, jakie o tendencyi demokratycznéj dramatu Sienkiewicza słyszéć się dawały. Według mnie, dramat ten nie potrzebuje bynajmniéj powyższego rozumowania dla uprawnienia swéj dążności; pomijając bowiem kwestyą: jaką myśl społeczną sam autor chciał wypowiedzićć w swoim utworze, tj. jaki był jego indywidualny zamiar w téj chwili gdy go pisał lub przerabiał, można utrzymywać, iż czytając dramat „Na jednę kartę“ lub patrząc na jego przedstawienie, niekoniecznie potrzeba się oburzać na niemiłą dążność autora, chociażby się najszczerzéj wyznawało zasady demokratyczne i chociażby się wcale nie należało do towarzystwa wzajemnéj admiracyi literackiéj. A tak jest dlatego, że obok innych poglądów możliwy jest i ten, iż autor patrzył na ludzi przez siebie stworzonych przedmiotowo, bezstronnie, widząc w nich przedewszystkiém i starając się uwydatnić ogólnie ludzkie zalety i wady, a pozostawiać na drugim planie objawy ich przekonań politycznych.

Idzie tylko o to, czy pogląd taki da się uzasadnić i do pewnego stopnia udowodnić przez sam utwór czy nie. W tym celu zapytać wypada o tło treści i charakterów w niéj występujących na scenę.

Dr. Józwowicz, syn kowala, oddany do szkół przez księcia Starogrodzkiego, „oddawszy się następnie sam na uniwersytet,“ tu „z chciwością zagłodzonych duchowo“ — jak się trafnie wyraził jeden z krytyków—połknął odrazu aż dwa wydziały: lekarski i prawny. Następnie, w ciągu sześciu lat pobytu na dworze księcia w charakterze lekarza nadwornego, umie sobie tu zdobyć stanowisko tak silnie ugruntowane a tak wszechwładne, że wszystko w rezydencyi książęcéj dzieje się wedle jego skinienia. Był-to widocznie człowiek miły, umiejący się podobać, ale zarazem człowiek wyższéj intelligencyi, umiejący w słowa swoje wlać tyle siły przekonania, tyle potęgi nieprzepartéj, że przed nią inne umysły mimowolnie ukorzyć się muszą. Rozum i takt w wysokim stopniu harmonijnie w nim się niewątpliwie łączyły, jeżeli nie zapierając się swoich zasad demokratycznych, lecz się z niemi wyraźnie niekiedy manifestując; mógł się nietylko zupełnie swobodnie wśród sfer arystokratycznych obracać, ale nadto pozyskać zaufanie bezgraniczne i prawie bezwyjątkowe.

Pozyskanie sobie starego księcia nie było zapewne rzeczą najtrudniejszą. Starzec ten nie odznaczał się chyba nigdy wielką inteligencyą a zachodząc w lata tracił ciągle sprężystość umysłu i lubił

to tylko, do czego przywykł. Przesądy arystokratyczne tkwią w nim ciągle, są najdźwięczniejszą struną w jego duszy, ale to dlatego głównie, że były weń od najwcześniejszéj młodości wpojone. Całą biedną warstwę ludu przezywa „hołotą,“ ale nie może dozwolić, ażeby ta „hołota“ pod bokiem jego umierała, więc daje jéj hojną zapomogę. Nie woła on na swego doktora inaczéj jak Józwowicz, zupełnie tak jak na sługę, lecz to nie tyle pewnie w chęci upokorzenia go, ile dlatego, że takie wołanie weszło u niego w nałóg. Zżyma się na nazwanie „brata“ lub „syna“, którém doktora bliskie domu księcia osoby obdarzają, ale się czuje, że po pewném wzdraganiu się, po kilku lub kilkunastu słowach nie oburzenia lecz burczenia tylko, zgodziłby się przyjąć doktora za syna i uściskać go jak brata. Nie może pojąć, jak taki Józwowicz może mieć pretensyą zostania posłem wogóle a bez jego zezwolenia w szczególności, a jednak bez długiéj walki i zezwala i godzi się z myślą, że wypadnie mu może tytułować kiedyś syna kowala Jego Ekscelencyo. Nazywa swego doktora Robespierrem, ale się bez niego obejść nie może: on jeden bowiem zna jego chorobę i umie ją skutecznie leczyć; on jeden potrafi go zabawić; on jeden ma zawsze w pogotowiu dobrą radę, mądrą wskazówkę. Ale to téż dr. Józwowicz umie sobie wybornie z nim radzić i nie drażni go słowami, gdyż wie, że słowa niemiłe księciu są rzeczą dla niego najdokuczliwszą; pozwala się wołać Józwowiczem, mianować Robespierrem bez najmniejszéj oznaki nietylko niechęci ale i zniecierpliwienia nawet, gdyż pojmuje, że taki sposób wyrażania się nie pochodzi ze złego serca księcia ale z przyzwyczajenia. Józwowicz nie wdając się w długie dyskusye robi swoje wytrwale, stanowczo, energicznie, i dotąd zawsze doskonale na tém wychodził. Książę zawsze na wszystko w końcu się zgodził i zawsze o radę go pytał, był-to bowiem umysł bierny, który inicyatywy żadnéj podjąć nie mógł i potrzebował potwierdzenia swych zdań ażeby je za słuszne uważać, jeżeli nie ze strony doktora, to zestrony swéj córki Stelli.

Stella—to roślina wątła wyhodowana w cieplarni arystokratycznéj, niezmiernie miła, bardzo delikatna, nadzwyczaj wrażliwa. Umysł jéj jeszcze śpi, nie przebudziło go ani wykształcenie ani doświadczenie życiowe, uczucie ma tylko serdeczne, łagodne a takie dobrotliwe, że nie chciałoby nikomu najmniejszéj sprawić przykrości; jeżeli kto uczucie to zadraśnie kwiat zwija swe listki w milczeniu. Cień smutku pada na jéj twarzyczkę, bo nie zaznała pieszczot matki, wychowała się i wyrosła pod opieką dobréj matrony ale bądź co bądź obcéj. Kocha wszystkich, ojca najprzód, potém panią Czeską, potém dra Józwowicza jak brata. Tymczasem dr. Józwowicz

uczucie to Stelli dla siebie pojmuje inaczéj; jemu się zdaje, że Stella kocha go miłością kochanki; pod tym względem myli się i myli się fatalnie. Dziwném może się wydawać ta omyłka człowieka skądinąd tak rozumnego, tak trzeźwo na rzeczy patrzącego. Było-to może zaślepienie miłości. Doktór nie mógł poczuć względem Stelli jakiejś namiętności dzikiéj napół zwierzęcéj, któréj zadowolnienie miałby jedynie na celu; żaden rys nie wskazuje w nim rozwiniętéj zbyt silnie zmysłowości. Raczéj jako człowiek oddany nauce, któréj poświęcił te lata jakie rówieśnicy jego zamożniejsi, obracają na miłość i miłostki, uległ urokowi dzieweczki, znanéj sobie od lat najmłodszych, będącéj pewnie ideałem przyświecającym mu wśród nocy bezsennie, nad książką spędzonych, zagrzewającym go do coraz większych wysiłków, by go się stać godnym, stzegącym młodzieńca od pokus, błędów i chodzenia po grząskich cuchnących trzęsawiskach życia. On nie miał czasu wypowiedziéć uczuć swoich i wybadać Stelli pod względem jéj przywiązania, jéj ufności dla niego; a może nie chciał stracić miłego mu nad wszystko złudzenia, że Stella go kocha, bo on sam nie umie sobie zdać sprawy z tego, c by był wart bez téj kobiéty. On stara się tylko zbliżyć do wyżyn książęcych, on pragnie w życiu parlamentarném, odegrać jakąś wielką i świetną rolę, któraby dała zapomnieć o różnicy urodzenia równoważąc ją stanowiskiem własną pracą zdobytém. Byłby zapewne milczał i nic stanowczego nie przedsiębrał, dopókiby takiego stanowiska nie osięgnął, ale wypadki zdecydowały inaczéj.

W czasie jego nieobecności w domu księcia, wywołanéj wymaganiami agitacyi wyborczéj, odbyły się zrękowiny Stelli z Jerzym Pretwicem, człowiekiem szlachetnym, dzielnym na placu boju, nie zbyt do nauki pochopnym „jak wszyscy Soplicowie,“ trochę szorstkim w ruchach i mowie, ale miękkim nad wyraz w stosunkach sercowych. Stella przyrzekła mu swą rękę, bo życzył sobie tego ojciec a ona czuła przyjaźń dla wojaka, wygnańca, i zacnego obywatela. Nie kochała go jednak, serce jéj skłaniało się raczéj ku młodszemu jego przyjacielowi wesołemu, dowcipnemu hr. Drahomirowi, którego sam Pretwic prosił o bawienie narzeczonéj. Uczucie to atoli drzemie bezświadomie w duszy Stelli i możeby się nigdy do zupełnéj świadomości nie rozwinęło, gdyby nie Józwowicz.

Józwowicz wróciwszy ze swéj wycieczki odrazu spostrzegł zmiany zaszłe w domu księcia, a po bliższém przejrzeniu się doszedł do przekonania, że Stella pójdzie za Pretwica tylko dla dotrzymania słowa, że serce jéj do kogo innego należy. Z początku łudził się jeszcze, że to on jest przedmiotem jéj tajonego uczucia, ale złudzenie trwało teraz chwilę tylko; bolesna i dla niego i dla Stelli auskul-

tacya jéj serca powiedziała mu prawdę. Wtedy w duszy tego człowieka zachodzi zmiana nagła i głęboka. Dotychczas mógł śmiało każdemu patrzéć w oczy; dotychczas ani on sam sobie, ani nikt jemu żadnego wyrzutu zrobić nie mógł; życie jego było piękne, zapełnione pracą i pobudzane szlachetną ambicyą, ozłocone promieniami domniemanéj miłości; dotychczas on zwykł śmiało, otwarcie łamać przeszkody jakie na drodze jego stawały. Teraz będzie już inaczéj, teraz z lwa przemienia się w lisa, zamiast przeskakiwać podłazi, zamiast siły używać jawnie, uciekać się do podstępu, do nikczemnéj intrygi. Dotąd był szlachetnym, teraz ocknął się w nim zwierz podłości, drzemiący kto wie czy nie w duszy każdego, a umiejący się maskować najrozmaiciéj. U Józwowicza przybrał on maskę teoryi niby naukowych najnowszych. Uczucie, może zupełnie szczere i serdeczne, pod groźbą nieziszczenia się popycha go do ostateczności, którą z początku sam się brzydzi. Chce bądź-co-bądź posiąść rękę księżniczki; wie on już teraz, że serca jéj nie posiada, ale pochlebia sobie, że je zdobędzie, jeżeli nie pozyska; śpieszno mu przedewszystkiém usunąć te uczucia, jakie w sercu Stelli istnieją; w tém nagłém postanowieniu, którego nie mógł obmyśléć należycie, popełnia nową omyłkę, straszną w skutkach i dla innych i dla niego. Sądzi, że pojedynek pomiędzy Pretwicem a Drahomirem, przezeń nastręczony, da mu swobodę ruchów. Popełnia podłość. Jest niespokojny, zgorączkowany, pragnąłby w oczach wielbicieli swoich uchodzić za tak czystego, jakim był dawniéj; dla usprawiedliwienia się naciąga do zasad etycznych teoryą walki o byt. „Mojemu losowi powiada—moim prawom do szczęścia, mojéj przyszłości człowiek ten, który zginął, wszedł w drogę nagle, ślepo, fatalnie—i zabrał mi wszystko. Wszedł uzbrojony w dostatki, nazwisko, stosunki i całą tę broń niezwalczoną, którą daje fortuna i urodzenie. Com miał przeciw niemu? czém mogłem walczyć? co przeciwstawić jego potędze? Nic prócz tego, co jest bronią nowych ludzi—tę trochę inteligencyi zdobytéj krwawą pracą i wysileniem.“ W tém namiętném rozumowaniu brnie coraz daléj, zapomina terminologii naukowéj („robak broni się żądłem“), jest już pewny swego zwycięstwa, utożsamia je ze zwycięstwem nowych czasów nad dawnemi wiekami; podnosi jaskrawy sztandar demokratyczny, obiecuje zwolennikom swoim złote góry, pragnie i sam się oszołomić w nurcie słów swoich i oszołomić niemi słuchacza. On co tak skąpił zawsze wyrazów i w długie rozprawy się nie wdawał, teraz jednym tchem wyrzuca z siebie sążniste tyrady, które nie tyle mają logiki, ile gorącego kolorytu. Nic dziwnego: pobudza go namiętne pragnienie postawienia na swojém i osiągnięcia téj miłości, w zdobycie któréj jeszcze nie zwątpił.

Ale wyrachowania jego nie zdały się na nic. Przerachował się i co do Stelli i co do swych zwolenników demokratycznych. Wątła roślina cieplarniana nie wytrzymała ciosu, na wieść o pojedynku w którym Pretwic, jéj narzeczony, zginął z ręki Drahomira, jéj ukochanego, nadzwyczajne wzruszenie ją ogarnia i o śmierć nagłą przyprawia. Z drugiéj strony, jego najgorliwszy zwolennik i wielbiciel, człowiek biedny, obarczony rodziną, pracujący dla idei demokratycznéj i wierzący w nią święcie, nie lękający się ani jaskrawych wyrażeń demokratycznych, ani żartów bolesnych, ani nawet użycia pamfletu w agitacyi wyborczéj, ale strzegący ściśle zasad „prostéj uczciwości" zapowiada przyszłemu posłowi, że już w nim ufności nie pokłada, że chociaż go demokraci wybiorą, ale już mu cugli nie popuszczą. „Odtąd—mówi—rozpoczyna się między nami ścisły rachunek, bo nie możemy ci ufać... Cóżeś to ty sądził, że szczeble téj drabiny, po której się drapiesz, składają się z łajdaków? Hola! My, cośmy cię zrobili posłem, my w których uczciwość niewierzysz podobno, będziemy cię teraz strzedz i sądzić. Jeśli zbroisz, to zetrzemy cię w proch. Nie sprawa dla ciebie, ale ty dla sprawy. Wybraliśmy cię—teraz służ!" Że Antoni Żuk nie porzucił zupełnie Józwowicza, to rzecz bardzo naturalna. Wówczas gdy agitacya wyborcza była całkowicie przeprowadzoną, w ostatniéj chwili przed wyborami cofnąć kandydata niepodobna bez ściągnięcia niepowetowanéj porażki na obóz demokratyczny. Żuk wierzy że w polityce tak samo powinno się rządzić uczciwością jak w życiu prywatném i gdyby Józwowicz był dawniéj takim, jakim go ostatnie okoliczności zrobiły, pewnieby w jego sprawie nie gardłował, ale teraz sądzi, że stronnictwo potrafi swego posła opanować, potrafi go zmusić, żeby służył sprawie, nie sobie. I kto wie, czy Józwowicz jako poseł nie przyniesie ważnych usług dla kraju. Wszakże on złym z gruntu nie był, namiętność i ambicya zepchnęły go z drogi prostéj, ale nie zagrodziły mu jeszcze powrotu na nią. Gdyby to był ambitnik bez serca, to posłyszawszy okrzyki obwołujące go posłem, nie mówiłby, myśląc o Stelli tylko: „Przegrałem strasznie!"

Pominąłem tu figury przedstawiające osoby ze sfery arystokratycznéj w świetle komiczném, gdyż one niewielką odgrywają rolę w dramacie, a dla ocenienia dążności sztuki wystarczają sylwetki trzech poważnie traktowanych przedstawicieli arystokracyi. Nie roszczą one sobie, jak sądzę, pretensyi do znaczenia typów, są raczéj tak jak cały dramat pomyślane w duchu realizmu artystycznego, który się stara, uwydatnić temperamenty i charakter jednostek, nie zaś rysować jakieś postacie ogólne, mające jakoby cały rodzaj, całą sferę reprezentować. Ani książę Starogrodzki, ani Pretwic ani

Drahomir nie wyczerpują bynajmniéj całéj rozmaitości objawów życia arystokratycznego, bo to nie było zadaniem autora, one są same sobą. Są-to jednostki bierne, bez inicyatywy, nie biorące udziału w pracy społecznéj, ale marzycielskie, albo ciasne pod względem umysłowym, zadowolnione ze szranków życia prywatnego, albo téż porzucające je, gdy uczucie ich zadraśniętém zostanie. Czynność swoję okazują tylko w zakresie tego życia prywatnego i do znaczenia w kraju, do przewodniczenia mu wcale się nie garną. Są-to „nieobecni“ skazani na wymarcie bezpotomne i bezsławne.

Wszystkie osoby dramatu są naturalne i z wyjątkiem może Jasia Miliszewskiego całkiem wolne od szarży i karykatury, ale téż z drugiéj strony, z wyjątkiem księcia, Józwowicza i Żuka zbyt blado namalowane. Postępki wszędzie wypływają z charakteru; tylko motywowanie ich nie wszędzie jasno jest przedstawione. Najgorzéj pod tym względem wyszedł naczelny bohater, Józwowicz; przełom jaki nagle w duszy jego nastąpił nie został przez autora niczém prawie uwydatniony; stąd téż tyle różnych sposobów pojmowania téj osobistości przez krytykę; stąd także pewien chłód panujący w sztuce, która nie porywa i nie zachwyca, gdyż brak jéj najsilniejszéj dźwigni artystycznéj, brak silnie uwydatnionego uczucia. Uczucie Pretwica i Drahomira wyraża się sentymentalnie, jakoś dziwnie miękko i bezbarwnie, uczucie Józwowicza traktowane jest pobieżnie a raczéj tajemniczo. Postać Żuka najświetniéj, najdobitniéj i najprawdziwiéj przez autora pomyślana i wykonana została.

Budowa dramatu wielce szwankuje. Jedność miejsca pociągnęła za sobą sporo nieprawdopodobieństw. Jestto salon, w którym zgromadzają się osoby na gawędkę, ale jestto zarazem jakby główne biuro Józwowicza, do którego za pośrednictwem dzwonka powołuje i Pretwica i hr. Drahomira i księżniczkę Stellę, w którém przyjmuje Żuka i obmyśla swoje plany. Wchodzenie i wychodzenie osób bardzo często zupełnie nie umotywowane, chyba maksyma *ôte-toi, afin que je m'y place.* Efekta sceniczne w końcu każdego aktu są wprawdzie dość zręczne, ale tém właśnie grzeszą, że są starannie obmyślane, a nie wypływają wprost z natury sytuacyi.

Pomimo tych usterek i kilku drobniejszych, które pomijam, trudno nie przyznać, że dramat p. Sienkiewicza jest utworem niepospolitego talentu, który potrzebuje tylko obeznać się bliżéj z warunkami sceny i pogłębić analizę psychologiczną, ażeby stworzyć coś skończenie pięknego.

Co do przedstawienia, to w ogólności powiedzieć można, że było staranne. Nie wdając się tu w drobne szczegóły, zauważymy jedynie, że najświetniéj w grze artystów wyszedł Antoni Żuk, którego

rolę z istotném mistrzowstwem grał Jan Królikowski. Rola księcia przedstawiana przez p. Żółkowskiego mogła być wprawdzie troszeczkę inaczéj pojęta; można było mianowicie zaznaczyć pewną popędliwość, która bynajmniéj nie wyklucza łagodnego w gruncie charakteru a tłómaczyłaby nam doskonale tę okoliczność, że się Józwowicz burczeniem księcia wcale nie obraża. Ale i ta dobroduszna, nietęga w myśleniu i rozumowaniu fizyognomia jaką nam p. Ż. ukazał, ma bardzo dużo cech prawdy, a oddana i zachowana była wybornie.

Na pojęcie natomiast roli doktora przez p. Tatarkiewicza nie możemy się zgodzić. Postać niesympatyczną w trzech ostatnich aktach uczynił p. T. niesympatyczną od początku, błąd pisarza, który nie zaznaczył wyraźnie przemiany moralnéj w swym bohaterze, artysta wzmocnił ogromnie, nadając Józwowiczowi taką sztywną, odpychającą, niby-to demoniczną, a w rzeczy saméj wstrętną tylko postać, że trudno widzowi zrozumiéć, jak tego rodzaju człowiek mógł sobie pozyskać ufność, przyjaźń zarówno księcia jak jego córki, zarówno Pretwica jak Drahomira. Przypuszczać się godzi, że doktór Józwowicz zdobył sobie stanowisko w domu księcia nie przez jakiś terroryzm bynajmniéj, ale w skutek pewnych miłych cech charakteru swego z jednéj, a pewnych silnych cech rozumu z drugiéj strony. Prawdopodobną również jest rzeczą, że Pretwica i Drahomira pozyskuje sobie nie odwracaniem się od nich wtedy, gdy oni do niego serdecznemi przemawiają słowy, ale chyba jakiémś większém, cieplejszém, przyjaźniejszém zachowaniem się swojém wobec nich. Postawa ściśle pod sznur wyprostowana, ruchy sztywne, głos nastrojony surowo, a zwłaszcza ciągłe chmurzenie się i przewracanie gałek ocznych są-to efekta które w melodramatach miewały wielkie powodzenie, ale z naturalnością a jak tu, z charakterem bohatera, nie mają wiele spólnego. P. Tatarkiewicz zawsze prawie przybierający minę tragiczną, stanął na pół tego kroku, który wedle francuzkiéj maksymy przedziela wzniosłość od... śmieszności. Zdaniem mojém artysta swojém pojęciem i oddaniem roli Józwowicza w pewnéj mierze przyczynił się do wywołania tego niemiłego wrażenia, jakie sztuka u wielu po sobie zostawiła.

Piotr Chmielowski.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Obrady połączonych władz Tow. Kred. Ziemskiego.—Uchylenie mnożnika 56, racyonalne podstawy projektowanéj reformy,—bezpieczeństwo pożyczek wedle taksy obliczanych, płonność obaw o zniżenie kursu listów zastawnych.—Stowarzyszenie pomocy uczącéj się młodzieży w Mińsku Lit. zmiany korzystne w jego ustawie—kilka cyfr. Projekt podobnego towarzystwa w Kaliszu.—Odczyt p. Kucharzewskiego.—Starania o urządzenie szkoły Polskiej w Jassach.—Serbowie Łużyccy i ich towarzystwo pomocy naukowéj.

17 Lutego zamknięte zostały obrady połączonych władz Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, nad podanemi przed paru laty wnioskami stowarzyszonych i przedstawionemi przez stosowne delegacye raportami. Wnioski te i raporty dotyczyły:

1° Zniesienia mnożnika 56 określającego wysokość pożyczki.

2° Złagodzenia obostrzonych przez prawo z r. 1869 środków egzekucyjnych.

3° Wytworzenia kredytu melioracyjnego i instytucyi ubezpieczeń rolnych opartych na wzajemności.

Pierwszy wniosek wywołała dwoistość zasady przyjętéj do określania wysokości pożyczki, nie mogącéj z mocy atr. 6 prawa z r. 1869 przenosić połowy przez taksą wykazanego szacunku dóbr.

Dwoistość polegała na tém, że Towarzystwo Kredytowe przyjęło za maximum pożyczki, iloczyn wynaleziony z pomnożenia opłacanych przez dobra podatków gruntowych (głównego i dodatkowego) przez mnożnik 56, oprócz tego zaś ustanowiło normalną taksę będącą iloczynem cyfry tych podatków rozmnożonéj przez 80, którego połowa stanowiła wysokość pożyczki wydawanéj na podstawie taksy normalnéj. Dozwoloném nadto było właścicielowi żądać pożyczki na podstawie taksy szczegółowéj, lecz i w takich razach pożyczka nie mogła być wyższą od iloczynu z rozmnożenia sumy opłacanych podatków gruntowych przez 56.

Zawsze więc wysokość pożyczki zależną była od opłacanych podatków gruntowych, bez względu na istotną wartość dóbr, właściciel zaś miał do wyboru między taksą normalną i mnożnikiem 56.

Geneza mnożnika daje się odszukać w prawie sejmowem z r. 1825, w którym podobna zasada przeprowadzoną była.

Wówczas stosowano mnożnik 60 lub 75 do podatku ofiary, iloczyn służył za miarę wartości dóbr i podstawę do określania wysokości pożyczki, udzielanéj do 5/8 wynalezionego w ten sposób szacunku.

Jak wówczas tak i obecnie, przy zamianie ofiary na podatek gruntowy, zasada określonego z góry mnożnika dostatecznie usprawiedliwić się nie daje.

Ofiara miała równać się 10% czystego dochodu z majątku, oznaczenie jednak wysokości tego podatku, ustanowionego w końcu XVIII wieku, pozostawione było samym właścicielom, każdemu w swoich dobrach. Więc cyfra tego podatku zależną była od mniejszego lub większego rozwinięcia uczuć patryotycznych, dobréj lub złéj woli kontrybuenta, a ztąd wysokość opłacanéj ofiary rzadko kiedy mogła być wyrazem istotnéj wartości dóbr i sprawiała, że pożyczki Towarzystwa w jednych wypadkach przenosiły wartość majątku, w drugich zaś były bardzo nizkie.

Można powiedzieć toż samo o mnożniku zastosowanym do podatków gruntowych, określającym, jakeśmy już wzmiankowali, maximum pożyczki Towarzystwa.

Przy ustanowieniu podatku gruntowego podzielono wszystkie grunta na dwie kategorye: pszenne i żytnie—za podstawę klasyfikacyi służył fakt zasiania gruntu żytem lub pszenicą, bez uwzględnienia natury gruntu, zaczém idzie, że przy stosowaniu mnożnika do podatków gruntowych, właściciel posiadający grunta pszenne a obsiewający je żytem, otrzymywał pożyczkę niższą od wartości jaką przedstawiają jego grunta i odwrotnie, obsiewający, dzięki odpowiedniéj kulturze, grunta żytnie pszenicą, mógł uzyskać pożyczkę wyższą nad istotną wartość majątku.

Gdy zaś przepisy taksowe Towarzystwa uwzględniają naturę gruntu, przeto przy udzielaniu pożyczki na podstawie taksy, widzimy znowu inną sprzeczność—w pierwszym wypadku gospodarz niekorzystający z natury gruntu i gospodarujący niedbale, mógł otrzymać pożyczkę wyższą, w drugim zaś skrzętny rolnik i dbały o podniesienie kultury gruntu, musiał się zadowolnić mniejszym kredytem.

Wykrycie niedokładności w klasyfikacyi podatkowéj gruntów drogą taksy szczegółowéj, nie wpływało prawie na ustosunkowanie

pożyczki do rzeczywistéj wartości, jaką względnie do natury i kultury gruntu, przedstawiał dany majątek.

Powiedzieliśmy *prawie*, ustosunkowanie bowiem pożyczki do szacunku otrzymanego z taksy, miało miejsce tylko w tych wypadkach, w których leżało ono w interesie Towarzystwa. Jeżeli bowiem dobra przedstawiały wartość nieodpowiednią do opłacanych podatków—to jest niższą, wówczas przyznawana pożyczka nie stosowała się do iloczynu przez 56, ale była od niego niższą, gdy zaś zachodził stosunek odwrotny to mnożnik 56 decydował o wysokości pożyczki, co jak zobaczymy miało miejsce w większości wypadków.

Do 1 maja roku 1877 (nie mamy bowiem dat późniejszych), dóbr stowarzyszonych było 7239,—z tych przeszło przez taksę prawie 4000. Około 25% téj ostatniéj cyfry, to jest prawie 1000 majątków, wykazały wartość nieodpowiednią do wysokości opłacanych podatków gruntowych, otrzymały zatém pożyczki niższe od przypadających z zastosowania mnożnika, pozostałe 75% czyli 3.000 dóbr wykazały wartość wyższą, równającą się iloczynowi z sumy podatków gruntowych rozmnożonéj przez mnożniki od 80 do 118.

Wszelako w obec zasady mnożnika 56 musiały dobra te poprzestać na pożyczce równającéj się iloczynowi podatków gruntowych przez ten mnożnik, bez względu na to: że prawo z r. 1869 zapewniało im kredyt wyższy, sięgający połowy szacunku, ustanowionego na podstawie przepisów taksowych Towarzystwa. Sam zaś szacunek taksowy niższym jest od ceny sprzedażnéj przynajmniéj o $1/3$, tak że pożyczka Towarzystwa, równająca się nawet połowie szacunku, przedstawia zaledwie $1/3$ a nawet $1/4$ część szacunku sprzedażnego.

Na tych podstawach opierały się wnioski stowarzyszonych żądające zniesienia mnożnika 56.

Sprzeczności powyższe szkodliwemi były nie tylko dla stowarzyszonych lecz i dla samego Towarzystwa, pierwszym zmniejszały dobrodziejstwa amortyzującego się powoli kredytu, Towarzystwo zaś przy zachwianiu bezpieczeństwa pożyczki mogły narazić na straty.

Gdy bowiem wysokość podatków gruntowych określaną jest na podstawie deklaracyj podawanych przez właścicieli, przeto Towarzystwo było, do pewnego stopnia, zostawione na łasce kontrybuentów, którym podobać się mogło zwiększyć nadmiernie sumę opłacanych podatków gruntowych i uzyskać przez to pożyczkę przenoszącą wartość majątku. Nadto, zasada mnożnika mogła pozwalać taksatorom zmniejszać lub zwiększać, w miarę potrzeb stowarzyszo-

nych, szacunek dóbr stosownie do rezultatów z pomnożenia podatków gruntowych przez mnożnik.

Wszystkie te względy rozważano na obradach połączonych władz Towarzystwa i po długich i wyczerpujących debatach, obradujący, utrzymując sankcyonowane przez prawo z r. 1869 maximum pożyczki *połowę szacunku dóbr z taksy wynalezionego*, większością $^{10}/_{11}$ głosów przeciwko $^{1}/_{11}$, postanowili: uchylić zasadę podatku gruntowego i mnożnika, a udzielać pożyczki na podstawie taksy szczegółowéj.

Tak więc taksa ma się stać główną zasadą przy normowaniu wartości dóbr a tém samém i pożyczki, dla tego przepisy taksowe odpowiednio obostrzone zostały: ustanowiono przysięgę na urząd taksatorów Towarzystwa, zastrzeżono cywilną ich odpowiedzialność i określono zamiast dotychczasowych pięciu, siedm klas gruntów z uwzględnieniem ich natury i otrzymywanych plonów.

Nadto zapadła decyzya co do wskazania w każdym powiecie po kilka typów każdéj klasy ziemi dla wiadomości taksatorów. Maksymalna cena taryfowa (72 r. za mórg ziemi pszennéj kl. I) pozostała bez zmiany, postanowiono wszakże, przy ocenianiu wartości dóbr, brać pod uwagę nietylko praktykowane w danéj okolicy ceny ziemi sprzedażne i dzierżawne, lecz i szacunek majątku wyprowadzony z dochodów.

Dotychczasowe cztery oddziały taryfowe zastąpiono przez dwa tylko, z uwagi na to, że w obec rozwoju dróg komunikacyjnych, podniesienia się zamożności i zwiększenia ludności kraju, ogólne stosunki ekonomiczne zostały mniéj więcéj ujednostajnione. Tą drogą niektóre miejscowości kraju przeniosą się do wyższych kategoryj pod względem cen taryfowych i odwrotnie niższe gatunki ziemi znajdą się w klasie niższéj niż dotąd, gdyż z piątéj przejdą do siódméj.

Do I oddziału taryfowego zaliczono obecnie: Gub. Warszawską, Kaliską, Płocką, Piotrkowską bez powiatu Bendzińskiego, z gub. Kieleckiéj powiat Miechowski i część powiatu Pinczowskiego położoną na prawym brzegu Nidy, a z guber. Suwalskiéj powiaty Wołkowyski i Władysławowski. Cena ziemi we wszystkich tych miejscowościach ustanowioną została na 72 rub. za mórg kl. I i 4 r. za morg klasy VII-éj. Do oddziału II-go należéć będą wszystkie inne miejscowości królestwa, cena zaś ziemi w tym oddziale równa się 64 rub. za mórg ziemi kl. I i 3 r. 50 k. za mórg ziemi klasy VII.

W ten sposób władze Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego sankcyonowały swą powagą powszechne prawie życzenie sprawiedliwszego niż dotąd ustosunkowania pożyczek Towarzystwa do wartości dóbr stowarzyszonych. Powtarzamy sprawiedliwszego ustosun-

kowania, nie zaś rozszerzenia skali pożyczek. Różnica to ogromna, a akcentujemy ją tém silniéj, że zdarzało nam się słyszéć protestujących przeciwko zmianom w dotychczasowych zasadach Towarzystwa, gdyż one rozszerzenie skali pożyczek mają na celu. Przeciwników zmian można podzielić na dwie kategorye; jedni opierali się na tém że „rozszerzenie skali pożyczek“ (wyrażenie użyte we wnioskach stowarzyszonych) prowadzić może do przeciążenia dóbr i zachwiania bezpieczeństwa pożyczki, drudzy zaś występowali przeciw zmianom ze względu na kurs listów zastawnych, który w takich razach miałby uledz obniżeniu.

Obawy te jednak nie zdają się mieć dostatecznéj podstawy, najprzód dla tego, że władze Towarzystwa znosząc mnożnik 56, nie odstąpiły wcale od zasady udzielania pożyczek jedynie w stosunku *do wysokości szacunku dóbr wykazanego przez taksę*, i bezwarunkowo nadal ją utrzymując, nie zmieniły wcale skali pożyczek, a przezto o rozszerzeniu jéj nie może być mowy, powtóre że jeżeli dobra mające wyższą kulturę, mogą przy zmienionych zasadach taksy doczekać się wyższego niż dotąd kredytu, to z drugiéj strony w majątkach o średniéj a zwłaszcza lichéj uprawie, stosunek będzie odwrotny. O ile więc w pierwszym wypadku, nie skala pożyczki, lecz sama pożyczka Towarzystwa może być większą, zawsze jednak w granicach połowy szacunku, do któréj dotąd nie sięgała, o tyle w drugim może być niższą, jeżeli kultura lub nieodpowiednia wysokość podatków gruntowych wymagać tego będą.

Doprowadzenie kredytu do wysokości zapewnionéj w r. 1869 nie może narazić Towarzystwa, dla stowarzyszonych zaś będzie dobrodziejstwem, dając jednym z nich możność bodaj częściowego uwolnienia się od krótkoterminowych i wysoko oprocentowanych wierzytelności prywatnych, zapewniając innym kapitał potrzebny do rozwoju i ulepszenia gospodarstwa.

W takich warunkach obawy przeciążenia dóbr wierzytelnościami, a tém samém zachwiania pewności kredytu, nie mogą być usprawiedliwione, dla tego też nie ważyły one dużo przy układaniu projektu do prawa przez połączone władze Towarzystwa. Uchylenie mnożnika usuwa wzmiankowaną wyżéj pokusę taksatorów i w ogóle potrzebę starania się o podwyższenie podatków gruntowych. Chęci zaś działania na taksatorów w celu pozyskania nieodpowiedniéj a raczéj zbyt wysokiéj taksy, powinny ustąpić chociażby tylko z tych względów, że gdy dotąd podatki gruntowe stanowiły o wysokości pożyczki, obecnie mogłoby być odwrotnie, to jest, wysoka taksa mogłaby być powodem podniesienia podatków gruntowych, wbrew wo-

li i niezależnie od właścicieli, po prostu z inicyatywy samych władz skarbowych.

Co się zaś tyczy kursu listów zastawnych, zdaje się nam, że zmiana w dotychczasowych zasadach odnajdywania szacunku dóbr i normowania pożyczki do iloczynu z mnożnika, nie wywrze zgubnego wpływu w tym kierunku. Skłonniejsi nawet jesteśmy do przeciwnego wniosku i opieramy go na następujących danych. Kurs naszych listów zastawnych jak i w ogóle naszéj waluty reguluje giełda Berlińska, do końca roku 1863 kurs 4%-wych listów Towarzystwa, utrzymywał się *na równi* a nawet szedł wyżéj od niéj, od r. 1864 z wysokości téj spadać zaczyna i schodzi w r. 1867, według zbioru Rachunkowych wiadomości Towarzystwa, aż do 67 za 100—podniósł się wprawdzie następnie lecz nie do pierwotnéj wysokości, nawet wyżéj oprocentowane listy z r. 1869 sprzedawane były po kursie niższym. Na ówczesny upadek kursu listów 4% i nizki kurs listów z r. 1869 z konieczności wpłynąć musiały: reforma włościańska, zachwiewająca wiarę w bezpieczeństwo naszéj własności ziemskiéj, następnie upoważnienie prawa z r. 1869 do udzielania pożyczek w wysokości odpowiadającéj połowie szacunku tych, zachwianych w oczach zagranicy, dóbr ziemskich i ogólny upadek naszéj papierowéj waluty. Obecnie zdaje się że, obawy o bezpieczeństwo naszéj własności ziemskiéj przestały być postrachem, a chociaż teraźniejszego wysokiego kursu listów nie można usprawiedliwiać wyłącznie zniknięciem tych obaw, zwłaszcza w obec nizkiego kursu rubla, wszakże nie ulega wątpliwości że i ta przyczyna oddziaływać tu w pewnym stopniu musi. Ponieważ prawo z r. 1869, co do wysokości pożyczek Towarzystwa, wywarło już raz dyskredytujący swój wpływ na kurs listów, należy zgodzić się z tém, że obecna reforma, polegająca tylko na przyznawaniu pożyczek w wysokości przez to prawo określonéj, wsparta przytém nizką względnie do cen sprzedażnych ceną taryfową, nie powinna po raz drugi szkodliwie nań oddziaływać, przekona owszem: iż hipoteka tych listów, własność ziemska w królestwie, przedstawia większe bezpieczeństwo niż się dotąd zdawało, gdyż będące dzisiaj w obiegu listy zastawne zamiast ciążyć na połowie szacunku, odpowiadają zaledwo $\frac{1}{3}$ a nawet $\frac{1}{4}$ części ceny sprzedażnéj dóbr, że właściciele nie korzystając dotąd w całéj rozciągłości z przyznanego im przez prawo z r. 1869 kredytu, umieli jednak pomyślnie walczyć z trudnościami i nareszcie, że chociaż na podstawie nowych zasad szacunku, wierzytelności Towarzystwa mogą się zwiększyć w porównaniu z dotychczasowemi, wszakże wierzytelności te, z racyi przyjętych nizkich cen taryfowych, nie dosięgną nawet połowy rzeczywistéj wartości dóbr lecz

tylko połowy szacunku wynalezionego na podstawie przyjętych przez Towarzystwo Kredytowe, bardzo umiarkowanych cen, ziemi. Usuniętą nadto zostaje chwiejna, bo zależna od dobréj woli właścila, podstawa podatków gruntowych.

Obawy zaś mogące się zrodzić co do rzetelności taksy, a także o to czy łatwość sankcyi przepisów taksowych, zatwierdzanych tylko przez ministra skarbu, nie wpłynie na częste zmiany tych przepisów i to w kierunku ujemnym, powinny ustąpić przed dobrze znaną światu finansowemu ostrożną i wybróbowaną kilkodziesięcioletnim doświadczeniem działalnością Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, którego władze, chcąc dzisiaj oprzéć pewność pożyczek jedynie na taksie szczegółowéj dóbr, obostrzyły przepisy taksacyjne, i dodały do nich odpowiedzialność prawną i majątkową taksatorów, jakową zapewne zechcą ubezpieczyć wymaganiem od nich odpowiedniéj kaucyi.

Inne wnioski stowarzyszonych, przytoczone przez nas na początku, roztrząsano także na obradach połączonych władz Towarzystwa, wszakże złagodzenie środków egzekucyjnych uznano za niemożliwe; przyznanie pożyczek melioracyjnych odłożono na późniéj, ze względu na teraźniejsze ekonomiczne i prawne położenie kraju; sprawę zaś instytucyi ubezpieczeń rolnych, powierzono ponownie dotychczasowéj delegacyi, mającéj zbadać okoliczności niezależne od Towarzystwa a tamujące dotąd wprowadzenie w życie téj instytucyi, i poczynić odpowiednie kroki w celu przyspieszenia przychylnéj decyzyi władz w téj ważnéj dla kraju sprawie.

W zeszycie styczniowym „Ateneum“ wspominaliśmy o istniejącém w Mińsku Lit. „Towarzystwie opieki nad uczącemi się“, dzisiaj mamy przed sobą zdanie sprawy z działalności Towarzystwa za rok 1879 i 1880, i ustawę tegoż Towarzystwa. Uważamy za właściwe zapoznać z niemi czytelników, zwłaszcza, że ta ostatnia wyróżnia się z pomiędzy ustaw istniejących stowarzyszeń tego rodzaju, i odstępuje od krępujących inne więzów szematyzmu. Zmiany te nie oddziałały źle na ro: ój Towarzystwa mińskiego, o czém przekonają się czytelnicy ze szczegółów które podamy niżéj, że zaś odstępować od szematu można, dowodem ustawa o któréj mówimy, wiadomość ta może się przydać opracowującym statuty naszego stowarzyszenia, i uwolnić je od nieracyonalnych wymagań szematu, wytkniętych na tém miejscu w styczniu.

W ogóle rzec można, że szematyzm, wymagany przez władze, krępował i krępuje powstawanie wielu pożytecznych instytucyj,

Jeżeli usprawiedliwilibyśmy do pewnego stopnia wymaganie szematu, w razach, gdy ustawa oparta na rachunku prawdopodobieństwa błądzi właśnie w tym punkcie tj. obiecuje więcéj nad to co spełnić może, o tyle we wszelkich innych wypadkach, gdy szemat np. powierza zarząd instytucyi w ręce obce, nie związane z inicyatorami ani składkującymi wspólnością interesów, gdy krępuje swobodę rozporządzania funduszami, gdy nareszcie narzuca zasady w danéj miejscowości zgoła nie odpowiadające miejscowym warunkom, wówczas nakaz stosowania się do szematu nakreślonego z góry, staje się ciężarem i z konieczności powstrzymać musi nie tylko rozwój lecz i samo organizowanie instytucyi. Okoliczność że szemat opracowany został wedle podstaw branych z życia i działalności danych instytucyj, nie osłabia wcale złego wpływu nakazu, szemat bowiem jeden dla wszystkich dobrym na zawsze i wszędzie być nie może, już dla tego nawet, że jako przepis formalny, powstały na gruncie tylko faktów znanych, nie jest w stanie przewidzieć wszelkich wypadków, jakie z rozwojem życia, lub z racyi odrębności warunków jego, mogą się w praktyce napotkać.

Wszelako pomimo tych oczywistych ujemnych stron szematu, nie przestaje on odegrywać dość poważnéj roli w naszém życiu społeczném. Czy chcemy założyć kasę zaliczkowo-wkładową, czy lombard prywatny, czy organizujemy szkołę techniczną, czy zamyślamy o innéın jakiém stowarzyszeniu, zawsze podsuwają nam szemat, do którego ustawa danéj instytucyi winna być zastosowaną, tym samym zapewne względom przypisać należy podniesienie na nowo (według gazety „Mołwa“), przez ministerium komunikacyi, projektu zlania w jedno, wszystkich prywatnych stowarzyszeń emerytalnych istniejących przy drogach żelaznych.

Rozumiemy szematyzm a więc jednostajność w instytucyach rządowych, tam chodzi o uproszczenie wewnętrznéj manipulacyi, i ułatwienie stosunków z temi instytucyami wszystkim prywatnym jednostkom, lecz odnośnie do stowarzyszeń prywatnych, staje się on nie do pojęcia i szczerze winszujemy tym wszystkim, które zdołały zwalczyć te więzy i wprowadzić do swych ustaw zasady racyonalniejsze. Jedną z takich szczęśliwych instytucyj jest właśnie „Stowarzyszenie do udzielania pomocy naukowéj, kształcącéj się młodzieży,“ założone w Mińsku Lit. w r. 1875. Cel stowarzyszenia tém się różni od szematu, że gdy ten ostatni pozwala na opiekę tylko do chwili opuszczenia murów gimnazyum, stowarzyszenie mińskie może zapewniać potrzebującym pomoc pieniężną, nietylko przy przejściu ich z gimnazyum do wyższego zakładu naukowego, lecz i przez czas pobytu w tymże zakładzie. Kategorye członków są te samę co

i w innych ustawach, cała różnica polega na tém, że honorowi obowiązani wnieść jednorazowo 300 rs., a stali minimum 30 rs., rzeczywiści członkowie płacą 3 rs. rocznie.

Najszczęśliwiéj odstąpiono od szematu powierzając zarząd sprawami stowarzyszenia komitetowi złożonemu z pięciu osób wybranych na walném zgromadzeniu wszystkich członków towarzystwa. Tym sposobem do zarządu wchodzą, nie tylko inicyatorowie towarzystwa, lecz i ludzie obeznani z miejscowemi warunkami i potrzebami uczącéj się młodzieży i dający tém samém rękojmię, że wsparcia udzielane przez stowarzyszenie dostaną się do rąk tych, którzy istotnie nie mogą się bez nich obejść. Zarząd zdaje sprawę ze swych czynności na walném zebraniu członków stowarzyszenia, które decyduje wszelkie kwestye dotyczące stowarzyszenia i jego interesów.

Ze sprawozdań widzimy, że w roku 1880 dochody wynosiły 3.649 rs. 50 kop., z których wydano 2.618 rs. 86 kop. i pozostało na rok bieżący 1.030 rs. 65 kop. W rzędzie wydatków pierwsze miejsce zajmuje opłata wpisu 1.590 rs. 50 kop., następnie idą wsparcia wydane przy przejściu do wyższych zakładów naukowych 340 rs., daléj odzienie i obuwie kosztowało 319 rs. 75 kop., zasiłki pieniężne 231 rs. 50 kop. i książki 137 rs. 11 kop. Z ogólnéj sumy wydatków przypada na katolików: 1.685 rs. 99 kop., na prawosławnych 701 rs. 7 kop., ewangelików 65 rs. 5 kop. i żydów 106 rs. 75 kop.

Wszystkie cyfry powyższe nie potrzebują komentarzy, dosadnie bowiem charakteryzują działalność obywatelską zarządu stowarzyszenia, który w tak niewielkim mieście jakiem jest Mińsk Lit. potrafił podnieść do takiéj wysokości fundusze towarzystwa i tak znaczną pomoc zapewnić potrzebującym.

Miejmy nadzieję, że i nam uda się z czasem podążyć za Mińskiem, który tak dalece nas wyprzedził, tymczasem życzymy takiegoż samego powodzenia organizującemu się w Kaliszu „Towarzystwu wspierania uczącéj się młodzieży gubernii kaliskiéj.“

Projekt ustawy tego towarzystwa ogłosił „Kaliszanin.“ Notujemy z niego dopuszczenie nieletnich do udziału w towarzystwie i powierzenie zarządu w ręce Rady gospodarczéj, wybranéj na walném zebraniu członków stowarzyszenia.

Przyjmowanie nieletnich na członków, spotykamy po raz pierwszy w ustawie towarzystwa tego rodzaju i usprawiedliwiamy je chyba chęcią zdobycia jaknajwiększéj liczby członków, a raczéj opłat od członków, innych bowiem racyonalnych pobudek nie umiemy wynaleźć. Co się zaś tyczy rady gospodarczéj złożonéj z osób wybranych na walném zgromadzeniu, to po tém cośmy powiedzieli w styczniu, tyle dzisiaj dodać możemy, że pomyślny rozwój towarzystwa

zależy w zupełności od zarządu ukonstytuowanego w takiéj tylko formie.

Zanim zamkniemy ten ustęp, przytoczymy jeszcze kilka cyfr wyjętych ze sprawozdania z czynności istniejącego od 1 maja r. 1875 w Kaliszu „Tymczasowego stowarzyszenia pomocy biednych uczni gimnazyalnych wyznania Mojżeszowego.“

W ciągu sześciu lat istnienia, stowarzyszenie miało największą liczbę członków w I-m półroczu roku szkolnego 1877/8 to jest 123 członków, liczba ta zmniejszyła się w ostatnim półroczu prawie o połowę, gdyż spadła do 72. Fundusze stowarzyszenia, powstające z opłat od członków w wysokości 1 rs. 30 kop. rocznie, z ofiar dobrowolnych, składek do puszek i wniosków od rodziców i opiekunów, wynosiły w ciągu lat sześciu 2.046 rs. 46 kop. Z téj sumy wydatkowano na opłatę wpisu za uczniów 1.922 rs., na różne wydatki 93 rs. 50 kop. i pozostało w remanencie 33 rs. 96 kop. Największy dochód widzimy w r. 1877/8—383 rs. 17 kop., najmniejszy zaś w r. 1880—286 rs. 13 kop.

Za przedmiot pierwszego tegorocznego odczytu na korzyść towarzystwa osad rolnych, obrał pan Kucharzewski życiorys Jerzego Stephensona, człowieka daleko mniéj znanego, niż na to zasługuje; dosyć bowiem powiedzieć, że był on istotnym twórcą dróg żelaznych. Życiorys człowieka, co z prostego robotnika, dzięki jedynie własnéj pracy, wytrwałości i zdolności, wzniósł się na stanowisko tak wybitne, tyle usług oddał ludzkości i dożył téj jeszcze pociechy, że dzieło jego prowadził daléj, niemniéj zasłużony, własny syn jego; może zapewne wybornie stanowić treść odczytu publicznego. A że jednak życiorys inżyniera, wynalazcy, jest przeważnie historyą jego prac i wynalazków, więc pan K. przedstawił nam rys budowy i doskonalenia się machiny parowéj i należy przyznać prelegentowi zręczność, że w ten sposób wystąpił przed ogółem naszym z przedmiotem tak mało dlań znanym, pod osłoną życiorysu rzecz sucha nabrała znacznego ożywienia.

Rozumie się, że w ciągu godziny trzeba było rzecz bardzo treściwie wyłożyć; każdy jednak słuchacz mógł dobrze zrozumieć ruchy tłoka w cylindrze machiny parowéj, oraz różnicę między machiną o wysokiém a o niskiém ciśnieniu, natomiast za mały nacisk położył prelegent na sposób, w jaki ruch tłoka przeobraża się w ruch obrotowy kół, rysunek wprawdzie rzecz dobrze objaśniał, ale z dalszych miejsc sali nie można było go należycie rozpatrzéć.

Na początku prelegent przedstawił znaczenie jakie szyny mają dla zmniejszenia tarcia; był to ustęp wyłożony bardzo jasno, ale wzgląd ten jest tak ważny dla kwestyi budowy dróg w ogóle, a tak mało jest znany, że przydałoby się może sięgnąć tu nieco głębiéj w wywody teoretyczne, że siła potrzebna do posuwania wozu jest zawsze mniejszą od jego ciężaru i zostaje do niego jedynie w pewnym oznaczonym stosunku. Wszakże nie myślimy z tego robić zarzutu prelegentowi, który i tak z trudem zaledwie mógł w ciasne ramy wtrącić przedmiot tak obszerny.

Rzecz była wypowiedziana językiem pięknym i ścisłym, odpowiednim przedmiotowi, a wyraźny i donośny głos pana K. czyni go prelegentem pożądanym na mównicy publicznéj.

Losy oderwanych od kraju a rozproszonych po różnych ziemiach starego i nowego lądu rodaków, zdolne są przejąć głębokiém wzruszeniem najmniéj nawet skłonne do rozczuleń serca. Odbieramy właśnie powiadomienie o jednéj z tych odłączonych od pnia narodowego gałązek, do Rumunii zaniesionéj. Piszą nam, że w samych Jassach przebywa stale przeszło 500 rodzin polskich, głównie rzemieślników i robotników, których potomstwo ulega powolnemu wynarodowianiu. Nie mając bowiem dostatecznych środków materyalnych, ażeby albo wysyłać dzieci na wykształcenie do kraju rodzinnego, albo utworzyć wspólnemi siłami szkołę własną, oddają je przeważnie do szkół publicznych rumuńskich, albo téż do zakładów prywatnych niemieckich lub francuskich. Kto wie, jak ujemnie wpływa na uczucia narodowe wśród ogółu ludzi nawet dojrzałych przedłużony pobyt na obczyznie, ten z łatwością zrozumie, że na wrażliwym umyśle dziecka, najsilniejszy ślad pozostawia otoczenie, w którém pierwsze zasady nauk pobiera: związek duchowy łączący jednostkę z narodem słabnie coraz bardziéj a niejednokrotnie całkiem się zrywa.

Dla przeciwdziałania tym smutnym objawom, ludzie rzutniejsi a przejęci głęboko poczuciem obowiązku, założyli przed laty 15 „Towarzystwo Biblioteki Polskiéj w Rumunii," które rozwijało się bardzo powoli wprawdzie, ale bądź-co-bądź wytrwale, tak że obecnie liczy w „książnicy" swojéj 1.900 dzieł w 2.815 tomach i posiada kilkanaście czasopism polskich, nadsyłanych już-to całkiem bezinteresownie przez wydawców już-téż za pół-ceny. Członków czynnych w towarzystwie tém jest 63.

Na tém jednakże poprzestać nie można. Towarzystwo z natury rzeczy składa się z ludzi pojmujących potrzebę utrzymania narodo-

wości swojéj wśród obcych; biblioteka może dostarczać im pokarmu umysłowego z kraju; ale ważniejszą jest rzeczą dać możność klasom pracującym wychowywania dzieci w języku polskim. Ażeby się zbliżyć do tego celu, Towarzystwo od lat kilku gromadzi fundusz żelazny, którego przeznaczeniem byłoby zabezpieczyć byt niezależny Bibliotece i utworzyć szkołę polską w Jassach. Zarząd Towarzystwa wyrachował, że dla utrzymania szkółki ludowéj potrzeba najmniéj 12000 franków, któreby wedle tamecznéj stopy procentowéj dały 1200 franków dochodu rocznego. Do końca roku 1880 zarząd Towarzystwa potrafił zebrać na szkółkę franków 6.011 i centymów 80. Jest-to zatém dopiéro połowa téj sumy, jakiéj w tym razie potrzeba...

„Zwykle przy zawiązku—powiada zarząd—szuka się poparcia i zachęty; my poszliśmy odmiennym torem. O własnych siłach, własnym nakładem przebyliśmy połowę drogi, a tém saméni złożyliśmy dowód, że wytrwale pracować umiemy, czém zaufanie w kraju sobie zaskarbić powinnibyśmy. Oświata, praca i miłość ojczyzny oto hasło, które musi gromadzić wszystkich patryotów, przed którém winny ucichnąć wszelkie zwady, waśnie i różnice partyj. Tém hasłem odwołujemy się do mężów zacnych w kraju, do czcigodnych niewiast polskich, do wszystkich przyjaciół ludzkości, aby przyszli w pomoc téj secinami wynaradawiającéj się dziatwie polskiéj w Rumunii.“

Do tych słów serdecznych czyż potrzebujemy coś jeszcze dodawać? To chyba, że opiekunami Towarzystwa są takie osobistości jak Kraszewski, Jeż, Małecki, Orzeszkowa. Kraszewski odezwą swoją z początku roku zeszłego wielce się przyczynił do powiększenia składek na szkółkę w Jassach; w ciągu r. 1880 zebrano blisko 1.000 fr. Zarząd Towarzystwa z wdzięcznością przyjmuje zarówno składki w pieniądzach jak i ofiary z książek, które mogą zasilić albo ogólną Bibliotekę, albo specyalny księgozbiór przyszłéj szkółki polskiéj.

Wiele jest biédy w kraju; wiele jest pięknych projektów dotychczas nie urzeczywistnionych; nie sądzimy jednak, ażeby źródło ofiarności miało wyschnąć. Dla tych, coby chcieli przyjść z pomocą zamierzonéj szkółce w Jassach podajemy adres, pod którym ofiary przesyłać można: *Dr. J. Łukaszewski á Jassy* (*Roumanie*).

Budyszyn, dziś miasto w Saksonii, a niegdyś zachodnia nasza strażnica, z któréj Bolesław Chrobry śledził obroty Niemców, jest ogniskiem życia narodowego Serbów Łużyckich, którzy mimo liczebną swą słabość potrafili dotąd bronić się przeciwko zalewom

fali germańskiéj. Mają oni swe szkoły wiejskie, utrzymują ośm czasopism, za pośrednictwem stowarzyszenia „Macica Serbska“ wydają tanie książki ludowe, a wreszcie zdobyli się na własną drukarnię. Ta mrówcza praca, cicha lecz niemniéj skuteczna, pozwala im bez rozpaczy patrzyć w przyszłość i o polepszenie jéj starać się. „Brak nam wszelako—powiadają w swéj odezwie—zamożniejszych ludzi, a stąd i środków pieniężnych, aby dostateczną ilość młodych Serbów, zdolnych zająć stanowiska nauczycieli, lekarzy, duchownych, przygotować. To téż teraz dotkliwie daje się czuć brak serbskich duchownych. Brak ten spowodował, iż nie jedna parafia serbska obsadzoną została przez Niemca, zaczém poszło niemczenie całéj osady.“ Za poradą ziomka naszego p. Alfonsa Parczewskiego założyli oni *Towarzystwo pomocy naukowéj*, któremu na pierwszą podstawę ofiarował fundusz J. I. Kraszewski; ale własne środki im nie wystarczają. Do nas więc umyślili zwrócić się o pomoc, w nadziei, że ich nie opuścimy w téj potrzebie, od któréj zaspokojenia życie lub śmierć serbskiego ludu zależy.

Członkiem towarzystwa naukowéj pomocy na Łużycach „może zostać każdy za opłatą 1 marki rocznie, kto zaś sumę znaczniejszą złoży, zostanie członkiem honorowym, dostanie oddzielny dyplom, zapisanym będzie do złotéj księgi. Kapitał, przez niego złożony, wypożyczy towarzystwo tylko na bezpieczną hipotekę. Członkom posyła się co rok sprawozdanie towarzystwa.“

Osoby pragnące podać bratnią pomoc Serbom Łużyckim, mogą swe ofiary przesyłać do sekretarza Towarzystwa pod adresem: „*Pfarrer Hórnik in Bautzen* (*Sachsen*).“

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu marca r. 1881.

---

1. **Dzieła Lucyana Siemieńskiego** Tom II. Varia — Roztrząsania i poglądy literackie, Warszawa u J. Ungra. 1881.
2. **Józef Rogosz.** Pokuta, Powieść. Lwów. 1881.
3. **Czas** przestrzeń i wieczność ze stanowiska przyrodniczego p. *Dr. Kusztelana.* Poznań. 1881 (str. 31).
4. **Marysia Ochocianka.** Obrazek ludowy p. *Ludwika Niemojowskiego.* Warszawa. u J. Ungra. 1881. Cena kop. 6. (groszy 12).
5. **Ocena.** Książki pod tytułem: Algebra p. G. H. Niewęgłowskiego. Część pierwsza, zawierająca algebrę elementarną — napisana p. *Marjana A. Baranieckiego.* (wyciąg z Pamiętników Tow. Nauk ścisłych w Paryżu T. XII rok 1880).
6. **Zdanie sprawy** z działań zarządu Warszawskiéj gminy starozakonnych za lata 1878; 1879, Warszawa. 1881.
7. **Wycieczka w Czorsztyńskie**, skreślił *Bronisław Gustowicz.* Warszawa. 1881.
8. **Potop Biblijny** i peryodyczne potopy ziemi p. *Erazma Majewskiego.* Warszawa. 1881.
9. **Rys historyi księgarstwa** — przyczynek do dziejów oświaty (odbitka z Rocznika literackiego 1872 r.). Warszawa 1880.
10. **Akta historyczne** do objaśnienia rzeczy polskich służące, Tom II. zawiera pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego Tomu 1-go Część 1-sza 1629 — 1671 zebrał i wydał *Franciszek Kluczycki.* Kraków. 1880.
11. **Pisarze dziejów polskich.** Tom V. Archiwum komisyi historycznej Tom II. Kraków. 1880.
12. **Rozprawy i sprawozdania** z posiedzeń wydziału filologicznego Akad. Umiejętności Tom VIII. Kraków 1880.
13. **Rozprawy i sprawozdania** z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akad. Umiejętności Tom XII. Kraków 1880.
14. **Zbiór wiadomości** do Antropologii krajowej, wydane staraniem komisyi antropologicznej Akad. Umiejętności w Krakowie. Tom IV. Kraków 1880.
15. **Dzieła Juljana Bartoszewicza.** Tom VIII. Studya historyczne i literackie. Tom I. Kraków 1880.
16. **Dr. Bolesław Skórczewski.** Dyetetyka kąpielowa, czyli nauka jak zachować się należy podczas leczenia w zdrojowiskach. Warszawa. 1880.

ATENEUM,

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawiérającemi.

W „Ateneum“ pomieszczane są: studya ze wszystkich gałęzi nauk historycznych, społecznych i ścisłych, z dziedziny sztuki i przemysłu; opisy podróży, powieści, poezye i utwory dramatyczne; krytyka dzieł polskich i obcych, bibliografia, przeglądy, korespondencye i rozmaitości.

Prenumerata w Warszawie, w guberniach Cesarstwa i Królestwa oraz za granicą we wszystkich krajach związku pocztowego, wynosi:

Rocznie	**Rs. 12.**
Półrocznie	**„ 6.**
Kwartalnie (tylko w Warszawie)	**„ 3.**

Prenumerować można **głównie**

w REDAKCYI ATENEUM,

Włodzimierska, Nr. 14,

oraz we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Prenumeratorów z prowincyi uprasza się o nadsyłanie prenumeraty *bezpośrednio*

DO REDAKCYI.

Довв. Цензурою. Варшава, 19 Марта 1881 г. Druk K. Kowalewskiego, Królewska 23.